

ŚLEDZTWO „DO RZECZY”

Jak „Bart” Staszewski znalazł się obok Jarosława Kaczyńskiego



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 10/517 6-12 MARCA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Odsłaniamy kulisy konfliktu w Trybunale Konstytucyjnym

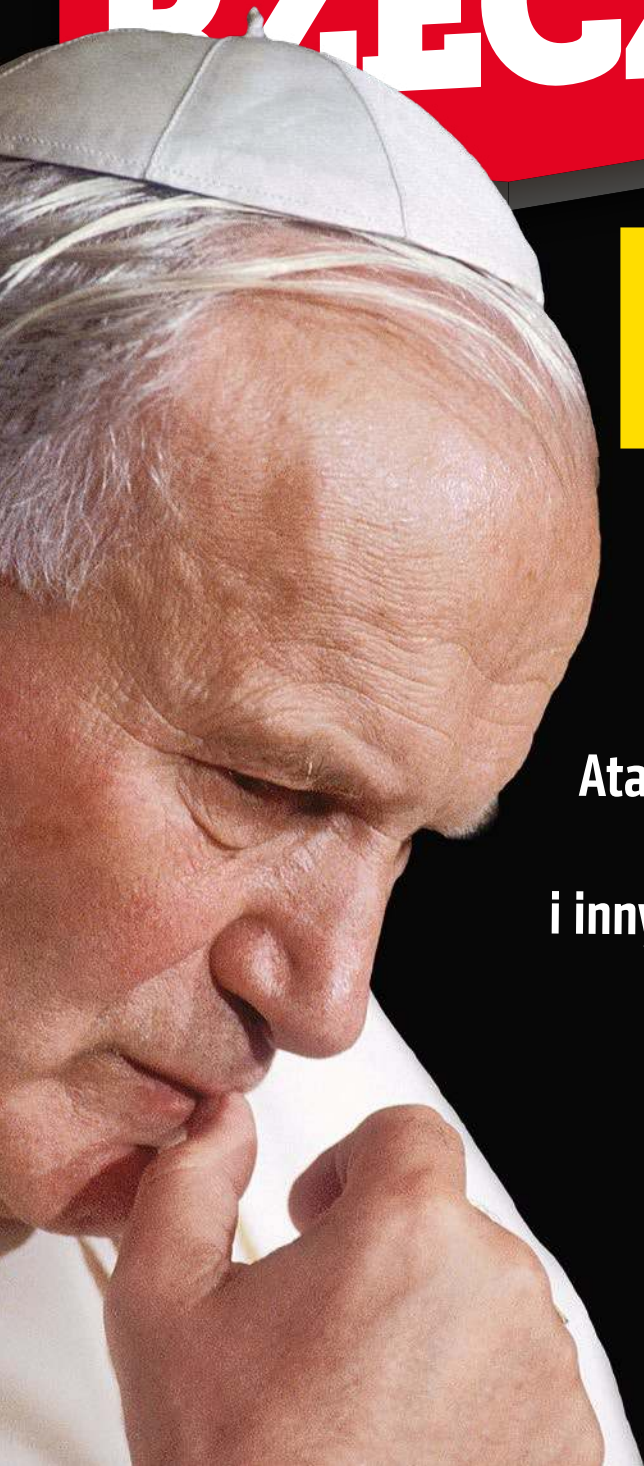
**MILION EUROPEJCZYKÓW
W KAJDANACH**
HISTORIA ŁOWÓW
NA BIAŁYCH
NIEWOLNIKÓW



A teraz Bruksela zakazuje montowania kotłów gazowych

DOPAŚĆ WOJTYŁĘ

Atak „Gazety Wyborczej”,
„Newsweeka”
i innych lewicowych mediów
na Jana Pawła II



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI 1943–1953 ZNÓW ZAPOMNIANI

Nie wojna domowa, tylko obrona narodu
przed sowiecką okupacją



KOŚCIÓŁ I KOMUNA – W latach 1945–1950 wzrastał w Polsce terror wobec duchownych i złudzenia prymasa „MARCHLEWSZCZYZNA” – Żadne spośród sąsiadujących z ZSRS państw nie nadawało się do roli „imperialistycznego agresora” tak jak II RP

POLACY BUDOWALI LIPAWĘ – Rosja potrzebowała niezamarzającego portu na Bałtyku. Wybór cara zapadł w II połowie XIX w.

W IMIĘ CELTÓW – Zagorzali separatyści bretońscy założyli podczas drugiej wojny światowej mundury Waffen-SS i wzięli do ręki broń przeciw państwu francuskiemu

ZŁODOWACENIA W POLSCE – Jeśli bylibyśmy w interglacjale wielkiej epoki lodowcowej, to czas ocieplenia – już trwający 11,7 tys. lat – skończyłby się za kilkanaście tysięcy lat

BERBERZY NA ISLANDII – W wiekach XVII i XVIII islamscy piraci uprowadzili i sprzedali w niewolę 1125 000 Europejczyków. Dotarli nawet pod koło podbiegunowe...

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Ten straszny Viktor Orbán

Jeżeli wszystko będzie nadal szło w tę stronę, to znajdą się tacy, którzy będą chcieli wysłać wojsko na tę wojnę. Ale jazywiam was, byście nie poddali się tym prowokacjom – apelował kilka dni temu w swoim wystąpieniu premier Węgier Viktor Orbán. – Potrzebujemy wstrzymania ognia, potrzebujemy rozmów pokojowych – dodawał. Wcześniej mówił, że w wojnie Rosji z Ukrainą potrzebne jest natychmiastowe zawieszenie broni. „Jeśli wojna na Ukrainie będzie trwać, to będzie ginąć coraz więcej ludzi. Jeśli wojna będzie trwać, to groźba hiperinflacji i zapaści gospodarczej będzie coraz większa. Jeśli wojna będzie trwać, to niebezpieczeństwo rozlania się jej na cały świat jest ogromne”. Opinia premiera Węgier nie odbiega specjalnie od słów byłego prezydenta USA Donalda Trumpa, który komentując wizytę Joe Bidena w Kijowie, uznał, że obecna polityka Białego Domu prowadzi do wybuchu trzeciej wojny światowej.

Przytaczam słowa obu polityków z kilku powodów. Po pierwsze, obaj są zadeklarowanymi konserwatystami i nie sposób ich zaliczyć, jak to się coraz częściej robi w Polsce, do pacyfistycznej, światowej lewicy. Po drugie, trudno ich też uznać za, drugi często w Polsce podnoszony zarzut, matrioski Putina. Przypomnę, że wieloletnie śledztwo prowadzone przez różnych najbardziej zagorzałych demokratów, które miało wykazać powiązania Trumpa z Kremlen, zakończyło się totalnym fiaskiem. Nie da się zatem ogłosić, że są albo agentami Kremla, albo głosem tchórzliwej lewicy.

Można się jednak z nimi nie zgodzić i dlatego trzeba przyrzec

się argumentom ich przeciwników, którzy wciąż są w większości. Nie da się ukryć, że z tego punktu widzenia najgłośniejszemu zwolenników kontynuacji wojny wybrzmiewają w Polsce, która w tej sprawie stała się swego rodzaju rzecznikiem polityki amerykańskich demokratów. Mówią oni, że negocjacje nie mają sensu, bo prędzej czy później Rosja musi atakować dalej. Dlatego im bardziej wykrawi się w starciu z Ukrainą, tym lepiej. Co więcej, z tego punktu widzenia należy udzielać Kijowowi wszelkiej koniecznej pomocy, bo „Ukraina walczy za nas”. Jedynym rozwiązaniem musi być przegrana Rosji – czyli co najmniej wycofanie się na tereny sprzed 2014 r. Każda inna forma porozumienia oznaczać będzie akceptację dla działań agresora i zachęci go, nawet jeśli po przerwie, do dalszej ekspansji na wschód. Są zresztą też tacy, którzy uważają, że wojna niesie dla Polski ogromne korzyści, bo pozwoli jej wydobyć się z przekleństwa położenia między Niemcami a Rosją.

Nie da się ukryć, że te dwie wizje, szkicowo tu przedstawione, są skrajnie różne i nie do pogodzenia. Trudno też zaprzeczyć, że ta druga wizja – rozbitej Rosji, wycofującej się z podkulonym ogonem hen, na wschód, potężnej Polski, zajmującej miejsce Niemiec w Europie – doskonale odpowiada polskim potrzebom i marzeniom. Zło, czyli agresor, zostałoby ukarane, a na dodatek jeszcze spełnienie tej wizji dałoby Polsce ogromne korzyści. Jednak w polityce, czego uczy nas cała historia, ważniejsze niż wizje są rzeczywistość i układ sił. Więcej: poleganie na swoich własnych marzeniach i pragnieniach bywa skrajnie niebezpieczne, prowadzi bowiem do katastrof i upadków.

Otóż to jest właśnie podstawowa wada projektu wojennego: jego zwolennicy nie zauważają kosztów i ceny, jaką za jego realizację trzeba by zapłacić. To, co niepewne – atak Rosji na NATO – biorą za pewnik; to, co pewne – gigantyczne koszty konfliktu – pomijają bądź relatywizują. Koszty ludzkie na razie ponoszą Ukraińcy, to prawda, ale żelazna logika konfliktu na wyniszczenie musi prowadzić do pytania: Co będzie, jeśli Ukraińców zabraknie? Podobnie: Co będzie, jeśli wojna rozleje się na kolejne państwa, w tym, co wynika z geografii, na Polskę?

Polscy zwolennicy opcji wojennej podkreślają, że można być pewnym pełnego wsparcia dla niej przez USA. Jak to powiedział premier Mateusz Morawiecki: USA nie mogą się wycofać, bo straciłyby wiarygodność. Pierwszy raz widzę, żeby opierać swoją politykę tak bezwarunkowo i bezgranicznie na tym, jak się samemu definiuje interesy obcego państwa, i to jeszcze supermocarstwa. Po pierwsze, USA wielokrotnie pokazywały, że mogą się wycofać z obietnic, nawet jeśli uderzało to w ich wiarygodność. Wystarczy podać przykład Wietnamu, a obecnie Irak czy ostatnio Afganistan. Po drugie, co ważniejsze, obecna polityka Waszyngtonu prowadzi do scementowania sojuszu Moskwy z Pekinem. Czy w sytuacji zwarcia z tym drugim, co jest coraz bardziej prawdopodobne, Waszyngton będzie w stanie utrzymać swoje zaangażowanie w Europie Wschodniej? Wątpię.

Dlatego, mimo całej sympatii dla wielkich wizji i planów, to podejście premiera Węgier i byłego prezydenta USA wydaje mi się bardziej roztropne. © ©

TEMAT TYGODNIA

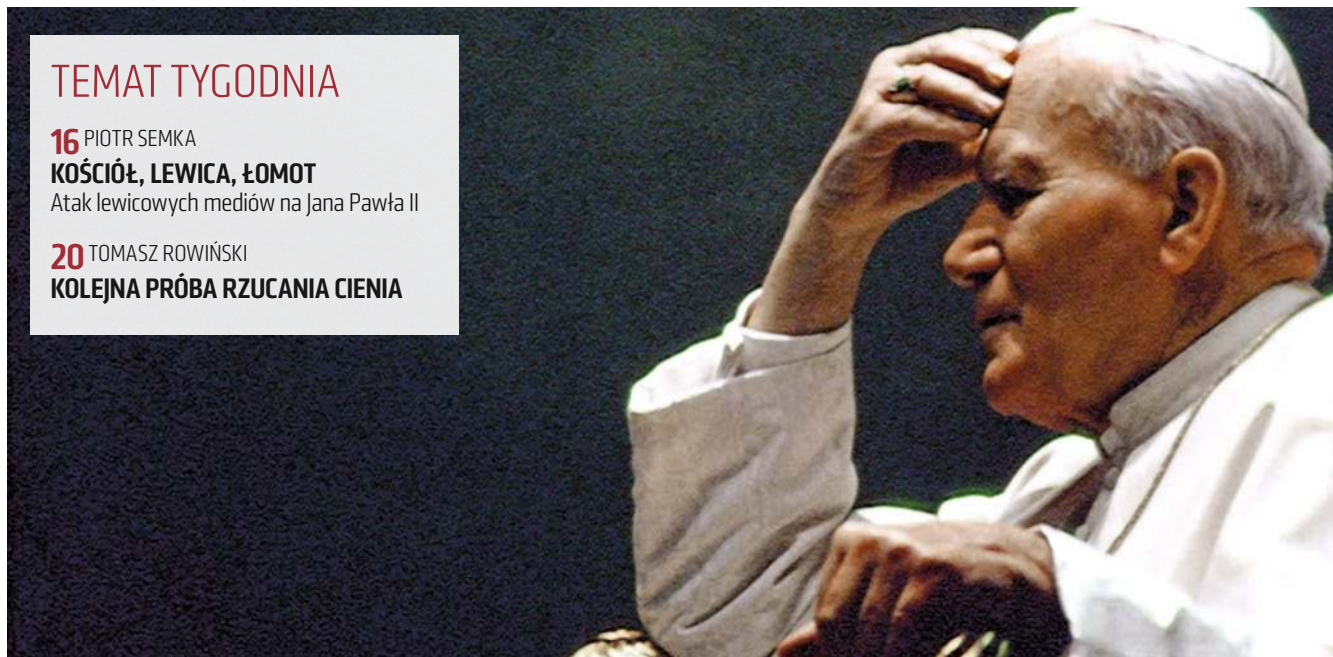
16 PIOTR SEMKA

KOŚCIÓŁ, LEWICA, ŁOMOT

Atak lewicowych mediów na Jana Pawła II

20 TOMASZ ROWIŃSKI

KOLEJNA PRÓBA RZUCANIA CIEŃ



KRAJ

24 KAROL GĄC

PAT W TRYBUNALE

Czy Trybunał ma prezesa?

28 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM WYSZKOWSKIM
SKRADZIONA SOLIDARNOŚĆ

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

KOZI RÓG TUSKA

32 ZUZANNA DĄBROWSKA

WSZYSTKIE ŚCIEMY „BARTA”

34 ŁUKASZ ZBORALSKI

KTO CI ZABIERZE PSA I KROWĘ?

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK

NIE DO ODRZUCENIA

Serial o kręceniu filmu wszech czasów

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 OLIVIER BAULT

NIEROSYJSKIE INGERENCJE W WYBORY

Kto miesza ludziom w głowach?

50 LECH MAŻEWSKI

**CZY JEZUS BYŁ WYZNAWCĄ ETYKI
ODPOWIEDZIALNOŚCI?**

52 ŁUKASZ WARZECHA

**TRZEBA NAUCZYĆ
SIĘ ODRZUCAĆ
EMOCJE**

debata
DO RZECZY

HISTORIA



54 ŁUKASZ CZARNECKI

ŁOWY NA BIAŁYCH NIEWOLNIKÓW

Muzułmańscy piraci

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI

ILUZJA „INNEJ ROSJI”

Koniec imperialnych apetytów?

62 WITOLD REPETOWICZ
ANGLICY XXI W.

66 PAWEŁ CHMIELEWSKI

**KOLEJNE UDERZENIE
W TRADYCJONALISTÓW**

68 PIOTR WŁOCZYK

LABORATORIUM NIEZGODY

EKONOMIA

72 TOMASZ CUKIERNIK

ZAKAZ KOTŁÓW GAZOWYCH

Unia zmienia zdanie

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK

NA PRZEDNÓWKU

Co jeść, gdy zima się skończyła, a wiosna
jeszcze nie nadeszła

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Oliver Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabanski, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Włoczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),

Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (dobreka zdjęć)
Fotoredycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYDOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa

Okladka: Bernard Bisson/Getty Images, NAC; oprac. graf. Sunday/JAN

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
Jolanta Klor

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmppg.pl; tel.: 539 953 631; Joanna Gosek, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

UE, czyli przedłużenie ręki sprawiedliwości ludowej

Jestem czytelnikiem „DRz” od początku, czyli 10 lat. Jestem też rolnikiem, trochę dłużej. Od jakiegoś czasu głośno jest o ograniczeniu w bliskiej przyszłości mięsa w różnej postaci i nabiału oraz zastępowania tego w naszej diecie produktami z owadów. W moim odczuciu przygotowania do tego trwają już od naszego wstąpienia do Unii, czyli od ok. 20 lat. Ja przerabiam to na własnej skórze, zaczęło się od uchwalenia milionów przepisów, wprowadzenia dopłat obszarowych, teoretycznie dobrowolnych. Jednak obsługa wniosku uzależniona jest od zgody na poddanie się kontroli, no i się zaczęło.

Efektom tego dorobku prawie 20-lecia jest pogrom chowu zwierząt w gospodarstwach rolnych. Obecnie w moim województwie (lubuskim) krowy mleczne można uważać za gatunek ginący, świnie również, o pozostałych nawet nie warto wspominać. Jestem jednym z ostatnich, którzy jeszcze trzymają te zwierzęta, ale to już wkrótce się zmieni i też dzięki państwu polskiemu zrezygnuję z chowu zwierząt.

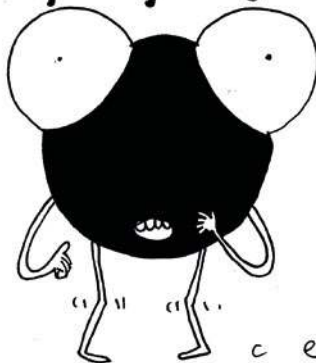
Odbyna się to bardzo praworządnie, zaczynają się kontrole Powiatowej Inspekcji Weterynaryjnej, która oczywiście znajduje coś, co zasługuje na ukaranie mandatem. Rolnik ma do wyboru: zapłacić albo odmówić. Ja odmówiłem, no i się zaczęło. PIW do policji, państwowej oczywiście, policja do sądu, a sąd wydaje wyrok skazujący w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, oczywiście z orłem w koronie.

Ja już jeden tak procedowany wyrok mam za sobą, a wkrótce będzie następny. Przyznaję, inni rolnicy nie opierali się tak długo i zrezygnowali z chowu zwierząt już dawno, ja oficjalnie zrobię to w tym roku i przejdę do podziemia, tak jak za niemieckiej okupacji, oglądam nawet dokumentalne filmy, aby dowiedzieć się, jak to robiono wtedy. Dzieje się to wszystko w majestacie prawa, tylko odbywa to się tak, jak można było „kota”, czyli młodego żołnierza w Ludowym Wojsku Polskim, zajeżdźać na śmierć, byle to robić zgodnie z regulaminem. Ja odbywałem służbę wojskową w połowie lat 70. ubiegłego wieku i wiem, o czym piszę.

I jeszcze jedna refleksja, gdy w 1974 r. przysięgałem bronić przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i sojuszu z Armią Czerwoną, przyznaję, potem tego nie dotrzymałem, a rota przysięgi kończyła się groźbą, że jeśli tego nie zrobię, to niech mnie dosięgnie surowa ręka sprawiedliwości ludowej. Mam wrażenie, że późno, bo późno, ale ta ręka mnie dosięga.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

2 ty jesteś dobry dwutlenek węgla,
wyemitowany przez prywatny odrzutowiec,
czyż ty - wyemitowany przez produkcję
rolną? ..



c e z a t y k t y j e t o n d



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Mentzen – czarodziej sieci

Daleko mi do libków, młodzieniaszkami też już nie jestem, a jednak witalizm Sławomira Mentzena musi robić wrażenie. Pewnie jest to kwestia kontrastu. Trzydziestosześcioletni polityk z Torunia mówi, zachowuje się i rozwija swój „brand” w sposób, który pokazuje, że mu się chce. Ma coś, czego nie mają jego rówieśnicy z innych partii. Dociera do licealistów i studentów, grając na różnych klawiaturach naraz. Używa Facebooka, Instagrama, YouTube. Chwali się z zostania „tiktokerkem”.

Ta walka o rozpoznawalność zaczęła się w czerwcu 2020 r., gdy rozpoczął cykl imprez „Piwo z Mentzenem”. Pewien posmak nielegalności tych spotkań (był lockdown) i stand-uperski talent Mentzena sprawiły, że potrafił przyciągnąć tłumy. Dziś chce zdobywać głosy tych, którzy – jak sam to określa – „mają dosyć PiS-u i Platformy”. Zapowiada własne rapowane piosenki, buduje sensację wokół kręcenia teledysków, zachęca „kuców” do wspomagania swojej kampanii.

Wszystko pięknie, ale tu zaczyna się schody. Pułapka politycz-

nego „średniego rozwoju”. Mimo trzech lat lansowania się dopiero rok temu objął schedę w partii po Januszu Korwin-Mikkem. Jest za słaby, by wystartować jak Hołownia z własną listą, i będzie musiał dreptać z Konfederacją. Tyle że startowanie obok wiecznie chłopackowatego Krzysztofa Bosaka, zimnego jak ryba Roberta Winnickiego, rusofilskiego Grzegorza Brauna i wreszcie rezonera Artura Dziambora na razie nie wróży, by wyrwał się z konfederackiego getta.

Mentzen jest najbardziej pojętym uczniem nowoczesnej polityki w sieci po prawej stronie. Owszem, ma siłę przebicia, ale nie oduczył się wciąż nawyków, które będą mu szkodzić. Gdy słusznie wykiwa zdumienie Adriana Zandberga z Lewicy Razem – który nie widzi związku między unijnym zakazem silników spalinowych a nagłym zwolnieniem 300 ludzi z fabryki w Bielsku-Białej – zdobywa punkty. Ale jednocześnie nie potrafi się powstrzymać, by brodatego lewicowca nie obdarzyć epitetem „Baran”. Gdy w audycji „Mikrofon z Mentzenem” internauta pyta go o najbar-

dziej inspirujące go ostatnio książki – ten wymienia „Czarnego łabędzia” Nassima Taleba i tegoż autora „Antykruchłość”. Ale nie jest w stanie powstrzymać się, by pyszałkowato ostrzec: „Ostrzegam, jak ktoś nie będzie w stanie przebrnąć przez »Czarnego łabędzia«, niech nie bierze się do »Antykruchłości«”. I każdy dośpiewuje sobie niewypowiedzianą myśl Mentzena: „Ja przebrnąłem przez jedną i drugą książkę”.

Jako lider partii, która włókła za sobą latami niczym kulę u nogi wyskoki Janusza Korwin-Mikkego, Mentzen musi zrozumieć, że efekciarstwo jest jak sól – trzeba uważać z jej przedawkowaniem. I nie chwalić się, jak to on sam czynił parę lat temu, że „politykę robi się na emocjach”. Bo gdy przedstawuje swój styl faceta sukcesu, który poucza w swej książce innych, „jak trzeba żyć”, zaczyna tracić na wdzięku.

Lider Nowej Nadziei wciąż ma przed sobą awans z ligi „bezczelny, ale sprawny” do kategorii „polityk skuteczny”. Czy wykona ten skok w trakcie tegorocznej kampanii do Sejmu? ©©

BLINKEN I ŁAWROW
ROZMAWIALI
O BRONI ATOMOWEJ

Na marginesie szczytu G20 w Indiach sekretarz stanu USA Antony Blinken i szef MSZ Rosji Siergiej Ławrow przeprowadzili pierwszą rozmowę w cztery osoby od rozpoczęcia przez Rosję inwazji na Ukrainę. Antony Blinken miał podkreślać, że USA są gotowe wspierać Kijów tak długo, jak będzie to konieczne, oraz zaapelować do Rosji o powrót do układu o kontroli strategicznej broni jądrowej New START. (jap)

Analiza:

700 metrów dla wiatraków oznacza utratę prawie połowy miejsca pod inwestycje

47 proc. – o tyle mniej powierzchni Polski będzie dostępne pod inwestycje wiatrowe względem pierwotnej rządowej propozycji, jeśli utrzyma się wymóg zachowania odległości 700 metrów od domów. We wcześniej konsultowanym projekcie była mowa o 500 metrach

Niedługo tzw. ustawą wiatrakową zajmie się ponownie Sejm. – Poprawka przyjęta przez Sejm jest według naszych obliczeń dwukrotnie bardziej restrykcyjna niż wcześniej konsultowany społecznie wariant ustawy. W samym województwie kujawsko-pomorskim ta zmiana oznacza utratę 65 proc. powierzchni dostępnej pod turbiny wiatrowe – ocenia Michał Hetmański, prezes Instratu.

W praktyce, ze względu na zmianę wymaganej odległości i inne modyfikacje procesu inwestycji wiatrowych, przyjęcie nowelizacji w obecnym kształcie doprowadzi nie tylko do obciążenia potencjału wiatrowego w Polsce nawet o połowę, lecz także znacząco opóźni lub sparaliżuje wiele już przygotowanych inwestycji. – Uchwalenie nowelizacji w wariantie 700 metrów drastycznie spowolni tempo dekarbonizacji polskiej energetyki i zwiększy nasz rachunek za importowane paliwa kopalne. To nie jest prawdziwa liberalizacja prawa wiatrakowego. Nie do tego zobowiązał się polski rząd, gdy

500 a 700 metrów – największe traci Polska centralna Im ciemniej, tym większy ubytek.

Ubytek powierzchni dostępnej pod turbiny wiatrowe w wariantie 700m od zabudowań mieszkalnych względem wariantu 500m, w województwach, w %.

-65% -48% -31%



Źródło: opracowanie własne Instratu.

instrat

negocjowano kamienie milowe Krajowego Planu Odbudowy – mówi Michał Hetmański.

UCIERPIĄ WSZYSTKIE WOJEWÓDZTWA

Obliczenia zespołu Instratu¹ pokazują skutki tej „wrzutki” dla każdego województwa. Nawet w najmniej dotkniętym tą zmianą województwie lubuskim zamiana 500 metrów na 700 oznacza uszczuplenie dostępnej przestrzeni o 31 proc. Inne województwa, w których wpływ poprawki będzie stosunkowo niewielki, to województwa opolskie i zachodniopomorskie. Ale i tam powierzchnia możliwa do wykorzystania na energetykę

wiatrową skurczy się o blisko jedną trzecią.

700 METRÓW TO WOLNIEJSZA TRANSFORMACJA ENERGETYKI I WYŻSZY RACHUNEK ZA GAZ

Wcześniejsze obliczenia przygotowane przez Instrat² wskazywały, że ustanowienie minimalnej odległości na poziomie 500 metrów względem obecnych ok. 1,5 km (zasada 10H) oznaczałoby, że w długim terminie w Polsce moglibyśmy osiągnąć potencjał mocy na lądzie (poprzez nowe inwestycje i modernizację) na poziomie 44 GW. – Przy 700 metrach

realizacja tego potencjału nie będzie możliwa, a przyrost nowych mocy będzie znacznie wolniejszy – ocenia Hetmański.

Każdy 1 GW lądowych farm wiatrowych to realne oszczędności – nie tylko niższe ceny prądu, lecz także rachunek za gaz. Rocznie z takiej ilości mocy możemy wyprodukować tyle prądu, ile zużywa całe województwo podlaskie. Aby go wyprodukować z importowanego gazu ziemnego, trzeba by wydać ok. 2 mld zł. – Takie przesuwanie suwakiem na ślepo to niebezpieczna gra geopolityczna – podsumowuje Hetmański.

CZY RZĄD ZGADZA SIĘ Z PROPOZYCJĄ SEJMU?

Senatorowie wszystkich ugrupowań w głosowaniu pod koniec lutego przyznali, że trzeba powrócić do poprzedniego, rządowego wariantu, który zakłada odległość 500 metrów. Wiceminister klimatu i środowiska Ireneusz Zyska w debacie na sali plenarnej Senatu potwierdził rzetelność obliczeń Instratu, powołując się na nie. Wskazał, że odblokowanie potencjału energetyki wiatrowej według rządowego projektu to interes „nie tylko samej branży inwestycyjnej”, czyli deweloperów i inwestorów OZE. Pełnomocnik rządu ds. OZE apelował: „Musimy rozważyć interes polskiej gospodarki – przemysł potrzebuje energii odnawialnej”.

¹ Instrat, Sejmowa poprawka oznacza utratę prawie połowy miejsca pod turbiny wiatrowe, www.instrat.pl/500-vs-700, 16.02.2023.

² Raporty „Wiatr w żagle. Zasada 10H a potencjał lądowej energetyki wiatrowej w Polsce” – maj 2021 oraz „Co po węglu? Potencjał OZE w Polsce” – czerwiec 2021.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Giertych do Kórnika?

W planach lewicowo-liberalnej opozycji miało to być zapewne wydarzenie, ale jakoś mało kto je odnotował, nawet w mediach antypisowskich. Mianowicie przedstawiciele partii opozycyjnych ogłosili zawarcie „paktu senackiego”. Nikogo to zresztą nie zaskoczyło, odbicie z rąk partii rządzącej Senatu było wszak jedynym sukcesem opozycji w ostatnich latach, więc powtórzenie „paktu” w kolejnych wyborach się narzucało. Choć, po prawdzie, sukces zawdzięczała opozycja przede wszystkim błędowi PiS, który w kilku kluczowych okręgach uparł się wystawić kandydatów partyjnych przeciw lokalnym autorytetom, rozbijając „prawicowe” głosy.

Pusta deklaracja „porozumieliśmy się” nic nie znaczy dopóty, dopóki nie okaże się, że opozycja istotnie jest w stanie zapanować nad ambicjami chętnych do senackiego mandatu, których jest więcej niż miejsc, a niektórzy – i to ci najbardziej potrzebujący senatorskiego immunitetu, a więc najbardziej zdeterminowani – są, delikatnie mówiąc, trudni do zaakceptowania dla wszystkich koalicjantów.

Najbardziej kontrowersyjny jest oczywiście mecenas Giertych, który od dawna bardzo chce startować z okręgu pod Poznaniem, gdzie – konkretnie w Kórniku – przypadkiem ma włości i gdzie mówi się, że wygra nawet koń, byle był antypisowski. Czy wygra, nie wiadomo, na razie pytanie, czy mu kandydować

pozwolą. Po niedawnym wyroku sądu, który uznał sławne omdlenie Giertycha za nieskuteczne prawnie, niwecząc całą jego linię obrony przed prokuratorskimi zarzutami, Giertych nie może się pokazać w Polsce, bo zostanie „doprowadzony”. W dodatku jego oszołomska aktywność w mediach społecznościowych sprawia, że nie wiadomo już, co bardziej go kompromituje – „faszyzująca” przeszłość czy twitterowa współczesność. Dla lewicy uwzględnienie Giertycha w „pakcie” będzie policzkiem; z kolei dla Tuska policzkiem będzie „odstrzelenie” mu go. Zapowiada się ciekawie i kiedy tę sprawę zdołają uczestnicy „paktu senackiego” uzgodnić, to dopiero będzie „newsem”, nie samo jego zawarcie. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

UB i lepszy świat

Parę lat temu rozmawiałem w „Faktach po Faktach” z prof. Tomaszem Nałęczem o postawie Episkopatu wobec „walki o praworządność”. I choć w sprawach bieżących mieliśmy zupełnie inne zdania, to zakończyliśmy zgodnym stwierdzeniem, że tradycja jest piękna. Wspomnieliśmy bowiem ostry sprzeciw arcybiskupów Sapięhy i Teodorowicza wobec haniebnego procesu brzeskiego. Zwróciłem tylko wicemarszałkowi uwagę, że najmocniej Centrolewu bronili dwaj najbardziej prawicowi i „integrystyczni” biskupi. Integryzm i integralność potrafią się łączyć nie tylko etymologicznie.

Ci, którzy dziś atakują Księcia Kardynała, nie muszą nic wiedzieć ani o Brześciu, ani o pracy prał. Sapięhy dla sprawy polskiej u boku św. Piusa X, ani o jego walce o polski Śląsk (za co bp Sapięha zapłacił rzymską niełaską, gdy nuncjusz, którego neutralność krytykował, został następnym papieżem), ani o obronie społeczeństwa podczas okupacji niemieckiej, ani o całym jego pięknym życiu. Nie muszą w ogóle nic wiedzieć, tak jak holenderski delator, który swych insynuacji dogrzebał się w materiałach UB, nie musi wiedzieć, co to było UB, NKWD czy bolszewizm w ogóle.

Gdy zwróciłem im publicznie uwagę, że jeśli tak dalej pójdzie, to zaczną używać materiałów Gestapo z antykatolickiej kampanii Goebbelsa po „Mit brennender Sorge” – niezawodny Krzysztof Mądel SJ odpowiedział, że obyczajowe zarzuty Gestapo wobec księży „były zazwyczaj potwierdzone i dobrze udokumentowane”. I to jest przynajmniej konsekwencja!

I rytowała mnie popularność „Psów” Pasikowskiego, ale gdy słucham tego wszystkiego, najchętniej bym im wszystkim odpowiedział w języku zrozumiałym dla amatorów tamtego esbeckiego eposu: „Co wy [...] wiecie o Księciu Kardynale?!”. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

I już, już wielkiemu objaśnić Joe Bidenowi
 Tęczące PiS z Putinem strzałki Tomasa
 Piątki, gdy nagle...



~ x y z t o n d ~ x ~ z f z t z i e u ł i e w i o z



PIOTR KOWALCZYK
 Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Horror we Florencji

Jak już informowałem, pod szkołą we Florencji prawicowa młodzież szkolna pobiła się z lewicową i wyszło na to, że faszystowska bojówka zmasakrowała młodych postępców. Teraz wiadomo, że to prawicowcy zostali zaatakowani, bo prowadzili akcję ulotkową nawiązującą do zbrodni komunistycznych partyzantów jugosłowiańskich Tity, którzy w ramach czystki etnicznej wymordowali kilkanaście tysięcy Włochów z Dalmacji i Istrii. Ciała ofiar wrzucali do kilkusetmetrowej głębokości grot, które po włosku nazywają się „foibe”.

Z powodu lewicowego zamordyzmu we włoskiej kulturze, edukacji i nauce dopiero w 2004 r. prezydent Ciampi ustanowił Dzień Pamięci Ofiar Foibe.

Przedtem obowiązywała wersja, że ofiary partyzantów Tity to faszystowscy zbrodniarze, których spotkała słuszna kara. Incydent pod liceum był dla włoskiej lewicy znakomitą pretekstem do zorganizowania kolejnej antyfaszystowskiej hecy. We Florencji ruszył marsz protestacyjny. Do uczniów i nauczycieli dołączyło wielu lewicowych polityków z burmistrzem miasta na czele, jaskiniowci komuniści, czerwoni związkowcy, anarchiści, zadymiarze i oszołomy wszelkiej maści.

Była to mieszanina piorunująca. Na ulicach jednego z najpiękniejszych miast świata z wielką mocą eksplodowały ludzka podłość, ignorancja i głupota. Powiewały flagi Związku Sowieckiego i komunistycznej Jugosławii. Wznoszono

okrzyki: „Niech żyją foibe! Niech żyje towarzysz Tito!”. Podobne hasła wypisano na transparentach, a przy okazji: „Pozbądźmy się faszystów! Niech żyją stryczki z placu Loreto! Giorgio Meloni – będziesz pierwsza!” (na placu Loreto w Mediolanie 29 kwietnia 1945 r. powieszono za nogi zwłoki Mussoliniego, jego kochanki Clary Pettaci i kilkunastu faszystowskich dostojników).

W obronie demokracji i w ramach walki z faszyzmem demonstranci oddali hołd komunistycznej zbrodni, komunistycznemu mordercy, Związkowi Sowieckiemu i grozili śmiercią premier Meloni. Słowem – w słonecznej Italii, w kolebce odrodzenia, zupełnie jak w Rosji Putina. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

BEATA NIE JEST
POTWOREM

Bez zasłużonego echa przeszedł wywiad Beaty Kozidrak udzielony jakiś czas temu „Gazecie Wyborczej”. Nie można pozwolić, aby takie celebrycko-dziennikarskie złoto się zmarnowało! Tak więc wybrałam najbardziej ujmujące fragmenty. Szybkie przypomnienie kontekstu – 1 września 2021 r. wokalistka została zatrzymana za prowadzenie samochodu ulicami Warszawy, mając dwa promile w wydychanym powietrzu. Sąd ukarał ją grzywną w wysokości 50 tys. zł. Dodatkowo Kozidrak ma obowiązek uiścić 20 tys. zł na



FOT. PIOTR MOLEWIEC/ST. NEWS

rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Artystka ma też pięcioletni zakaz prowadzenia pojazdów. Czyli generalnie Beata dała ostro do pieca, za co spotkała ją zasłużona kara. Niestety, piosenkarka nie wykorzystała okazji, aby milczeć. „Jeśli odniesiesz sukces, spełniając oczekiwania społeczeństwa, to jesteś aniołem. Ale kiedy jesteś na świeczniku i zrobisz coś nie tak, bo nie jesteś w formie, bo popełniłeś błąd, nie spełniłeś oczekiwań, to od razu stajesz się potworem. Trzeba być silnym, żeby wytrzymać taką presję, żeby znaleźć równowagę pomiędzy tymi dwiema skrajnościami” – uzała się gwiazda w wywiadzie dla „GW”, niepytana nawiązując do swojej „trudnej” sytuacji.

DAJCIE ŻYĆ!

Dalej robi się tylko lepiej. Z ust odpytującego Kozidrak Jarosława Szubrychta pada bowiem stwierdzenie o... „wyznaniu”. „Trudno w tym miejscu nie pomyśleć

o wyzwaniu, z którym musiała się pani zmierzyć we wrześniu 2021 r. Prowadziła pani samochód po zakrapianym wieczorze, zatrzymała panią policja” – zagaja dziennikarz. Piosenkarka próbuje wziąć czytelników „na litość”. „To był 1 września, rocznica śmierci mojej mamy. Dopiero po jakimś czasie zdałam sobie z tego sprawę... Mama porządnie kopnęła mnie w tyłek, tak to sobie tłumaczyłam. Na szczęście nikomu nic się nie stało, a jedną osobę uratowałam. Siebie” – przekonuje Beata. Dalej zapewnia, że zrobiła rachunek sumienia i wyciągnęła wnioski. Jednak na stwierdzenie dziennikarza, że uznanie przez sąd zasług dla polskiej kultury jako okoliczności łagodzącej było odebrane przez wielu jako skandaliczne, artystka wyciąga argument ostateczny, czyli hejt. „Poddałam się karze. O mojej sprawie wypowiadało się kilku bardzo znanych prawników i zgodnie stwierdzili, że dostałam bardzo wysoką karę. Ale i tak największą karą było to, co przeżywałam, oraz to, w jaki sposób mnie oceniano, te chamskie komentarze. Wszystko, co zrobię lub powiem, od razu jest nagłaśniane. To dla mnie duże obciążenie, a czasem po prostu ból” – podsumowała Beata. Szalony pomysł – może by tak nie łamać prawa i nie narażać innych na niebezpieczeństwo? Później nie trzeba będzie się ani kajać, ani zmagać z falą krytyki. Najprostsze rozwiązania bywają najskuteczniejsze.

MUCHA
NAS URZĄDZI

Z tematów hiperważnych. Anna Mucha pojechała w góry na zimowy wypoczynek. Jak na celebrytkę zaangażowaną przystało, pośród białego szaleństwa Ania znalazła czas na poruszenie kwestii społecznych. – Kochani, jestem w przepięknych okolicznościach przyrody. Chciałam was zapytać, co myślicie na ten temat. Jest coraz więcej miejsc, gdzie jest absolutny zakaz palenia papierosów. Nawet na plażach jest zakaz palenia papierosów. A w górach można palić. Powiedzcie mi, czy wy jesteście przypadkiem za tym – to jest pytanie retoryczne z mojej strony – żeby zakazać palenia papierosów na stokach. Ja jestem za. Bardzo jestem za – zadeklarowała Mucha. Okazuje się, że instagramowi obser-

watorzy podzielają ten pogląd, ponieważ w ankiecie udostępnionej przez aktorkę zdecydowana większość poparła zakaz. Chwała niech będzie celebrytom, bo bez nich nie wiedzielibyśmy, jak wiele problemów jest wymyślonych.

EUROWIZYJNA INBA

Jesteśmy po polskich preselekcjach do konkursu Eurowizji 2023, który w tym roku odbędzie się w Liverpoolu. Szanowni państwo, rubryki takie jak ta z zachwytem obserwują internetową inbę, która wybuchła po werdykcie. Wygląda bowiem na to, że wygrała nie ta osoba, która zdaniem publiczności powinna reprezentować Polskę. W związku z tym ruszyła fala komentarzy, spekulacji i teorii spiskowych. Preselekcję wygrała Blanka Stajkow z utworem „Solo”, który już teraz jest w naszym kraju hitem. Zwycięczynię wyłoniono poprzez zsumowanie głosowania SMS-owego widzów oraz głosów jury złożonego z ekspertów. Tymczasem internauci w swojej masie protestują, ponieważ chcieliby, aby do Liverpoolu pojechał Jann (jury umieściło go dopiero na czwartym miejscu). I teraz teoria nr 1 – Blanka wygrała, ponieważ to koleżanka Allana Krupy (kamera uchwyciła ich podczas rozmowy), syna Edyty Górniak, która przewodniczyła jury. – Mogłby wygrać ktokolwiek, ja miałbym na to tak samo wyjbane, natomiast Blanka, przebałam ją wczoraj pod kątem twórczości, robi fajną muzykę i myślę, że fajnie będzie nas reprezentować w Londynie – przekonywał oburzony Allan. Teoria nr 2 – wszystko było wiadomo jeszcze przed preselekcjami. Na Twitterze krążą screeny artykułu, który miał ukazać się na stronie TVP dwie godziny przed startem preselekcji. W artykule informowano, że Polskę reprezentować będzie Blanka, a Jann zajął w konkursie drugie miejsce (TVP dementuje, podkreślając, że głosowanie przebiegło zgodnie z zasadami). Teoria nr 3 – wysnuta przez autorkę tejsze rubryki – jurorzy wybrali utwór nieco bardziej rytmiczny i wpadający w ucho niż pozostałe, bo uznali, że lepszy standardowy, popowy hit niż cała reszta nijakich piosenek w stylu wyjąco-zawodzącym. I tak wiadomo, że Polska zostanie odprawiona z Eurowizji z kwitkiem, więc niech chociaż ludzie się trochę pobujają. © ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak informują media, do tego kraju powrócił już z afrykańskich wojaży pierwszy osobobocian. Jednocześnie media donoszą, iż bocian na razie robi to wszystko, co robią powracające z Afryki osobniki jemu pokrewne: ogarnia sobie gniazdo, czyści pióra i... czeka na partnerkę.

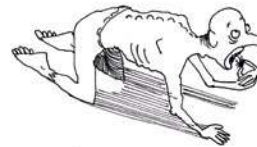
No bardzo przepraszamy, ale czy którakolwiek z osób redaktorskich pofatygowała się, aby porozmawiać z obobockiem i zapytać go, jakiej jest orientacji, jakiej płci, jak to w ogóle z tymi sprawami u bocianów? A może on się w ogóle identyfikuje jako kukułka czy inna pliszka?

Skąd w ogóle odgórne założenie, że bocian na kogoś czeka? A może jest singlem, który świadomie zdecydował się uwić sobie gniazdo solo, a z osobami dowolnej płci i gatunku wchodzić wyłącznie w relacje poliamoryczne lub przelotne romanse? Może celowo nie chce się wiązać, iżby nie musieć potem wychowywać potomstwa w tym kraju. Bo kto mu zagwarantuje prawo do wyboru i po co mu na dziobie prokurator, jeśli przypadkiem wypadnie mu jajo z gniazda?

Poza tym nowoczesny osobobocian wpadł tu pewnie na chwilę, iż korzystając z otwartego nieba nad wspólną Europą niebawem polecą gdzieś dalej, może do Niemiec, a potem – kto wie? – do Holandii czy Francji. Jeśli miałyby bowiem

do wyboru elegancki słup pod gniazdownie w Prowansji, to po kiego miałyby siedzieć w jakimś Krutyniu, gdzieś na granicy świata z Podlasiem? Jeszcze ktoś go tam zeżre i tyle będzie z tej pięknej emancypacyjnej bocianie przegody.

No tak, tak, może pan, a nawet powinien pan jeść robaki, ale na litość, przecież nie zaimun najedzą się pajzaki!!!



Łukasz Warzecha

Nie wiemy jak wy, ale my ostatnio bardzo się martwimy o nasz ślad węglowy. W sumie to nie wiedzieliśmy, iż zostawiamy go aż tyle, nie robiąc niczego, a tylko oddychając, chcieliśmy więc zorganizować akcję wstrzymywania oddechu dla planety pod hasłem: „WALKA O KLIMAT DO UTRATY TCHU”, ale wytrzymaliśmy tylko pierwszy trening, po którym mieliśmy lekkie halucynacje – to okropne, co ślad węglowy robi z osobami.

Postanowiliśmy więc podjąć się innych aktywności, które pozwoliłyby

nam minimalizować nasz negatywny wpływ na planetę. Zaczniemy od niekupowania nowych ubrań, nieprania tych, które mamy, ograniczymy kąpiele – a co za tym idzie, kiedy wcielimy to wszystko w życie, przestaniemy wychodzić do restauracji i w miejsca publiczne, iż prawdopodobnie będziemy emitować nieprzyjemne zapachy.

Martwimy się jednak, czy zapach też przypadkiem nie pozostawia śladu węglowego, a jeśli tak, to nie będzie można nawet leżeć i pachnieć, bo to też zniszczy klimat i zdegraduje planetę.

Pomyśleliśmy więc, iż może ograniczymy podróże samolotami z jednej na cztery lata do jednej na 10 lat, ale w takim układzie kolejna miałaby się i tak odbyć już w tym roku, no więc bez przesady – wakacje spędzimy jednak w mieszkaniu. No i nie będziemy wychodzić na zewnątrz, zrobimy sobie taki lockdown klimatyczny, bo jak się spocimy i będziemy parować, to... no sami już wiecie.

Szukamy więc nadal sposobu na zeroemisyjne życie – nie wiedzieliśmy, iż degradujemy planetę samym faktem tego, iż na niej żyjemy. Jedynym ratunkiem jest ekspansja na Marsa. Ale czy na Marsie ślad węglowy nie będzie już istniał? ☹☹

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Cykl zamkniętych spotkań

Donald, skąd ty te kredyty wziąłeś? Te na zero procent?

A wiesz, Borys – ulicą szedłem, na latarni taka ulotka wisiała, że kredyty chwilówki, no i tak sobie skojarzyłem: chwilówka – kredyt

– mieszkania – zero procent. Ale dobre mi to wyszło, nie?

No nie wiem... Nawet ci nasi ekonomiści nosem kręcą...

Oj dobra, pokręcą, pokręcą i przestaną. Przecież my żadnych kredytów i tak nikomu nie załatwimy, jeszcze na głowę nie upadłem.

Ja myślę. Ale jakby ciebie z kolei pytali, skąd wziąłeś pomysł, to musisz powtórzyć moją wersję. Bo mnie już

dziennikarze pytali i musiałem im coś powiedzieć. I co powiedziałeś?

Że to plan, który urodził się podczas trwającego rok cyklu twoich zamkniętych spotkań z Piketty'm, tym od tej książki grubej, coś tam o kapitale, nie pamiętam dokładnie. A jak sprawdzą?

No jak? Myślisz, że ktoś ma numer do tego całego Piketty'ego? Ja to nawet nie wiem, jak on wygląda. ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ależ oni się boją Donalda Tuska”.

BORYS BUDKA, poseł, wiceszef PO, na Twitterze, o niezaproszeniu Tuska na Radę Bezpieczeństwa Narodowego

dwaj panowie g

Po wydaniu przez sąd orzeczenia o areszcie dla byłego ministra skarbu Włodzimierza Karpińskiego Rafał nie czekał i posunął go ze stanowiska sekretarza Miasta Stołecznego Warszawy. A dokładniej go zawiesił. Może od razu ujawnijmy – decyzja ta przyszła Rafałowi bez trudu. Tajemnicą poliszynela jest bowiem, że Karpiu, jak go nazywają w Platformie, w warszawskim ratuszu był wtyczką Donalda Tuska. A jak wiadomo, Rafał i Donald za sobą niespecjalnie przepadają.

Apropos „nie przepadają”. Zawsze cieszy nas, gdy czytelnicy naszej rubryki mogą śmiać się z tego, co inni, ale z większym zrozumieniem. Na przykład słynna sprawa zaginięcia i pilnych poszukiwań fotki Tuska z Bidenem. Bo fotki z Rafciem Trzaskowskim nie trzeba było przecież szukać. Otóż może sobie przypominać, jak dwa tygodnie temu informowaliśmy o rozpaczliwej walce Donalda i Rafcia o spotkanie z Wujkiem Joe. Walczyli osobno i żaden nie wygrał nic, poza słit focią. Ale jednak promowanie fotki z Rafciem oraz zaginięcie fotki z Donaldem odczytano w Platformie bardzo jasno.

Ludzie, którzy czytają takie znaki, chcieliby, aby Peło była jako partia ta sama, ale nie taka sama. Aby to się zdarzyło, trzeba najpierw zmarginalizować Donalda. Stąd pomysł pozbycia się Złego Donalda z Sopotu poprzez uhonorowanie. Na przykład, podpowiadają źli ludzie, najlepiej by było, gdyby osoba z takim doświadczeniem jak Donald kandydowała do Senatu i została jego marszałkiem. Poczekać, chłopaki, aż Donald się dowie, to inaczej będziecie śpiewać.

Oczywiście są i ludzie, dla których miejsce w Senacie nie byłoby zyską, ale niedoścignym marzeniem i nadzieją na bezpieczne cztery lata z dala od łap śledczych i prokuratorów. Marszałkissimus Grodzki chociażby albo wasz ulubieniec, człowiek zwany Koniem, Roman Giertych. Ten ostatni to ciekawy przypadek. Pcha się do Senatu, choć podczas ostatniej próby zdobył dwa razy mniej głosów od Kostka Radziwiłła z PiS i ledwie o włos wyprzedził nołnejma od

Petru. Być może Roman ma nadzieję, że dziś jest bardziej znany. Być może, ale z niewłaściwej strony.

Nie wszyscy chcą w Senacie walczyć o bezpieczeństwo. Niektórzy po prostu marzą o zaszczytach. Nasze zielone wiewiórki opowiadają, że zdaniem niektórych w Peezelu już dosyć

**Donald i Rafcio
rozpaczliwie walczyli
o spotkanie z Wujkiem Joe.
Żaden nie wygrał nic
poza słit focią**



FOT. ROBERT GARDŃSKI

wicemarszałkowania dla Piotra Zgorzelskiego. Czas najwyższy, by w nowej, chwiejnej i nieoczywistej konfiguracji został prawdziwym marszałkiem. Kompromisowym oczywiście. Kłopot w tym, że podobne marzenia ma Waldek Pawlak.

Wracając do sprawy Włodka Karpińskiego i Rafała Baniaka. Mamy bardzo złe informacje, które równocześnie są bardzo dobrymi informacjami. Złymi dla aresztowanych polityków i jeszcze gorszymi dla tych, którzy jeszcze nie usiedli. Otóż materiał dowodowy zgromadzony przez prokuraturę jest tak mocny, że sąd, wydając postanowienie o areszcie dla obu gagatków, uznał, że

Koalicjantów PiS w sztabie wyborczym nie ma. Niektórzy mówią: „Jeszcze nie ma”. Na co uśmiechamy się z wyrozumiałością

prawdopodobieństwo popełnienia przez nich zarzucanych czynów jest wysokie. Dobra wiadomość to taka, że to oznacza, iż doktryna Neumana przestaje działać. Przynajmniej w niektórych sądach.

Dni coraz dłuższe, pogoda zmienna, bluzgi na Twitterze i Fejsbuku coraz ostrzejsze – jak nic natura wskazuje, że nadchodzi kampania wyborcza. Cóż, można nawet powiedzieć, że się rozpoczęła. Słyszeliśmy w lutym taką oto opowieść: rozmaitym bardzo ważnym figurom w rządzie zostały wstrzymane wyjazdy za granicę na różne oficjalne wyprawy (w końcu różnych instytucji w Polsce mamy mnóstwo, a ich działalność sięga daleko). Odpowiedź wszędzie była taka sama: „Szef od marca już nigdzie nie lata, bo jest kampania wyborcza”.

My ustaliliśmy, że kampania wyborcza zaczęła się 30 stycznia wczesnym popołudniem. Wtedy to dawno niewidziany w skrzynkach mailowych dziennikarzy poseł Bartłomiej Wróblewski znów zaczął rozsyłać do nich informacje o swoich rozmaitych poglądach na wszystko oraz aktywnej działalności. Dla tych, którzy nie wiedzą (albo których cudem nie ma na liście mailingowej Wróblewskiego), to pewna oznaka, że idą wybory. „Early bird catches the worm” – jak mawiają Anglicy. Nie chodzi o robaki, którymi chce nas karmić Rafcio Trzaskowski. Tylko o sejmowy fotel.

Atak na serio. Oczywiście, że przygotowania idą pełną parą, bo sztab wyborczy na Nowogrodzkiej pracuje. Co ciekawe, mimo że od powołania minęło ładnych kilka miesięcy, to nadal nie ma w nim ludzi premiera Mateusza. Za to PiS-owski hardcore – owszem. Czyli ludzie Szydło, Sasina itd. A żeby było jasne: ludzi przystawek, to znaczą,

tfu, koalicjantów, też w sztabie nie ma. Niektórzy mówią: „Jeszcze nie ma”. Na co uśmiechamy się z wyrozumiałością.

Wsztabie, jak to w sztabie, latają w powietrzu rozmaite ciekawe koncepcje. Na przykład, żeby zrobić na listy wyborcze w Polsce wielki import rozpoznawalnych europosłów. Skoro najbliższe wybory to walka o wszystko, to zabieg taki byłby usprawiedliwiony. Tyle że gada się o tym od zeszłej jesieni, ale na razie w konkretny pomysł (kogo, gdzie, ilu) jeszcze się nie obiekł. Niektórzy mówią: „Jeszcze nie obiekł”. Na co uśmiechamy się z wyrozumiałością.

Inną koncepcja: Paweł Kukiz jedynką we Wrocławiu. Tak, nie przesłyszeliście się, lider kurczących się kukistów jest po słowie z BSWP Jarosławem Kaczyńskim (BSWP – Były Szeregowy Wicepremier). Pomysł nie tylko ciekawy, lecz także rozumny, gdyż pozwoliłby rozwiązać inny problem. A jest to problem Opola. W mieście tym znanych nazwisk po prawej stronie nie brakuje i każdy chciałby być jedynką. W ramach rozładowania napięcia sztab na Nowogrodzkiej widziałby więc na wrocławskich listach zarówno Kukiza, jak i Kamila Bortniczuka.

Nadchodzące wybory widać już nie tylko w sztabach, lecz także i w okręgach. Przyszli wybrańcy narodu coraz bardziej zaczęli się dopieszczać. I tak np. Kielce wzbogacą się o nową instytucję – centrum wizowe. To taka struktura, która ma wspomagać polskich konsulów w wydawaniu wiz obywatelom rozmaitych egzotycznych krajów, dla których wiza Schengen jest marzeniem. Tak miasto wzbogaci się o nowe miejsca pracy tudzież dodatkowy prestiż.

Niektórzy pytają: Ale dlaczego centrum wizowe ma powstać akurat w Kielcach? Otóż do startu do parlamentu przygotowuje się słynny kielczanin, Piotr Wawrzyk. Na co dzień wiceminister spraw zagranicznych. My od dawna popieramy tworzenie instytucji centralnych w terenie. Chętnie widzielibyśmy np. Trybunał Konstytucyjny z siedzibą w Piotrkowie Trybunalskim.

Jednak szczerze powiedziawszy, nazwa „Kielce Wizowe” nie brzmi tak dobrze.

Na alei Szucha natknęliśmy się na Jakuba Kumocha wychodzącego z gmachu MSZ. Były prezydencki minister i ambasador in spe wyciągnął z torby opasy zeszyt, który od wielu dni zapisuje dziwnymi znaczkami. Jak się okazuje, już uczy się chińskiego. Kuba znany jest z talentu i uporu do języków. Wcale się więc nie zdziwimy, kiedy po wyjeździe do Pekinu rychło opanuje wszelkie możliwe odmiany mowy tubylców. Sami bowiem słyszeliśmy, jak będąc ambasadorem w Bernie, posuwał lokalnym dialektem aż miło.

Skoro o językach mowa: odnosimy wrażenie, że trwa cicha rywalizacja między ambasadorami Magierowskim a Kumochem (in spe) o to, który z nich opanuje więcej języków obcych. Magier, jak wiadomo, nauczył się w ciągu roku hebrajskiego, i to do tego stopnia, że posuwał w izraelskiej telewizji, jakby urodził się przed wojną na Szmulkach. No, może raczej jakby kształcił się na kantora w synagodze, bo na ulicy Żydzi zwykle mówili w jidysz. Choć przypuszczamy, że

Kielce wzbogacą się o nową instytucję – centrum wizowe. Miasto wzbogaci się więc o nowe miejsca pracy tudzież dodatkowy prestiż

w jidysz Magier też mówi, bo zna niemiecki. A jidysz to de facto dialekt języka Goethego i Schillera.

Prawda jest taka, że trzeba cenić ludzi pracowitych. Przypomniało nam się np., jak kiedyś Magierowski, jeszcze jako dziennikarz, poleciał pierwszy raz w życiu na wakacje do Turcji. No i wrócił obciążony książkami do nauki tureckiego, a pytany, „o co chodzi”, odpowiadał, że trochę się nudził. Skoro mamy rok wyborczy, to pozwolimy sobie na przedwyborczy żarcik: sądząc po jakości kadr Eine Totalopposition, oni nigdzie na wakacje nie jeżdżą. ©©





GIGANTYCZNE PROTESTY W IZRAELU

W Izraelu doszło do gwałtownych starć między służbami bezpieczeństwa a tłumem, który już siódmy tydzień z rzędu protestował przeciwko próbom reformy systemu sądownictwa. Interweniowali policjanci na koniach, izraelskie służby użyły również wobec protestujących granatów

hukowych i armatek wodnych. Kilkanaście osób zostało rannych, a kilkadziesiąt trafiło do aresztu.

Zgodnie z rządowym projektem reforma systemu sądownictwa pozwoli Knesetowi na uchylanie wyroków Sądu Najwyższego zwykłą większością głosów. Zwiększy również kontrolę

rządu nad procesem wyboru sędziów Sądu Najwyższego. Proponowane zmiany ostro skrytykowała m.in. prokurator generalna Izraela Gali Baharav-Miara, oceniając, że proponowana reforma uderza w zasadę rozdziału władz i niezawisłości sędziów. **(jap)** ©



Piotr Semka

W kraju, w którym jeszcze dekadę temu wspominano papieża Polaka z najwyższym szacunkiem, zaskakująco mało jest dziś ludzi, którzy zaprotestowaliby przeciw kampanii wylewania kubłów pomoy na Jana Pawła II. Czy to pierwszy taki przypadek? Do jakiego wzorca nawiązano przy dekonstrukcji mitu papieża Polaka?

Nie będzie raczej przesadą, jeśli się uzna, że gwiazdą najbliższych tygodni po lewicowo-liberalnej stronie polskiej opinii publicznej będzie holenderski dziennikarz Ekke Overbeek. Wydawnictwo Agora zapowiedziało na 8 marca premierę książki „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział”, pod marketingowym hasłem: „Co Kościół ukrywa o Janie Pawle II?”

Tygodnik „Newsweek” już zapowiada nową publikację okładką z pełnym rys portretem Jana Pawła II i tytułem: „Ukryta prawda o pedofilii”. Podtytuł głosi: „Ukrywając przestępstwa seksualne swoich księży, zachowywał się jak zimny aparaczkowy Kościół”. Tak tygodnik Tomasz Sekielskiego zapowiada nową publikację. Określenie „aparaczkowy”, powstałe w odniesieniu do komunistów, używane jest jako pałka dla dezawuowania człowieka, który przyczynił się do obalenia komunizmu.

Mniej więcej w tym samym czasie TVN ma przedstawić reportaż Marcina Gutowskiego, autora książki „Biemo”, na temat „odpowiedzialności” papieża Polaka za wypadki pedofilii jeszcze za czasów, gdy był on metropolitą krakowskim, a potem głową Kościoła powszechnego. Gdy Overbeek stawia oskarżenia wprost, Gutowski zauważa pewne niuanse. Ale obaj – holenderski dziennikarz i reporter TVN – są przez „GW” reklamowani jako ludzie, którzy dotarli do zeznań złamanych kapłanów archidiecezji krakowskiej, którzy w zeznaniach dla UB

Kościół, lewica, łomot

FOT. FRANCO BRICIA/GETTY IMAGES



oskarżyli mentora Wojtyły – kard. Adama Sapiehę – o molestowanie seksualne kleryków i podległych mu księży. Do publikowania tych zeznań dołączył „Tygodnik Powszechny”. A Tomasz Terlikowski wystosował publiczny apel o stworzenie komisji niezależnej od Kościoła, która zbadałaby akta IPN, dokumenty kurii krakowskiej i Stolicy Apostolskiej.

Czołowi heroldzi lewicy nie czekają jednak na żadne komisje. Uznają te oskarżenia już jako potwierdzony fakt. Lewicowy publicysta Piotr Szumlewicz ogłasza: „Wyszło na jaw, że znajomy Karola Wojtyły i autorytet kleru Adam Sapieha molestował kleryków. Prawica jak zwykle uważa, że molestowanie, podobnie jak krycie pedofilów, to drobiazgi, gdy dotyczą liderów Kościoła”. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Jan Hartman komentuje: „Sapieha – zwyrol. Gulbinowicz – zwyrol, Jankowski – zwyrol, Orszulik – zwyrol, Maliński – kanalia, Zięba – kanalia, Wielgus – kanalia. Mentorzy, przyjaciele, uczniowie Wojtyły i Solidarności. Czy istnieje środowisko równie zdeprawowane jak Kościół?”. A na forach internetowych brzęczą już tysiące tweetów od antyklerykałów, którzy ogłaszają, że „fakty na temat odpowiedzialności Jana Pawła II za krycie pedofilii są jasne” i „wszystko jest już udowodnione”.

Milczą krakowscy profesorowie, którzy latami ogrzewali się w blasku autorytetu papieża Polaka. Nic istotnego na temat oskarżeń, które dotyczą byłego kardynała krakowskiego, nie mają do powiedzenia ksiądz Adam Boniecki, prof. Andrzej Zoll czy np. prof. Adam Strzembosz. Niechętnie temat podejmują biskupi. W kraju, w którym jeszcze dekadę temu wspomniano papieża Polaka z najwyższym szacunkiem, zaskakująco mało jest dziś ludzi, którzy zaprotestowaliby przeciw kampanii wylewania kubków pomyj na Jana Pawła II. Czy to pierwszy taki przypadek? Do jakiego wzorca nawiązano przy dekonstrukcji mitu papieża Polaka?

PRÓBA GENERALNA

Dokładnie 60 lat temu w Niemczech uwagę mediów przykuła sztuka „Namiestnik. Tragedia chrześcijańska”. Tytułowym namiestnikiem był papież Pius XII. Sztuka demaskowała Piusa XII jako postać co najmniej obojętną, jeśli nie po-

pierającą nazistowski plan wyniszczenia Żydów. Liczący sobie w chwili premiery 31 lat Rolf Hochhuth był przedstawicielem pokolenia korzystającego z łaski późnego urodzenia – wejścia do życia publicznego już po upadku nazizmu. Należał do generacji, która właśnie szykowała się do wywrócenia Niemiec do góry nogami, stając się jej idolem podczas rewolty, której apogeum przypadło na rok 1968.

Jednak sztukę „Namiestnik...” życzliwie przyjęła też niemiecka lewica kościelna, która po objęciu tronu papieskiego przez Jana XXIII lansowała idee soboru powszechnego i daleko idących zmian w Kościele. A było oczywiście, że skoro chce się lansować jak najdalsze zmiany w strukturze, doktrynie i liturgii

Na temat oskarżeń wobec Jana Pawła II milczą krakowscy profesorowie, którzy latami ogrzewali się w blasku autorytetu papieża Polaka

Kościółu, to trzeba najpierw zdezwuować poprzedniego papieża jako symbol wszystkiego, co w Kościele złe i zbrodnicze. Na próżno obrońcy Piusa XII przypominali adresy dziękczynne rzymskich Żydów dla Piusa XII jako ich protektora. Odrzucano też wyjaśnienia historyków, że papież musiał się liczyć w każdej chwili ze złamaniem suwerenności Watykanu przez oddziały SS w Rzymie. Że jako ktoś odpowiedzialny za los milionów katolików musiał być powściągliwy w formułowaniu ocen nazizmu.

W ataku na Piusa XII wyraźne były trzy elementy, które miały się potem powtórzyć w wypadku „odbrązowienia” Jana Pawła II. Po pierwsze: absolutnie dowolne zonglowanie faktami, oderwanymi od realiów epoki w celu udowodnienia winy. Po drugie: maksymalizm etyczny, który każdą dyplomatyczną powściągliwość papieża rozlicza w jak najbardziej surowy sposób poprzez przyrównywanie jego działań do najbardziej wymagających norm chrześcijaństwa. Przy zapominaniu, że papież też niekiedy

musi się liczyć z politycznymi realiami świata, w którym funkcjonuje. I wreszcie po trzecie: wykorzystanie faktu, że nowa generacja dziennikarzy, redaktorów naczelnych mediów nie zna osobiście złożoności i specyfiki lat wojny – czy w wypadku JPII komunizmu – i niezwykle łatwo przychodzi im akceptacja prostych jak cepy insynuacyjnych konstrukcji przyczynowo-skutkowych.

Była to pierwsza fala ataków na papieża, który mocno się naraził lewicy w latach 50. za swój pryncypialny antykomunizm. W wypadku sporu o Piusa XII doszło zresztą do swoistej synergii. Na Zachodzie jego legendę zakwestionowali młodzi kontestatorzy, a za żelazną kurtyną tezy Hochhutha podjęła propaganda państw komunistycznych. Nie inaczej było w Polsce. Nad Wisłą premiera „Namiestnika...” została wystawiona w kwietniu 1966 r. w warszawskim Teatrze Narodowym, w reżyserii Kazimierza Dejmka. Przypomnijmy, że kwiecień 1966 r. to początek rywalizacji pomiędzy władzami PRL a prymasem Stefanem Wyszyńskim o kształt obchodów tysiąclecia istnienia państwa polskiego.

W latach 90. ataki na Piusa XII znowu nabrały wigoru w związku z nagłośnieniem książki „Papież Hitlera” pióra angielskiego pisarza Johna Cornwella. Tym razem książka ta służyła do utrwalenia tezy, która pojawiła się u części badaczy, że prągenieżą Holocaustu była wrogość wobec Żydów mająca swe źródło ogólnie w chrześcijaństwie, a w szczególności w katolicyzmie. Wydawało się, że operacja dezawuowania Piusa XII zostanie skompromitowana, gdy w 2007 r. były rumuński generał Securitate Ion Pacepa ujawnił informacje, że Hochhuth został zainspirowany do napisania sztuki o Piusie XII przez oficera sowieckich służb specjalnych gen. Iwana Agajanca. W ramach specjalnej operacji KGB Agajanc miał dostarczyć Hochhuthowi w 1963 r. sfabrykowane przy pomocy Securitate materiały obciążające papieża. Gdy w lutym 2007 r. dziennikarz „Dziennika Gazety Prawnej” dodzwonił się do Hochhutha i spytał, czy ten istotnie kontaktował się z Agajancem, zdenerwowany dramaturg przerwał rozmowę.

Rewelacje byłego generała rumuńskiej bezpieki nie zrobiły wielkiego wrażenia na zwolennikach tezy o Piusie XII

■ jako „Papieżu Hitlera”. Odpowiadali oni, że być może sztuka Hochhutha istotnie była inspirowana przez sowieckie służby, ale w tym czasie powstało na tyle dużo nowych książek udowadniających sympatie Piusa XII dla nazizmu, że nie zmienia to nic w całej sprawie.

Antykomunistyczny papież został bardzo skutecznie zdyskredytowany. Chwytyliwe oskarżenia okazały się znacznie bardziej nośne niż wywody jego obrońców. Liberalne media podchwytły oskarżenia, a potem już powtarzały je wiele innych osób, uznając to za fakty niewymagające żadnej dyskusji.

PO PIUSIE XII – WOJTYŁA

Wielu naiwnym polskim katolikom wydawało się, że podobna akcja dyskredytacji będzie w wypadku Karola Wojtyły znacznie trudniejsza. Polski papież w odróżnieniu od Piusa XII nie miał dyplomatycznego epizodu w Niemczech weimarskich. Jego popularność była nieporównanie większa za jego życia niż Piusa XII.

Nawet względy fizjonomiczne wydawały się uprzywilejowywać byłego metropolitę krakowskiego. Rosły góral o mocnych, zdecydowanych rysach i głębokim głosie był o wiele bardziej medialny niż Pius z jego ostrymi rysami twarzy i oczami skrytymi za grubymi szkłami. Papież Polak rzucał na kolana tłumy od Ameryki do Korei, podczas gdy Pius XII unikał tłumów. Wreszcie zaangażowanie Jana Pawła II w pojednanie ze społecznością żydowską wydawało się stawiać go na o wiele mocniejszej pozycji niż ostrożnego w dialogu z judaizmem Piusa XII.

A jednak już w trakcie pontyfikatu Jana Pawła II objawiali się jego nieprzejednani wrogowie. Owszem, w Nowym Jorku, Mexico City czy w rodzinnym Krakowie papieża witały setki tysięcy ludzi. Ale już w Holandii czekały na niego grupy bardzo agresywnych krytyków jego nauczania moralnego. W czasie wizyt papieża Polaka w Paryżu organizowano pochody, na których przedstawiają go kukła miała nałożoną na nos prezerwatywę.

Inna była wtedy agenda zarzutów wobec naszego rodaka. Dominowały oskarżenia, że podtrzymywany przez Jana Pawła II sprzeciw używania prezerwatyw

oznacza odpowiedzialność za zniw AIDS, które zbierało swój plon w Afryce. Na papieża się oburzano, że ponoć wyraził opinię, iż zgwałcone w czasie wojny w Jugosławii Bośniaczki powinny przeżyć traumę i urodzić dzieci pochodzące z gwałtów jako triumf miłości nad nienawiścią. Ci, którzy w Polsce wskazywali na przypadki oszalałej wręcz nienawiści wobec Jana Pawła II, na Zachodzie byli po 1989 r. uspokajani, że gdzie jak gdzie, ale w Polsce tego typu nastroje się nie zdarzą.

Niestety, szybko zaczęły się zdarzać. Prekursorem był tu Jerzy Urban, który zdawał się prowadzić osobistą krucjatę zemsty na „wikariuszu z Niegowici” za jego udział w rozbiu komunizmu. Owszem, taryfa ulgowa wobec Jana Pawła II trwała stosunkowo długo. „Gazeta Wyborcza” zarabiała na specjalnych dodatkach z okazji kolejnych wizyt papieża Polaka w ojczyźnie. Ale w końcu zaczęły się na łamach „GW” pojawiać bezpośrednie ataki na Karola Wojtyłę. Bardzo często były domeną ludzi, którzy porzucili kapłaństwo. Szczególnie Stanisław Obirek, były ksiądz, powoli stopniował prymitywizm swoich ataków i nie spotykało się to ze zbyt wieloma polemikami.

W opisywaniu przez media sprawy kard. Sapię porzucono wszelkie obowiązujące jeszcze standardy ostrożności i rzetelności

Redagowanie dziennika z Czerskiej przejmowali coraz młodszy redaktorzy, coraz słabiej pamiętający papieża Polaka. Coraz częściej publikowali teksty zachodnich dziennikarzy, którzy odwiedzali Polskę, szukając dowodów na romans papieża z Wandą Półtawską czy na to, że papież miał z jakąś kobietą dziecko.

Decydujący dla zmiany nastawienia do papieża okazał się czas. Począwszy od ok. 2010 r., pojawiły się pokolenia, które nigdy nie zetknęły się osobiście z charyzmą polskiego papieża. Ta zmiana pokoleniowa nałożyła się na rewolucję Internetu, który dla młodych stał się

jedynym źródłem wiedzy o świecie. Reszty dopełniły afery dotyczące zjawiska zamiatania pod dywan przypadków pedofilii. „Osobiści wrogowie Pana Boga” uznali, że najłatwiej jest zaatakować Karola Wojtyłę właśnie na tym polu.

Rolę głównego „młota na Wojtyłę” odgrywa holenderski dziennikarz, który choć od lat mieszka w Polsce, to nie był dotąd znany jako badacz przeszłości polskiego Kościoła. Nie jest bez znaczenia, że Overbeek jest też przedstawicielem nacji niezwykle krytycznej wobec papieża Polaka. Znamienny jest też fakt, że o obciążających Sapię zeznaniach jednego z dwóch agentów krakowskiej UB w sutannach poinformowała prof. Joanna Tokarska-Bakir na marginesie swoich badań o reakcjach Kościoła katolickiego na pogrom kielecki.

I znów bardzo merytoryczne uwagi i poważne zastrzeżenia badaczy archiwaliów dotyczących inwigilacji Kościoła przez bezpiekę w latach 50., takich jak ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski czy dr Marek Lasota, nie wpływają na niuansowanie tytułów tekstów dotyczących winy kardynała Sapię w mediach liberalno-lewicowych. Niby teoretycznie „wszystko trzeba jeszcze zbadać”, ale czołówki gazetowe sugerowały ustaloną winę zmarłego w 1951 r. hierarchy. Cała sytuacja zresztą jest bardzo wygodna dla krytyków Kościoła. Bo tak naprawdę oskarżenia wobec Sapię odgrywają rolę pomocniczą wobec frontalnego ataku na JP II. Mają udowodnić, że Karol Wojtyła domniemaną tolerancję dla przypadków molestowania seksualnego przejął od swego kościelnego mentora, kard. Sapię. Gdyby Wojtyłę wyświadczył nie Sapię, a np. kard. August Hlond, szukano by jakiegoś zeznania dyskredytującego Hlonda. Bez najmniejszego poczucia żenady snute są rozważania, czy sam Wojtyła nie cieszył się sympatią kard. Sapię z powodu jakiegoś uwikłania seksualnego.

Krótko mówiąc, w opisywaniu przez media sprawy kard. Sapię porzucono wszelkie obowiązujące jeszcze standardy ostrożności i rzetelności. Zeznania wymuszane przez bezpiekę na złamanym kapłanach są przedstawiane niemal jako udowodnione fakty. Tomasz Terlikowski posunął się nawet do tezy, że: „Odrzucanie informacji [zawartych w zeznaniach –

przyp. P.S.] przez dyskredytację świadka to poważny błąd, który ukazuje niezrozumienie skutków wykorzystywania seksualnego dla osoby skrzywdzonej". Jak argumentuje Terlikowski, „nadużycia tego rodzaju mogą także prowadzić do alkoholizmu, do poważnych problemów osobistych u osoby skrzywdzonej. I każdy, kto zetknął się z ofiarami krzywdy seksualnej, ma świadomość, że skutki takiego doświadczenia mogą być naprawdę drastyczne i destrukcyjne. Warto też mieć świadomość, że ten sam model dyskredytowania skrzywdzonych promowano przez lata. Skrzywdzone dzieci nigdy nie były wiarygodne, bo pochodziły z nieodpowiednich rodzin, bo ich rodzice mieli problemy, a dorosłym nie wierzono, bo przecież mieli oni problemy osobiste. Jeśli ma się kontakt z osobami skrzywdzonymi, to niestety widać, jak nieustannie wracają te same struktury myślenia. Struktury utrwalające krzywdę i próbujące wymusić milczenie”.

Argumentacja Terlikowskiego wskazuje więc, że fakt, iż autorem oskarżeń jest złamany kapłan, który swoje oskarżenia formułował w trakcie przesłuchań ubeckich, nie jest bynajmniej żadnym osłabieniem wiarygodności takiego oskarżenia, ale przeciwnie – na zasadzie paradoksu jego rzekomym wzmocnieniem i uwiarygodnieniem. Widać w myśleniu Terlikowskiego pewne echo zjawiska, które pojawiło się w Ameryce przy okazji kampanii oskarżeń w ramach akcji „#MeToo”. Gdy próbowano dyskutować z oskarżeniami, feministki głosiły, że wszelka taka polemika jest dodatkowym upokorzeniem ofiary. Forsowano tezę, że świadectwo ofiary jest rozstrzygające i że nie ma już żadnego pola do badania jego wiarygodności.

Kolejnym przełamaniem dotychczasowych standardów był argument zwolenników badania sprawy abp. Sapiehy, że coś jest na rzeczy, bo „starsi kapłani w rozmowach wspominali o dziwnych skłonnościach” metropolity krakowskiego. Tyle że te wspomnienia mogły być echem akcji defamacyjnej, którą przeprowadzała krakowska bezpieka przeciwko kardynałowi uważanemu za symbol „reakcji”.

I wreszcie ostatnia rzecz. Dotychczas w sytuacji, gdy oskarżenia dotyczyły osoby zmarłej 72 lata temu, uznawano,

Destrukcja autorytetu Jana Pawła II uważana jest za etap pośredni w trwałym zmarginalizowaniu wpływów Kościoła na młodą generację

że kwestii nie da się jednoznacznie wyjaśnić. Choćby z powodu tego, że kapłani, którzy mogliby jeszcze pamiętać Sapiechę za życia, mogą mieć dzisiaj ok. setki. Ale, jak się okazuje, gdy tak silne medium jak „Gazeta Wyborcza” rozpętuje sprawę kard. Sapiehy, to duża część medialnego i część katolickiego mainstreamu powtarza te zarzuty jak za panią matką. Nie wahając się drukować bardzo drastycznych zeznań, których sposób uzyskania powinien budzić daleko idącą ostrożność. Nikt się nie zastanawiał, czy samo drukowanie tych zarzutów nie rzuci raz na zawsze cienia na pamięć krakowskiego „Księcia Niezłomnego”.

KTO RZĄDZI „GAZETĄ WYBORCZĄ”?

Z perspektywy czasu można postawić tezę, że duży wywiad z Adamem Michnikiem przeprowadzony przez Dominikę Wielowiejską, w którym szef „GW” bronił dobrego imienia Jana Pawła II, był po prostu medialnym przygotowaniem dla całej ofensywy antywojtyliańskiej. Przede wszystkim jako znieczulenie przed publikowaniem oskarżeń wobec kard. Sapiehy, a na dalszym planie jako swoiste alibi dla decyzji Agory o wydaniu książki Ekkego Overbeeka. Adam Michnik jest naczelnym „Gazety Wyborczej”. Trudno przypuszczać, by nie wiedział dużo wcześniej o zamiarze wydania książki holenderskiego autora. Gdyby naczelny „Gazety Wyborczej” stosował wobec tej książki choćby elementarne standardy obiektywizmu, to powinien uznać, że jest ona książką napisaną pod tezę i nagina fakty.

Agora udostępniła tekst książki kilkunastu publicystom, zajmującym się kwestiami Kościoła, z obozu liberalnego, a także części „katolików otwartych”. Książka ta zaczęła żyć swoim życiem wśród warszawskich dziennikarzy. Dotarła także do mnie – przeczytałem

ją i niedługo z chęcią napiszę na łamach „Do Rzeczy” jej krytyczną recenzję. Na podstawie tego, z czym się zapoznałem, mogę stwierdzić, że firmowanie jej przez koncern Agory to decyzja strategiczna, a obrona JP II przez Michnika jawi się jako taktyka.

Podziękowania i zachwyty nad obroną Jana Pawła II przez Michnika pomijały całkowicie podstawową kwestię. Dlaczego Michnik zaakceptował wydanie tej książki przez Agorę – i powtarzanie bardzo wątpliwych zarzutów? Chyba że uznamy, że Adam Michnik już nad niczym w gazecie nie panuje. Tylko po co w takim razie jest jeszcze ciągle ogłaszany naczelnym dziennika z Czerskiej?

W 2021 r. Adam Michnik na łamach „GW” sam krytykował coś, co nazywał „tramwajowym antyklerykalizmem”. Określał w ten sposób prostacki sposób pisania o Kościele i wierze, który budził u niego sprzeciw. Ale to nie gdzie indziej, jak na łamach „GW” ten prostacki antyklerykalizm był uwiarygadniany poprzez drukowanie tekstów Jana Hartmana, Magdaleny Środy, Tadeusza Bartosia czy ostatnio duetu Stanisław Obirek – Artur Nowak. Tym samym Adam Michnik w praktyce zerwał z tradycją swojej niegdyśjszej książki „Kościół, lewica, dialog”. Wtedy, w końcu lat 70., przyznawał się do błędnego spojrzenia na Kościół katolicki jako na siedlisko reakcji i ciemnoty. Jak się okazuje, ten flirt z Kościołem był tylko chwilowym sojuszem, niezbędnym do połączenia sił środowiska lewicy laickiej z wpływowym w Polsce Kościołem, aby walczyć z PRL. Gdy PRL przestał istnieć, Kościół ze statusu wygodnego sojusznika wrócił do roli przeciwnika, którego można zwalczać z całą bezwzględnością.

I taka jest dzisiaj linia „Gazety Wyborczej” i jej redakcyjna praktyka. A tekst-przyzwoitka Adama Michnika niewiele tu zmienia. Destrukcja autorytetu Jana Pawła II uważana jest za etap pośredni w trwałym zmarginalizowaniu wpływów Kościoła na młodą generację. Można tylko się zadumać, dlaczego operacja ta znajduje poparcie u tak wielu ludzi nominalnie podkreślających swoją wiarę. Ludzi, którzy w momencie rozpętania agresywnej kampanii medialnej pośrednio uwiarygadniają ją swoimi wypowiedziami. Smutne to widowisko.

W przypadku Maciela Degollado (na zdjęciu z Janem Pawłem II) wieloletnie i rzetelne dziennikarskie śledztwo prowadziła Valentina Alazraki, która uważa, że Jan Paweł II nie wiedział o tym, co się dzieje wokół Legionistów Chrystusa

FOT. MAURO PADULA/DPA/PAP



Ze słów autora dziennikarskiego śledztwa, którego efekty lada dzień zostaną opublikowane nakładem Wydawnictwa Agora, wynikają przynajmniej dwie niewytrzymujące krytyki tezy, do których „Maxima culpa” ma przekonywać. Pierwsza mówi, że skoro Jan Paweł II zetknął się w czasach swojej posługi biskupiej z przypadkami księży posuwających się do drapieżnictwa seksualnego, to znaczy, że doskonale wiedział także o skali problemu przemocy seksualnej w Kościele powszechnym, gdy był papieżem. A także, że musiał mieć wystarczającą do działania wiedzę o konkretnych przypadkach, takich jak historia założyciela Legionu Chrystusa Maciela Degollado czy byłego już kard. Theodore’a McCarricka. Skoro wiedział, to wiedział. Koniec i kropka.

Drugi wątek, który sufluje nam Ekke Overbeek, jest znany i wytarty do imentu. Był on zresztą wielokrotnie falsyfikowany – Jan Paweł II nic nie zrobił

Kolejna próba rzucania cienia



Tomasz Rowiński

Książka holenderskiego dziennikarza Ekke Overbeeka „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział”, na której temat od kilku dni trwa w mediach intensywna dyskusja, przedstawiana jest jako całkowicie przełomowa w kwestii oceny moralnej całego pontyfikatu polskiego papieża. W rzeczywistości jest ona raczej fastrygowaną grubymi nićmi narracją mającą, bez wystarczających dowodów, rzucić cień na Jana Pawła II

w sprawie problemu drapieżnictwa seksualnego w Kościele.

NIEZWYKŁA LOGIKA

Trzeba przyznać, że logika wywodów holenderskiego dziennikarza jest niezwykła, w podobnym tonie wtórował mu w zeszłym tygodniu „Newsweek”, który pod wodzą Tomasza Sekielskiego coraz bardziej przypomina antyklerykalne „Fakty i Mity”, „Fakty po Mitach” czy też „Nie”. Overbeek w rozmowie opublikowanej na łamach „Newsweeka” przedstawia jeszcze jedną przedziwną opinię. Wedle niej, ci, którzy bronią Jana Pawła II i sądzą, że nie miał on wystarczającej wiedzy w przypadku niektórych najgłośniejszych drapieżców seksualnych w Kościele, uważają także, że Jan Paweł II w ogóle nie miał żadnej wiedzy na temat tego problemu. A w konsekwencji, skoro teraz w „Maxima culpa” zostały opisane cztery przypadki księży, z których drapieżnictwem jeszcze w Krakowie abp Karol Wojtyła musiał się borykać, to znaczy, że wiedział też o innych sprawach. „Co czyni go odpowiedzialnym za wszystkie przypadki molestowania podczas jego pontyfikatu i nawet później, bo wiadomo, że zmiana kursu Kościoła to jak zmiana kursu tankowca. To trwa” – mówił Overbeek.

W metaforze tankowca jest akurat ziarno prawdy, ale – jak widać – stosowanie jej może być już wybiórcze. Według Overbeeka wystarczyłoby jedno „stop” Jana Pawła II, by tankowiec w ciągu sekundy się zatrzymał, a problemy zniknęły. Inna sprawa, że malowanie takiego obrazu obrońcy Jana Pawła II to nic innego, jak tworzenie sobie łatwego do okładania chochoła.

Overbeek zdaje się uważać, że skoro bp Wojtyła spotkał czterech księży pedofilów, to znaczy, że Jan Paweł II nie mógł być zaskoczony swoistą eksplozją skandalu seksualnych w Stanach Zjednoczonych. „Afery [Degollado i McCarricka] przypadają na koniec pontyfikatu, późnych lat 90., dlatego obrońcy Jana Pawła II dotąd mogli powtarzać, że był już słaby i chory, kiedy się dowiedział, i nic nie mógł zrobić. Brzmiało to może mało przekonująco, bo wszystkie przesłanki przemawiały o jego niewiedzy, ale można było utrzymać taką narrację. A tu ciach”. Ale właściwie co – „ciach”? Poza powtórzeniem insynuacji,

które w przypadkach Degollado i McCarricka zostały podważone przez dziennikarskie śledztwa, niczego nowego się nie dowiadujemy.

W przypadku Degollado mamy jedno wieloletnie i rzetelne dziennikarskie śledztwo Valentyny Alazraki, która uważa, że Jan Paweł II nie wiedział o tym, co się dzieje wokół Legionistów Chrystusa. Przypadek McCarricka jest jeszcze bardziej gorzki. Overbeek mówi, że „amerykańscy biskupi błagali go [Jana Pawła II – przyp. T.R.] o pozwolenie, by zwalczyć to zło”. Problem polega na tym, że gdyby nie pozytywne opinie, które nuncjusz apostolski w Stanach Zjednoczonych zebrał od amerykańskich biskupów na temat McCarricka, ten prawdopodobnie by nie awansował. To Jan Paweł II polecił zbadać sprawę po tym, jak otrzymał ostrzeżenie od kard. Johna O’Connora. Overbeek w wywiadzie dla „Newsweeka” sugeruje także, że Jan Paweł II dopiero w 2001 r. zareagował na skandale, podczas gdy kolejne reakcje miały miejsce już od lat 80.

ZŁY ADRESAT OSKARŻEŃ

Wątpliwości trzeba mieć nie tylko odnośnie do szerszych narracji Overbeeka, lecz także konkretnych przypadków księży, których sprawy dziennikarz traktuje jako akt oskarżenia wobec Jana Pawła II. Samo tytułowe stwierdzenie – „Jan Paweł II wiedział” – niczego jednak nie wnosi do sprawy. Ma jedynie sugerować czytelnikowi ostateczne zniszczenie obrazu Jana Pawła II jako postaci pozytywnej w dziejach Kościoła i świata. Nie jest żadnym odkryciem, że jako biskup Wojtyła musiał zajmować się także niemoralnym zachowaniem księży.

Wrażenie, że Overbeek wciąż operuje nieudowodnionym i cieniem, towarzyszy np. opisowi historii ks. Kazimierza Lenarta, którego Wojtyła miał dopuścić do święceń pomimo tego, że już w seminarium były z nim problemy na tle psychoseksualnym. Według Overbeeka różne źródła mówią o tym, że ks. Lenart miał w swoich pierwszych parafiach deprawować dziewczynki. Do roku 1976 Wojtyła przynosił ks. Lenarta sześciokrotnie. Trzeba jednak zapytać, czy przynosił go z tym, że ksiądz kontynuował swoje niemoralne zachowanie, czy może raczej chodziło o to, że był szan-

tażowany przez służbę bezpieczeństwa. Przypadki księży – podane zresztą przez Overbeeka – w których widać szybką reakcję Wojtyły na przestępstwo, składają przynajmniej do zastanowienia nad złożonością sytuacji ks. Lenarta.

Tak pisał o tym kapłanie ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski w swojej książce „Księża wobec bezpieczeństwa”: „Po święceniach kapłańskich w 1965 r. został skierowany do Rajczy na Żywiecczyźnie. Tutaj w 1968 r. SB podjęła próbę zwerbowania go, jako pretekst wykorzystując spowodowany przez duchownego wypadek motocyklowy [...]. Jednak pomimo zgromadzenia materiału, który mógł być użyty w szantażu, ani w Rajczy, ani w następnych parafiach SB nie udało się nakłonić księdza Lenarta do współpracy”.

Kontekst dla sprawy ks. Lenarta może stanowić przypadek ks. Józefa Loranca, który – jak podaje Overbeek – dopuścił się gwałtu oralnego na dziewczynkach i został natychmiast suspendowany przez Wojtyłę. Loranca przyznał się przed swoim biskupem do swojego czynu i nic nie wskazuje, by Wojtyła zareagował w sposób niewłaściwy. Sprawa nie jest zresztą nowa. W na początku grudnia 2022 r. pisali o niej dziennikarze „Rzeczpospolitej” w artykule „Wojtyła do księdza pedofila: Każde przestępstwo winno być ukarane”. „Z materiałów archiwalnych, do których dotarliśmy, wynika, że w jego przypadku kard. Wojtyła podjął błyskawiczne, zgodne z Kodeksem prawa kanonicznego (KPK), decyzje. I choć potem stopniowo uchylał ciężące na nim kary kościelne i okazywał mu daleko idące miłosierdzie, to jednak zachowywał czujność” – pisali Tomasz Krzyżak i Piotr Litka.

Ksiądz Loranca po odbyciu kary więzienia nigdy nie wrócił do pracy z dziećmi. Przy tej okazji warto dodać, że nieostre sformułowania o „przenoszeniu księży” – sugerujące nieodpowiedzialne przerywanie przez Wojtyłę drapieżników między parafiami – oznaczało często w praktyce rodzaj przymusowego odosobnienia. Dotyczy to na pewno klasztorów mniszych, takich jak kamedulskie Bielany, cysterska Mogiła czy benedyktyński Tyniec.

Podobnie zresztą we właściwy sposób zachowali się biskupi krakowscy Wojtyła i Pietraszko wobec znanego seksualnego predatora ks. Eugeniusza Surgenta.

■ Duet Krzyżak i Litka opisali sprawę w szeroko komentowanym tekście „Kościelne peregrynacje seksualnego drapieżcy” z listopada 2022 r. opublikowanym na łamach „Rzeczpospolitej”. „Trudno w działaniach krakowskich hierarchów dopatrzeć się zaniechań czy poważniejszych błędów. Po otrzymaniu wiadomości o tym, że duchowny wykorzystywał dzieci, wezwano go do kurii. Biskup Jan Pietraszek nie uwierzył w jego zapewnienia o niewinności. Początkowo wydał zgodę na urlop, acz nie można wykluczyć, że za słowem »urlop« kryło się czasowe zawieszenie. Potem zaś – po ponownej rozmowie księdza z bp. Pietraszką oraz kard. Wojtyłą – nastąpiło błyskawiczne zwolnienie z pracy w diecezji oraz zakaz pojawiania się w Kiczorze”, gdzie ks. Surgent wtedy mieszkał.

Krzyżak i Litka wyraźnie zaznaczają, że to nie Wojtyła – co sugeruje Overbeek – był odpowiedzialny za dalszą „peregrynację” i pracę w duszpasterstwie ks. Surgenta w diecezji koszalińsko-pelplińskiej. „Decyzja o pozwoleniu Surgentowi na pracę w innej diecezji zapadła poza kard. Wojtyłą, a musieli ją podjąć wspólnie bp Marian Rechowicz (od 1974 r. administrator archidiecezji w Lubaczowie) oraz bp Ignacy Jeż – od 1972 r. ordynariusz koszalińsko-kołobrzeski. Ten pierwszy musiał wydać zgodę na to, by podlegający mu duchowny przeszedł oficjalnie do innej diecezji (tzw. ekskardynacja), ten drugi musiał zaś zgodzić się na przyjęcie księdza” – czytamy. Overbeek jednak próbuje w sprawę wplątać Wojtyłę jako tego, który miałby być odpowiedzialny za brak procesu kościelnego. Tyle że to nie Wojtyła był biskupem Surgenta. Warto przy tej okazji przypomnieć, że „obowiązujący wówczas Kodeks Prawa Kanonicznego dopuszczał wstrzymanie się od nałożenia kary kościelnej w sytuacji, gdy winnego dostatecznie ukarała już władza świecka” – wspominają o tym Krzyżak i Litka. Dlaczego biskupi Rechowicz i Jeż nie zakończyli duszpasterskiej kariery Surgenta, jest pytaniem zasadnym, ale nie Wojtyła powinien być jego adresatem.

Czy archiwum archidiecezji krakowskiej mogłoby powiedzieć nam coś więcej o sprawie? Być może. Jednak stosunek hierarchii katolickiej w Polsce do rzetelnego, historycznego przepracowania problemu drapieżnictwa seksualnego wśród

duchowych jest równie niedobry jak ten, który hierarchia ta miała do sprawy współpracy duchownych z komunistycznym aparatem bezpieczeństwa. Należy się zgodzić w tej sprawie z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, który od lat twierdzi, że gdyby Kościół przeprowadził w swoich szeregach lustrację, wiele spraw seksualnych już byłoby na wierzchu lub zostałyby one rozbrojone, ponieważ te dwa problemy często chodzą parami.

Również sugerowanie, że zanim doszło do ujawnienia przestępstw ks. Surgenta, Wojtyła zachowywał się niewłaściwie – coś wiedział, ale nie powiedział – dziś nie wytrzymuje krytyki. Znana jest jedna wcześniejsza informacja matki ucznia, która poinformowała biskupów krakowskich o niewłaściwym zachowaniu księdza. Ci zaś przekazali sprawę bp. Janowi Nowickiemu, ordynariuszowi lubaczowskiemu, który był przełożonym Surgenta. Wedle obowiązującego wówczas Kodeksu prawa kanonicznego ks. Surgent został skarcony listownie przez Nowickiego i wykazał skruchę. Dopiero z dzisiejszej perspektywy można stwierdzić, że Surgent był po prostu notorycznym kłamcą, który próbował zwodzić także komunistyczne organy ścigania. Zapewne także jego skrusza okazana przełożonym duchownym była przekonująca. Z pewnością jego nietypowa sytuacja kanoniczna – wyświęcony był w Krakowie, ale inkarnowany w Lubaczowie – pomagała lawirować.

NIEDOSKONAŁOŚĆ SYSTEMU

Z dzisiejszej perspektywy, gdy mechanizmy przestępczości seksualnej zostały dobrze opracowane, łatwo można uznać niedoskonałość ówczesnego systemu kościelnego. Zapewne zbyt łatwo zakładał możliwość nawrócenia seksualnych drapieżców, niechętnie sięgał po najcięższe kary kościelne, takie jak usunięcie ze stanu duchownego, nie przykładając wystarczającej wagi do losu pokrzywdzonych. Tyle że nie na tym polega, jak rozumiem, zarzut Ekkego Overbeeka. Dziennikarz nie skupia się na słabości systemu, ale tworzy fałszywy obraz osobistej pobłażliwości Wojtyły dla przestępstw seksualnych, który miał mu wpoić kard. Adam Sapieha. Sapieha zaś na podstawie jednego świadectwa księdza degenerata, który miał motyw, by zemścić się na metropo-

licie, jest przedstawiony w książce jako seksualny dewiant. Jednak i te rewelacje, podobnie jak narracja dotycząca Wojtyły, wygląda na mocno fastrygowaną, ponieważ sam Overbeek wyraża wątpliwość, czy zeznania ks. Anatola Boczka można traktować wiarygodnie.

SŁABE FUNDAMENTY OSKARŻEŃ

Owszem, trzeba dodać, że bardziej wiarygodne świadectwo niewłaściwego zachowania kard. Sapiehy przedstawiła prof. Joanna Tokarska-Bakir, a świadectwo to opublikował Artur Sporniak na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Świadectwo to wydobyło z ks. Andrzeja Mistata, jednej z ofiar tzw. procesu kurii krakowskiej, w której Mistat był oskarżony o działalność szpiegowską. Problem z tym zeznaniem jest jednak taki, że poprzedzały go brutalne przesłuchania. W czasie śledztwa poprzedzającego proces kurii krakowskiej stosowano bowiem tortury. Ksiądz Mistat podał także nazwiska innych księży, którzy mieli być świadkami niemoralnego zachowania kard. Sapiehy. Sprawa ta zapewne powinna się doczekać gruntownego badania historycznego, np. ze strony niezależnej komisji kościelnej złożonej także z profesjonalnych historyków. Inaczej w przestrzeni publicznej niesprawdzone pogłoski będą funkcjonowały jako ukrywana przez Kościół prawda.

Podsumowując wątki, należy się raczej zgodzić z opinią jezuitę o. Jacka Prusaka, który określił hipotezę o złym wpływie kard. Sapiehy na ks. Wojtyłę mianem „wątpliwego psychologizowania”. Zresztą same fundamenty tego psychologizowania okazują się bardzo słabe – Wojtyła trudno postawić zarzut niewłaściwego postępowania z predatorami w sutannach. Po prostu stosował procedury, które były w jego czasach przewidziane w takich sytuacjach i które uważano za odpowiednie. Jego osobiste relacje duszpasterskie pozostawały zawsze bez zarzutu, a intelektualnej pracy nad opisaniem właściwych zasad relacji seksualnych poświęcił wiele lat życia. Także oskarżenia kierowane wobec kard. Adama Sapiehy nie mogą być traktowane jako fakty bez krytycznej analizy źródeł, a także – co niewątpliwie – bez szerszej kwerendy. Jest to już jednak tak naprawdę inny wątek.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Program autorski dziennikarza śledczego Piotra Nisztor.
W każdym odcinku redaktor rozmawia z zaproszonymi gośćmi – ekspertami ze świata polityki, obronności, sportu czy publicystyki. Dementuje fakenewsy, tropi nieścisłości. To, co dla większości jest „ściśle tajne” – w „Rozmowie ściśle jawnej” zostaje odtajnione.



rozmowa ściśle jawna

piątek
19:25

zaprasza **Piotr Nisztor**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Pat w Trybunale



TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY

FOT. MATEUSZ SZYMANSKI/ADRIAN STOK

Sytuacja w Trybunale Konstytucyjnym jest paradoksalnie prosta i skomplikowana. Prosta, ponieważ w gruncie rzeczy dotyczy różnicy w interpretacji prawa, choć spór nie jest łatwy. Skomplikowana zaś, bo trzeba do tego dodatkowo dodać emocje, ambicje oraz wielką politykę. Wszystko to daje mieszanekę wybuchową, której świadkami właśnie jesteśmy.

SPÓR O PRAWO

Jak to możliwe, że w jednym z najważniejszych sądów w Polsce, który bada zgodność wszystkich aktów prawnych z konstytucją, doszło do tak dużej różnicy zdań o tak znaczących konsekwencjach? Trzeba się cofnąć do listopada 2016 r. Wówczas w ustawie o organizacji i trybie postępowania przed Trybunałem Konstytucyjnym przewidziano, że kadencja prezesa TK trwa sześć lat. Była to istotna zmiana, ponieważ wcześniej kadencja pre-



Karol Gac

Czy Julia Przyłębska jest prezesem Trybunału Konstytucyjnego? To kwestia, która dzieli sędziów orzekających w gmachu przy al. Szucha. Fundamentalna różnica zdań sprawia, że w Trybunale trwa swoisty pat, który – po decyzji prezydenta w sprawie nowelizacji ustaw sądowych – tylko narasta. Czy dojdzie do przesilenia?

zesa nie była określona, a osoba nim będąca sprawowała swoją funkcję do końca kadencji sędziego TK. Ta ustawa utraciła moc 20 grudnia 2016 r. I tu zaczynają się schody. Julia Przyłębska została powołana na prezesa Trybunału 21 grudnia 2016 r., a więc zaledwie dzień później. Tyle tylko, że przepis o kadencyjności prezesa TK wszedł w życie 3 stycznia 2017 r., a więc już po wyborze sędzi Przyłębskiej.

Spór dotyczy więc de facto interpretacji przepisów. Część prawników, w tym np. eksperci Fundacji Batorego, wskazywała, że kadencja obecnej prezesa TK upłynęła 20 grudnia ub.r., a więc po sześciu latach. Ten punkt widzenia podziela co najmniej sześciu (z 15) sędziów Trybunału, o czym szerzej za chwilę. Z kolei zupełnie odmiennego zdania są nie tylko Julia Przyłębska i pozostała część sędziów TK, lecz także

szeF Rady Legislacyjnej w KPRM prof. Marek Szydło oraz, co istotne, premier Mateusz Morawiecki. – Nie ma żadnej wątpliwości, że kadencja prezesa TK kończy się wraz z czasem trwania kadencji sędziego. Taka była intencja ustawodawcy, taki jest stan legislacyjny na dzisiaj, a więc w duchu trwałości, stabilności, stałości, jestem przekonany, że nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że kadencja prezesa TK będzie jeszcze trwała – powiedział szef rządu na jednej z konferencji prasowych. Co ciekawe, podobne zdanie w sprawie interpretacji przepisów wyraził także rzecznik praw obywatelskich prof. Marcin Wiącek.

LIST SZEŚCIU

O tym, że sytuacja w Trybunale jest poważna, świadczy przede wszystkim pismo sześciu sędziów TK skierowane do Julii Przyłębskiej. Wojciech Sych, Jakub Stelina, Andrzej Zielonacki, Zbigniew Jędrzejewski, Bogdan Świączkowski oraz Mariusz Muszyński domagają się w nim od Julii Przyłębskiej zwołania Zgromadzenia Ogólnego Sędziów i wyłonienia kandydatur, spośród których prezydent wskaże nowego prezesa TK. Ponadto, według naszych informacji, podobnego zdania są jeszcze dwaj sędziowie TK, choć nie artykułują tego głośno. Z interpretacją przedstawioną w liście nie zgadza się, co oczywiste, sędzia Przyłębska, która chce pozostać prezesem do grudnia 2024 r., a więc do końca swojej dziewięcioletniej kadencji sędziowskiej.

W odpowiedzi Julia Przyłębska stwierdziła, że wniosek „nie ma oparcia w prawie i jest bezprzedmiotowy”, ponieważ została powołana na prezesa, gdy przepisy mówiące o sześcioletniej kadencji jeszcze nie obowiązywały. Jej zdaniem „niedopuszczalna jest wykładnia, zgodnie z którą zastosowanie mają przepisy z mocą wsteczną, gdy o takiej mocy ustawodawca jednoznacznie nie postanowił”.

Z taką wykładnią nie zgadza się jednak sześciu sędziów, którzy w kolejnym piśmie, do którego jako pierwszy dotarł portal DoRzeczy.pl, przedstawili wiele argumentów prawnych na poparcie swojego stanowiska. „Poprzednio obowiązująca ustawa, nieprzewidująca kadencyjności funkcji prezesa TK, straciła moc z dniem 20 grudnia 2016 r., dlatego zasada *lex retro non agit*, na którą się Pani powołuje, w ogóle nie ma tu zastosowania, bo usta-

wa nieprzewidująca kadencji prezesa TK straciła moc przed zainicjowaniem postępowania w celu wyboru nowego Prezesa” – czytamy.

Konkluzją tego pisma jest stwierdzenie, że Julia Przyłębska nie jest już prezesem TK, ale kieruje jego pracami. A to zasadnicza różnica, ponieważ taki sędzia ma o wiele mniejsze kompetencje. – Ma on jeden podstawowy obowiązek – zwołać posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego w sprawie przedstawienia kandydatów na stanowisko prezesa Trybunału. W związku z tym, że Julia Przyłębska nie zwołała Zgromadzenia przez dwa tygodnie, 3 stycznia sześciu sędziów Trybunału zwróciło się do niej z prośbą o dopełnienie tego obowiązku, zawiadamiając o tym kroku prezydenta – tłumaczył portalowi DoRzeczy.pl rozmówca z Trybunału Konstytucyjnego, który pragnął zachować anonimowość.

Na pismach się jednak nie skończyło. Przykładowo: wiceprezes Trybunału prof. Mariusz Muszyński w zdaniu odrębnym do jednego z postanowień nie tylko określił sędzię Przyłębską jako „byłą prezes TK”, lecz także zarzucił jej m.in., że pod jej rządami TK „nie tyle orzeka, ile tworzy tego publiczne złudzenie”. Ponadto sędzia Muszyński zarzucił Julii Przyłębskiej, że TK „pompuje sobie statystyki”, ale „za tym rzekomym sukcesem nie stoją faktyczne działania na rzecz ochrony praw obywateli”. Profesor Muszyński doczekał się zresztą szybkiej odpowiedzi Julii Przyłębskiej, w której ta także nie szczędziła mu słów krytyki. „W nawiązaniu do pana licznych publicznych komentarzy dotyczących działalności Trybunału Konstytucyjnego apeluję, aby zaprzestał pan tych działań i poświęcił swój wysiłek intelektualny pracy nad projektami orzeczeń w sprawach, w których jest pan sprawozdawcą” – czytamy.

PROBLEM PEŁNEGO SKŁADU

Wydawać by się mogło, że są to wyłączne sprawy Trybunału Konstytucyjnego. Problem w tym, że tak fundamentalna różnica zdań wpływa na jego funkcjonowanie albo raczej częściowy paraliż. Dlaczego? Trybunał rozpatruje bowiem sprawy w różnych składach orzekających – jednoosobowo, trzyosobowo, pięciosobowo oraz w pełnym składzie. W pierwszych trzech przypadkach potencjalne problemy

mogą być co najwyżej natury organizacyjnej. Zresztą według naszych informacji niektórzy sędziowie, którzy podpisali się pod wnioskiem do Julii Przyłębskiej, nie chcą rozpatrywać spraw, które zostały zarejestrowane po 20 grudnia ub.r. To jednak problem, który Julia Przyłębska może rozwiązać (np. przekierować sprawy do innych sędziów). W przeciwieństwie do orzeczenia TK w pełnym składzie. I to właśnie on jest kluczowy.

Zgodnie z ustawą TK rozpatruje w pełnym składzie najważniejsze sprawy, m.in. w sprawie zgodności ustawy z konstytucją przed jej podpisaniem lub umowy międzynarodowej z konstytucją przed jej ratyfikacją. Żeby Trybunał orzekł w pełnym składzie, potrzeba do tego minimum 11 sędziów (na 15). Jeżeli więc oficjalnie wiadomo, że sześciu sędziów nie uznaje Julii Przyłębskiej za prezesa, to znaczy, że Trybunał nie będzie w stanie zebrać się w pełnym składzie. Oczywiście przy założeniu, że sygnatariusze wcześniejszego apelu podtrzymają swoje stanowisko. Pierwsze zwiastuny problemu już są. Według informacji „Do Rzeczy” odwołano już kilka pełnoskładowych narad w TK. Chociaż nie podano powodów takich decyzji, to jednak wnioski nasuwają się same.

„NIECH SIĘ ODKŁÓCĄ”

Sytuację w Trybunale dodatkowo skomplikowała decyzja prezydenta Andrzeja Dudy, który 10 lutego poinformował o skierowaniu nowelizacji ustawy o SN do TK w trybie kontroli prewencyjnej. Taki ruch oznacza, że ustawa nie będzie obowiązywała dopóty, dopóki Trybunał nie wypowie się na temat jej zgodności z konstytucją. Przypomnijmy, że nowelizacja ma wypełnić kluczowy „kamień milowy” dla odblokowania przez Komisję Europejską środków na realizację Krajowego Planu Odbudowy. Jednocześnie prezydent zaapelował w orędziu, by sędziowie TK zajęli się tą sprawą szybko. To wytworzyło dodatkową polityczną presję na Trybunał, na którego orzeczenie czeka nie tylko prezydent, lecz także rząd oraz Prawo i Sprawiedliwość. Warto jednak podkreślić, że Trybunał nie jest w tej sprawie w żaden sposób związany czasowo. Zwłaszcza że skarga prezydenta jest obszerna, co będzie wymagało czasu. Według naszych informacji może to być nawet kilka miesięcy.

Co ciekawe, niedawno prezydent udzielił wywiadu TVN24, w którym został zapytany m.in. o sytuację w Trybunale. Andrzej Duda ocenił, że każdy konstytucyjny organ państwa „ma swoją odpowiedzialność za sprawy państwowe, ma swój wymiar zadań i te zadania powinien realizować”. „Więc niech się Trybunał Konstytucyjny w takim razie odkłóci, skoro jest wewnętrznie skłócony, i weźmie do roboty, zajmie się tym, co do niego należy” – powiedział nieoczekiwanie mocno prezydent. Jednocześnie Andrzej Duda zaznaczył, że jeśli TK zwróci się do niego o wybór prezesa spośród przedstawionych mu kandydatur, to „postara się dokonać wyboru jak najszybciej”.

Część komentatorów zaczęła łączyć sytuację w Trybunale z relacjami PiS z Solidarną Polską. Tyle tylko, że to zbyt proste wyjaśnienie. W istocie niektórzy sędziowie są bardziej kojarzeni z partią Zbigniewa Ziobry niż Jarosława Kaczyńskiego, ale takie przedstawienie sprawy nie oddaje jej złożoności. Jeden z naszych rozmówców zwraca też uwagę na narrację, którą wytworzono w mediach. – Podpisani pod pismem sędziowie zostali określani w prasie jako buntownicy i taki przekaz został przejęty przez media. Tymczasem w Trybunale nie ma buntu, a sędziowie, którzy wystąpili z prośbą o zwołanie Zgromadzenia, nie wystąpili przeciwko Julii Przyłębskiej, tylko upomnieli się o prawo. Zwykłym wymysłem jest twierdzenie o buncie, jak również o politycznym tle apelu sześciu sędziów. Zwłaszcza że właściwie niewiele ich łączy, a wbrew pozorom sporo dzieli – tłumaczy.

CO DALEJ?

Sytuacja w Trybunale Konstytucyjnym jest coraz bardziej napięta. Tym bardziej że wraz z upływającym czasem presja na Julię Przyłębską będzie tylko rosła. Wirtualna Polska napisała niedawno, że sprawą jest już poirytowany Jarosław Kaczyński, który spodziewa się, że Trybunał zajmie się wnioskiem prezydenta jeszcze w marcu. To wydaje się jednak mało prawdopodobne, choć nie jest niemożliwe. Rozwiązań obecnej sytuacji jest przynajmniej kilka. Teoretycznie wykładni przepisów mógłby dokonać sam Trybunał, choć pozostaje pytanie, w jakim trybie. Inna rzecz, że trudno sobie wyobrazić taką sytuację w tym konkret-

W Trybunale nie ma buntu, a sędziowie, którzy wystąpili z prośbą o zwołanie Zgromadzenia, nie wystąpili przeciwko Julii Przyłębskiej, tylko upomnieli się o prawo

nym przypadku. Teoretycznie możliwe jest też, że Julia Przyłębska zdecyduje się zwołać Zgromadzenie, by wybrać nowego prezesa TK. Tyle że wizerunkowo byłoby to dla niej mocno problematyczne. Takie rozwiązanie wzmacniając sejmowe plotki, zgodnie z którymi, jeśli sytuacja w Trybunale będzie bardzo napięta, może dojść do przesilenia i do roszady we władzach Trybunału. Może się też jednak okazać, że przynajmniej część z sygnatariuszy apelu do Julii Przyłębskiej przyszedłaby na posiedzenie w pełnym składzie, np. ze względu na wagę polityczną sprawy. Taką decyzję musiałby każdy z sędziów rozstrzygnąć w swoim sumieniu. W podobnym duchu wyraża się jeden z naszych rozmówców z kręgów rządowych, który nie wybiera sobie, by w tak istotnej sprawie sędziowie odmówili Julii Przyłębskiej. Tyle tylko, że to wyłącznie spekulacje, bo na dziś nikt nie potrafi przewidzieć rozwiązania sytuacji.

Jakby tego było mało, sytuacja w Trybunale uległa przyspieszeniu w ubiegłym tygodniu. 27 lutego w Programie 3 Polskiego Radia Julia Przyłębska poinformowała, że wnioskowi prezydenta został nadany bieg. – Trybunał będzie się przygotowywał do orzeczenia. Wkrótce spotkamy się na rozprawie – oznajmiła. Zapytana o spór wewnątrz TK sędzia stwierdziła, że jest to „nieprawda i błędny obraz”. Dzień później do Julii Przyłębskiej wpłynął kolejny list sześciu sędziów, który portal DoRzeczy.pl ujawnił jako pierwszy. Sędziowie ponownie zaapelowali w nim o zwołanie Zgromadzenia Ogólnego. „Powinność ta stała się szczególnie paląca” – zaznaczyła. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. 1 marca rzeczniczka TK poinformowała, że „Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK bezwzględną większością głosów, w obecności dwóch trzecich sędziów, podjęło uchwałę, w której stwierdzono brak podstaw do zwołania zgromadzenia w celu wyboru

kandydatów na prezesa Trybunału”. Onet ustalił nieoficjalnie, że było to możliwe wyłącznie dlatego, że udział w Zgromadzeniu postanowił wziąć „dla zasady” Bogdan Świączkowski, co pozwoliło na uzyskanie 10-osobowego kworum. Z kolei pięciu sędziów miało odmówić udziału w zgromadzeniu, twierdząc, że zostało ono zwołane przez osobę nieuprawnioną. Onet dodaje jednak, że dwóch sędziów odmówiło wzięcia udziału w głosowaniu dotyczącym uchwały, co sprawia, że nie było kworum w momencie podejmowania decyzji.

Niezależnie od rozwoju wypadków w Trybunale należy pamiętać, że nawet jeśli TK rzeczywiście zbierze się w pełnym składzie, to absolutnie nie oznacza, że uzna nowelizację za zgodną z konstytucją. Zwłaszcza że formułowano wobec niej bardzo krytyczne opinie. I to rodzi obawy w obozie rządzącym.

KE WKRAČA DO GRY

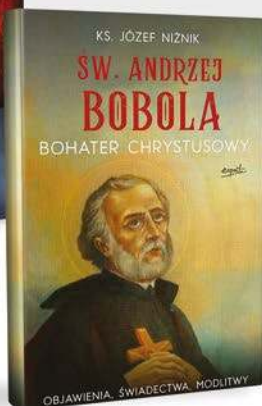
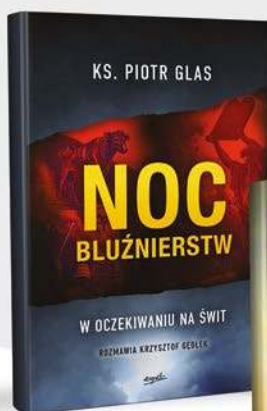
Sytuację komplikuje to, że niedawno Komisja Europejska skierowała do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej skargę przeciwko polskiemu Trybunałowi Konstytucyjnemu dotyczącą prymatu prawa krajowego nad unijnym. Chodzi o dwa wyroki TK z 2021 r., w których sędziowie podważyli legalność środków tymczasowych TSUE, jeśli dotyczą obszaru sądownictwa, oraz stwierdzili pierwszeństwo polskiej konstytucji przed unijnymi traktatami. Polskie władze wskazują, że podobnie zrobiły wcześniej trybunały innych państw, np. Niemiec czy Hiszpanii. Jakby tego było mało, KE uważa także, że Trybunał „nie spełnia już wymogów niezawisłego i bezstronnego sądu, ustanowionego uprzednio na mocy ustawy”, a wszystko to „wynika z nieprawidłowości przy mianowaniu trzech sędziów w grudniu 2015 r. oraz przy wyborze prezesa w grudniu 2016 r.”. W dodatku KE może zawnieść do TSUE o kolejne kary pieniężne dla Polski. Taka decyzja KE oznacza, że kwestia uzyskania przez Polskę ewentualnych pieniędzy z KPO odsuwa się w jeszcze dalszą przyszłość. Trudno nie zauważyć jednak koincydencji decyzji KE z decyzją prezydenta Andrzeja Dudy. Może się przecież okazać, że skarga do TSUE będzie za chwilę wygodną furtką dla KE, by nie wypłacić Polsce należnych pieniędzy i uznać, że orzeczenie TK nie ma żadnego znaczenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

KS. PIOTR GLAS: „NOC BŁUŻNIERSTW”
I KS. JÓZEF NIŻNIK: „ŚW. ANDRZEJ BOBOLA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~522 ZŁ~~

214,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 308 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

epresa.pl fa2140f805



Z Krzysztofem Wyszowskim,
współzałożycielem NSZZ „Solidarność”
i Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Czy w pana perspektywie, człowieka, który ponad 40 lat temu współtworzył Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża i NSZZ „Solidarność”, Polska jest dziś we właściwym miejscu?

KRZYSZTOF WYSZOWSKI: Mam mieszane uczucia. Z jednej strony jesteśmy częścią wolnego, demokratycznego świata Zachodu. Możemy być dumni z roli, którą Polska odgrywa w sprawie Ukrainy. Z drugiej strony państwa i instytucje Zachodu nie doceniają naszego zaangażowania w obronę Ukrainy, a tym samym Europy przed rosyjskim imperializmem. Komisja Europejska wywiera stałą presję, której celem są fundamenty polskości.

Polska zaangażowała w pomoc Ukrainie ogromne jak na potencjał naszego kraju zasoby militarne i finansowe. W przeciwieństwie do państw Zachodu trafnie rozpoznała zagrożenie, które stanowi imperialna Rosja. Od początku rosyjskiej agresji Polska jest kluczowym ogniwem łańcucha międzynarodowej pomocy dla walczącej Ukrainy. Czy w związku z tym bezprecedensowym zaangażowaniem na rzecz Ukrainy mamy tytuł do geopolitycznej renty? Czy Polska potrafi o nią skutecznie zabiegać?

Wzbraniałbym się przed określeniem „geopolityczna renta”, bo walka o należne nam prawa wcale nie jest wygrana. Dzięki ubiegłorocznej o Ustawie o obronie Ojczyzny mamy właściwą strategię wobec Rosji i wojny na Ukrainie. Celem naszej

**Komisja Europejska
wywiera stałą presję,
której celem są
fundamenty
polskości**

polityki powinno być umiejętne zdyskontowanie tej strategii wobec Zachodu, w postaci osiągnięcia celów, na których nam zależy czy też zneutralizowania polityki, która jest dla Polski szkodliwa. Powinniśmy stale podkreślać, że Polska już ponad 15 lat temu zdefiniowała zagrożenie, jakim dla wolnego świata jest putinowska Rosja. Architektami tej strategicznej wizji byli Lech i Jarosław Kaczyńscy.

Skradziona solidarność



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

Byłem zażenowany wiernopoddań-
czym stylem prezydenta Dudy, który
w czasie niedawnej wizyty prezydenta
USA Bidena w Polsce ani słowem nie
zająknął się, że to polska strategia
wobec Rosji, realizowana przez braci
Kaczyńskich, sprawdziła się co do joty.
Nie powiedział nic o bezprecedensowej
akcji podjętej przez Lecha Kaczyńskiego
w sierpniu 2008 r., w czasie rosyjskiego
najazdu na Gruzję, która prawdopodobnie
uratowała ten kraj przed zajęciem
przez Rosję, nie padło ani jedno słowo
o dramacie w Smoleńsku. Pytam: czy
może być lepszy moment do podjęcia
sprawy Smoleńska? Brak pryncypialno-
ści, uległość ze strony polskiego przy-
wództwa są natychmiast wykorzysty-
wane przez Zachód. A my nie osiągamy
celów politycznych, na których powinno
nam najbardziej zależeć, np. zatrzymanie
szkodliwych dla polskiego społeczeń-
stwa i polskiej gospodarki działań pro-
wadzonych przez Komisję Europejską.

Ostatnia wizyta prezydenta USA jest
tu wręcz klasycznym przykładem. Biden
całkowicie zrealizował w Warszawie
swoją polityczny cel, wpisując pobyt nad
Wisłą zarówno w bieżącą amerykańską
politykę, jak i w swoją przyszłą kam-
panię. Polaków potraktował w charak-
terystyczny, protekcyjny sposób,
serwując, moim zdaniem, fałszywą,
a przynajmniej istotowo zniekształco-
ną dykteryjkę o spotkaniu z papieżem
Janem Pawłem II. Ojciec Święty miał mu
powiedzieć, że zwraca się do niego nie
jako papież, a jako Polak. To przejaw
typowego nierozumienia duchowości
Jana Pawła II, który tak często podkre-
ślał wobec swoich rozmówców z całego
świata, że występuje jako „papież z Pol-
ski”. Relacja Bidena sugeruje, że papież,
prezentując się w taki sposób, podważył
swoje posłannictwo. To głupstwo dobrze
charakteryzuje postawę Bidena, nomi-
nalnego katolika realizującego w prak-
tyce całkowicie antykatolicką politykę.
Wracając do pańskiego pytania, oczy-
wiście tak szeroka pomoc dla Ukrainy
powinna się Polsce opłacać. Bilansem
polskiej polityki prowadzonej w sprawie
wojny na Ukrainie nie mogą być wyłącz-
nie koszty.

**Spontaniczny zryw, który był udziałem mi-
lionów Polaków rok temu, po rosyjskiej napaści**

**na Ukrainę, przejawiający się powszechnymi
beziinteresownymi gestami przyjęcia, pomocy
i solidarności wobec ofiar wojny, siłą rzeczy
kojarzy się z festiwalem polskiej wolności, jakim
był czas narodzin Solidarności, lata 1980–1981.
Czy coś nam zostało z tej solidarności przez
dużo „S”?**

To dla mnie gorzki obrachunek. Na
przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wie-
ku, kiedy zakładaliśmy Wolne Związki
Zawodowe i Solidarność, uważałem, że
w oczekiwaniu na odzyskanie Polski

**Byłem zażenowany
wiernopoddańczym stylem
prezydenta Dudy
w czasie niedawnej wizyty
prezydenta USA Bidena**

z rąk komunistów musimy powstrzymać
się od metod rewolucyjnych, a wolność
będzie zwieńczeniem rozpoczętego
wówczas procesu społecznego i poli-
tycznego. Stan wojenny z grudnia 1981 r.
zmienił sytuację, dając nam prawo do
radikalnego odsunięcia komunistów od
władzy. Przebieg Okrągłego Stołu był dla
mnie szokiem. Uważam, że nasi repre-
zentanci popełnili historyczną zdradę
i wielkie dziedzictwo narodowe, którym
jest Solidarność, zostało dla Polski w du-
żym mierze zmarnowane.

**Czy Solidarność nie została „skradziona”
Polakom już w swojego zarania, z chwilą oddania
przywództwa w ręce Wałęsy? Przecież już na
przełomie sierpnia i września 1980 r. krąg osób
zakładających Solidarność, wśród których pan był,
miał wiedzę na temat agenturalnej przeszłości
Wałęsy.**

Wtedy nie znałem żadnych dokumen-
tów potwierdzających związki Wałęsy
z SB. Mówił o tym głośno Kuroń, który
forsował na przewodniczącego związku
Andrzeja Gwiazdę, ale tylko po to, żeby
samemu objąć przywództwo. I for-
sował koncepcję przeciwną idei
wolnych związków zawodowych, jako
wprowadzaniu do „realnego socjalizmu”
mechanizmu gospodarki kapitalistycz-
nej. Chciał dogadać się z komunistami,
dokooptowując Solidarność do ukła-
du reglamentowanego przez władze

PRL. Sprawa Wałęsy nie była w tym
najważniejsza. Proces zawłaszczania
Solidarności rozpoczął się rzeczywiście
już w 1980 r., a kierunek nadawało mu
środowisko skupione wokół Kuronia,
Geremka, Michnika i Mazowieckiego,
które wraz z Wałęsą, nawet pomimo róż-
nic i rywalizacji występujących między
nimi, doprowadziło do ugody dającej im
współwładzę, ale opóźniającej odzyska-
nie niepodległości.

**Powiedział pan, że proces przejmowania So-
lidarności ostatecznie dokonał się przy Okrągłym
Stole. Jak bardzo transakcja, która dokonała się
wtedy między komunistami a „stroną solidar-
nościową” zaważyła na biegu polskich spraw,
a w jakim stopniu rzutuje na nie dzisiaj?**

Tajny układ potwierdzony publicz-
nie przy Okrągłym Stole w ogromnym
stopniu na długo określił pozycję Polski.
Jego rdzeniem jest zbudowanie spo-
łecznego przeświadczenia o bezalterna-
tywności polskiej polityki i tożsamości,
która w istocie ma przekreślić naszą
tradycję i zmodyfikować polskie DNA
w taki sposób, żeby było ono zgodne
z dyspozycjami ośrodków, które kreują
w Polsce posłuszne im elity i nadzorują
prowadzenie pożądaną przez nie polity-
ki. Kilka lat temu myślałem o publikacji
konfrontującej etos Legionów, Polskiej
Organizacji Wojskowej sprzed 100 lat,
któremu zawdzięczamy odbudowę nie-
podległego państwa polskiego, z etosem
ruchu Solidarności.

Zrezygnowałem z tego nie tylko dlate-
go, że kompromitująco wypada porów-
nanie Piłsudskiego z Wałęsą. Jest gorzej,
odziedziczone po sowietyzmie, z gruntu
antypolskie elity są petryfikowane przez
układ międzynarodowy, który wprost
uderza w Polskę. Niech za opis wystarczy
fakt zagranicznej własności dominującej
części mediów, których zadaniem jest
stałe poniżanie Polski i polskości.

**Sto lat temu, kiedy pokolenie Legionów i POW
broniło Polski przed bolszewickim najazdem, tacy
ludzie zostaliby pewnie zaliczeni w poczet „czer-
wonej agentury” ze wszystkimi konsekwencjami
tego stanu rzeczy...**

Ci ludzie to rozumieją i dlatego do
ostatniej chwili starali się o „reset”, a dziś
nadal usiłują paraliżować niepodległo-
ściowe działania władz Rzeczypospolitej.



Kozi róg Tuska



Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk sprawia dziś wrażenie człowieka, który wdepnął w trzęsawisko: im bardziej próbuje się z niego wydostać, tym bardziej się pograża. Do tego stopnia, że nie wiadomo, czy jego przywództwo dotrwa do wyborów

FOT. WOLICIE STRZYZY/REPORTER, INSTAGRAM.COM/PODULUTUSK

Zlicznych kłopotów Tuska największą uwagę mediów przyciągnęły plotki o przepychankach pomiędzy nim a Rafałem Trzaskowskim do „szejkhendu” z prezydentem USA. Jeśli wierzyć dobrze zwykle zorientowanym w zakulisowej krzątaninie polityków Joannie Miziołek i Elizie Olczyk z „Wprost”, to pierwotnie zaproszenie do wspólnej fotografii (ale niczego więcej) otrzymał tylko Trzaskowski, jako prezydent miasta goszczącego Joe Bidena. Rozwścieczyło to Tuska, który zdołał zapewnić sobie tyle samo (przy okazji załapał się wyjątkowo łasy na tego rodzaju splendory marszałek „demokratycznego Senatu”). Trzaskowski jednak, podchodząc jako pierwszy, „zmonopolizował” dostojnego gościa, to znaczy, uchwyciwszy jego rękę i zagajając, nie dał się ochrone odpędzić przez prawie minutę – co do zaledwie kilkunastu sekund skróciło czas przeznaczony dla Tuska. Co więcej, okazało się, że PO-wska „obstawa” nie zrobiła w tym czasie zdjęcia swemu p.o. przewodniczącemu; musiał prosić o kopię fotografii z ambasady i mógł się pochwalić nią dopiero kilka dni po rywalu.

Dziennikarze skądinąd zawsze oddanego opozycji Onetu uzupełnili tę opowieść: zdaniem Dominiki Długosz przez cały dzień „ludzie Trzaskowskiego

latali po mieście i podgrzewali atmosferę” zapowiedziami długiego, ważnego spotkania Bidena z Trzaskowskim „na życzenie prezydenta USA” (te zapowiedzi bezkrytycznie powtarzały niektóre media, m.in. znalazły się one na portalu TVN24), z kolei według wspomnianych Miziołek i Olczyk już po zrobieniu wspólnych zdjęć bliski Trzaskowskiemu Sławomir Nitras miał dzwonić do dziennikarzy i zapewniać, że rozmowa jego pryncypała z Bidenem trwała „do 10 minut” i dotyczyła ważnych spraw.

W porównaniu z tą próbą wykorzystania wizyty prezydenta USA do lansu opozycji błędnie poprzednia – kiedy to zapowiadano ściągnięcie na wiec KOD Baracka Obamy pod pozorem nadania kawałkowi warszawskiego trawnika imienia Martina Luthera Kinga. Pomińmy już, co ta szopka mówi o opozycji jako takiej, samym Trzaskowskim, jego otoczeniu i medialnym zapleczu, a skupmy się na lekcji, którą otrzymał Tusk. Po raz pierwszy w sposób tak otwarty rzucono wyzwanie jego przywództwu w PO. Co charakterystyczne, zrobił to nie tyle sam Trzaskowski, który jak zwykle zachowywał się biernie, ile niżsi rangą działacze, najwyraźniej chcąc zmusić prezydenta Warszawy do zawalczenia o przywódz-

two. A gdyby Trzaskowski nie był tak „nie-decyzyjny”, gdyby frondyści mieli bardziej energicznego kandydata – czym mogłoby się to dla Tuska skończyć?

NIE TAK MIAŁO BYĆ

Narastające rozczarowanie Tuskiem i zniechęcenie do niego w „masach członkowskich” PO, nie mówiąc o pozostałych partiach anty-PiS, jest tajemnicą poliszynela. Wszystko poszło z nim nie tak, jak się partia spodziewała. Były „prezydent Europy” miał przecież samym swoim pojawieniem się, samym europejskim sznytem przytłoczyć najpierw antypolską konkurencję, a potem zgnieść zużyty długim sprawowaniem władzy PiS. Skończyło się na odebraniu Hołowni drugiego miejsca w sondażach – ale zaraz potem PO uderzyła w sondażowy szklany sufit. Przez długi czas można było mieć nadzieję, że ostateczny upadek Hołowni tylko się opóźnia, ale prędzej czy później do PO przejdzie reszta jego elektoratu i sufit zostanie przebity. To oczekiwanie spełnia się jednak tylko w połowie. Ruch Hołowni faktycznie słabnie, od pewnego czasu w sondażach regularnie wyprzedza go Lewica, która wcisnęła się na najniższe miejsce na podium, ale PO wcale na tym nie zyskuje.



Co więcej, zmiany w Konfederacji, która wyraźnie konsoliduje się pod rządami duumwiratu Mentzen-Bosak, praktycznie pozbyła się już Korwin-Mikkego i zapowiada pozbycie się Brauna (niedopuszczonego do głosu na niedawnej konwencji), czynią tę partię zdolną do uszczknięcia części elektoratu, który PO uważała za swój, a który Hołownia rozczarował swoją nijakością. Zauważył to już potencjalny koalicjant PO w planowanym po „odsunięciu PiS od władzy” rządzie, Włodzimierz Czarzasty, zapowiadając publicznie, że nawet gdyby jedynym sposobem takiego „odsunięcia” była koalicja Konfederacja – to Lewica się na taką koalicję nie zgodzi, obstawiając raczej wariant kolejnych, przysiężonych wyborów, wymuszonych niemożnością wyłonienia rządu przez nowy parlament.

Jeśli taki przebieg wypadków staje się teoretycznie możliwy (a przy obecnych sondażach tak jest – jeśli Konfederacja wejdzie do kolejnego Sejmu z dobrym wynikiem i konsekwentnie trzymać się będzie dystans do obu politycznych plemion, to rządu nie zdoła powołać żadne z nich), to właśnie z winy Tuska, który mówiąc o „wspólnej liście opozycji”, w praktyce sam tę listę storpedował, mocno przesuwając partię na lewo. Gdyby postulat „wspólnej listy” naprawdę miał służyć coraz bardziej mitycznemu „odsunięciu PiS od władzy”, logika polityczna nakazywałaby uczestnikom projektu podzielić się antypisowskim elektoratem, kontynuując obsługiwane przez każdego z uczestników porozumienia swojej części. Tymczasem Tusk, zapowiadając, że „nie wpuszcza na listy wyborcze nikogo, kto nie będzie za aborcją na życzenie” (co samo w sobie było fatalnym sygnałem dla potencjalnych koalicjantów: wspólna lista jeszcze głębiej w lesie, a ten już się zachowuje, jakby on sam miał ją układać) i wykonując wiele podobnych gestów, wyprowadził się po wyborców Lewicy.

ODWRÓT MEDIÓW

W istocie Tusk nigdy żadnej wspólnej listy nie chciał – potrzebował jej tylko dla pokazania antypisowskiemu elektoratowi, że to przez Hołownię i Czarzastego PiS zdobył trzecią kadencję, co budowałoby jego pozycję jako naturalnego kandydata

na prezydenta w 2025 r. (a na tym mu, twierdząc, tak naprawdę zależy, gdyż tylko to dałoby mu możliwość powrotu do polityki europejskiej, z której został przez swą frakcję bezlitośnie, acz z zachowaniem pozorów wysiudany). Chyba jednak się przeliczył, sądząc, że ze wsparciem Agory, TVN i mediów RASP zdoła oskubać Lewicę z młodych wyborców, a potem, wobec słabości Hołowni, odzyska wyborców centrowych i zmusi do powrotu do ścisłego sojuszu z PO ludowców.

Przeliczył się nie tylko z powodu nieoczekiwanego odblokowania możliwości przepływu antypisowskich wyborców do Konfederacji (analiza sondaży pokazuje, że nie musi to nawet być duży przepływ – do opisanego wyżej sejmowego pata wystarczy, by Mentzen z Bosakiem przyciągnęli

Narastające rozczarowanie Tuskiem w PO jest tajemnicą poliszylnela. Wszystko poszło z nim nie tak, jak się partia spodziewała

do urn kilka procent młodych, wielkomiejskich wyborców, lecz także dlatego, że zaczęły go zawodzić wspomniane media, dotąd będące największym jego atutem. Lewicowo-liberalni liderzy opinii w rodzaju Tomasza Lisa, których poparcia dla siebie osobiście i dla wspólnej listy (tak długo, jak była jego hasłem) mógł być Tusk zawsze pewny, tracą na znaczeniu; do głosu dochodzą inni, coraz bardziej zirykowani nieskutecznością „pełniącego obowiązki” i przestraszeni, że pod takim przywództwem opozycja może jednak (choć wciąż się przed taką myślą skutecznie broni) po raz kolejny przegrać z Kaczyńskim.

Część tajemnicy tej zmiany tonu mediów, które nie przestając być anti-PiS,

stają się coraz mniej pro-Tusk, stanowi krystalizowanie się w obozie lewicowo-liberalnym ruchu wielkomiejskich samorządowców, którego siły nie należy mierzyć sondażami. To tam właśnie, w metropoliach, są prawdziwe zasoby opozycji i to nie Tusk nimi zarządza. Według ujawnionych niedawno danych Warszawa przeznaczą w bieżącym roku na „reklamę miasta” 41,5 mln zł, a Gdańsk 32,5 mln – by ograniczyć się tylko do miast, których władze są szczególnie mocno zaangażowani w projekt „odsunięcia PiS od władzy”. A Wrocław, Poznań, Łódź, a inne miasta, a inne pozycje w ich budżetach (bo co to jest „reklama miasta” i gdzie trafia, chyba nie trzeba nikomu wyjaśniać)? Na tym tle niecałe 20 mln budżetowej dotacji dla PO, którymi zarządza Tusk, nie robi wielkiego wrażenia.

UCIECZKA DO PRZODU

Tusk musi przed tą sytuacją uciekać, a jedynym kierunkiem ucieczki, który zna, jest – do przodu. Problem w tym, że próba ucieczki do przodu, którą było „wyjście do ludu” w Pabianicach, okazała się powrotem do przeszłości, co najgorsze, zgodnie z formułą klasyka, powtarzanej jako farsa. Samo hasło cyklu, „Przyszłość jest tutaj”, to recykling „Wyberzmy przyszłość” Kwaśniewskiego, podobnie jak w kontekście „kredytów mieszkaniowych 0 proc.” i „600 zł do czynszu” pobrzmiwają jego obietnica mieszkań na wiosnę. Tusk usiłował też zrewitalizować swoją retorykę „miłości”, która dała mu sukces w roku 2007, ale wezwanie, by „skończyć z nienawiścią” po ekscesach „opozycji ulicznej”, brzmi groteskowo, zwłaszcza wygłoszone na jednym oddechu z komplementami dla obecnego na sali Stefana Niesiołowskiego, który nawet elektoratowi lewicowo-liberalnemu kojarzy się najobrzydliwiej. Na dodatek chwilę po tym wezwaniu pokazał Tusk posuniętą poza granice absurdu agresję, nazywając Daniela Obajtka „oligarchą Putina”.

Czy ten recykling może coś Tusku dać? Raczej nie. Ale czy wewnątrzpartyjna opozycja jest mu w stanie poważnie zagrozić? Warszawska szopka pokazała, że też nie. Za silny, by odejść, za słaby, by poprawić do zwycięstwa – dla PiS przeciwnik idealny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Fake news o „strefach wolnych od LGBT” pomógł Bartoszewi Staszewskiemu (na pierwszym planie) w uzyskaniu rozgłosu
FOT. OMAR MARQUES/GETTY IMAGES

Wszystkie ściemy „Barta”



Zuzanna Dąbrowska

Znany dotychczas przede wszystkim z przedstawiania fałszywego obrazu Polski na świecie aktywista Bartosz Staszewski przypomniał o sobie przy okazji wizyty prezydenta USA w Warszawie. Kim jest i co chce osiągnąć „Bart”?

Być może wiele osób zaskoczyło to, że jednym z gości obecnych na trybunie dla VIP-ów podczas przemówienia prezydenta Joe Bidena w Arkadach Kubickiego był aktywista LGBT Bart Staszewski (właśc. Bartosz Staszewski). Fotografował się z politykami, m.in. z szefem PO Donaldem Tuskiem, a także miał dostęp do strefy zamkniętej dla mediów i zwykłych ludzi wewnątrz Arkad. Przez nikogo nieniekłopotowany chodził między przedstawicielami świata polityki, robiąc im zdjęcia i udostępniając w mediach społecznościowych z komentarzem – jeśli byli to działacze

PiS, to komentarz był prześmiewczy, jeśli zaś opozycji, jak wspomniany wcześniej Tusk, to Staszewski nie krył zachwyty.

„Ambasador Brzezinski zaprosił wszystkich Polaków na przemówienie Prezydenta Bidena. Wielu z nich, którzy pojawili się wcześniej, mogło być bardzo blisko Prezydenta i blisko innych dygnitarzy” – w ten sposób ambasada USA w Warszawie odpowiedziała na cztery pytania „Do Rzeczy” dotyczące obecności oraz materiałów rozpowszechnianych w Internecie przez aktywistę w związku z wystąpieniem Bidena. Stanowisko to jest mocno mylące, ponieważ o ile jest

prawdą, że każdy mógł poprzez ambasadę USA wysłać zgłoszenie i na żywo wysłuchać wystąpienia, o tyle zdecydowanie nie każdy miał dostęp do strefy, w której znalazł się Staszewski. Obok obecnych i byłych polityków znalazły się tam także osoby, które otrzymały osobiste zaproszenie od ambasadora. Wiadomo, że takie zaproszenie dostali m.in. eksdziennikarka TVN Kinga Rusin oraz właśnie Staszewski. – To oczywiste, że nie zaproszono osób przypadkowych i nie każdy miał szansę być tak blisko centrum wydarzeń. O ile wiadomo było, których polityków trzeba zaprosić, o tyle co do elementu „obywatelskiego” wybrano tych, którzy charakteryzują się wrogim stosunkiem wobec obecnych władz RP – mówi „Do Rzeczy” osoba znająca kulisy sprawy. Należy odnotować, że organizatorem wystąpienia Bidena w ogrodach Zamku Królewskiego nie były Kancelaria Prezydenta Andrzeja Dudy ani władze samorządowe, ale właśnie amerykańska ambasada.

NA SPECJALNE ZAPROSZENIE

Dzięki temu, że znalazł się wśród VIP-ów (o tym, dlaczego tak się stało, za chwilę), „Bart” mógł zrealizować krótkie nagranie z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim w roli głównej. Video rozeszło się po sieci w tempie błyskawicy. Widać na nim, jak Kaczyński po przemówieniu prezydenta USA zbliża się do – według Staszewskiego – byłego premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego i mówi: „Nic nie powiedział”. Tak przynajmniej twierdzi aktywista. „Odrealniony Kaczyński wyszedł ze swojej willi na Żoliborzu i stwierdził, zwracając się do Premiera Bieleckiego, że Biden »nic nie powiedział«. Mówisz to Ty Kaczyński?? A co Ty zrobiłeś dla Polski? Zniszczyłeś, podzieliłeś ludzi, wszędzie Twój nienaznaczony nominanci. Co za wstyd...” – napisał Staszewski.

Największe portale internetowe przyjęły to na wiarę, publikując artykuły wprost stwierdzające, że prezes PiS tak właśnie powiedział. Radosław Fogiel z partii rządzącej przekonywał, że Kaczyński żartował. Tymczasem pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP Stanisław Żaryn przekonywał, że Staszewski rozpowszechnił fake newsa. „Zaproszony na przemówienie prezydenta USA znany w PL prowokator przypisuje słowa J. Kaczyńskiemu, któ-

rych on nie powiedział, i nadaje im fałszywą interpretację. W ten sposób próbuje: destabilizować relacje PL-USA, atakować politycznie J. Kaczyńskiego, polaryzować społeczeństwo w Polsce” – przekonuje minister Żaryn. Do tego, jak było, prawdopodobnie nie dojdziemy, podobnie jak nie uda się już ustalić, czy Tusk rozmawiał z Bidenem minutę czy pięć minut. To jednak nie ma większego znaczenia.

Czas wrócić do odpowiedzi na pytanie, jak Bartosz Staszewski mógł być tak blisko Joe Bidena. Nie jest to zasługa tego, że po prostu zajął dobre miejsce. Specjalne zaproszenie otrzymał najprawdopodobniej w związku z tym, że w 2020 r. aktywista został włączony do programu „Liderzy” fundacji Baracka Obamy. „Program identyfikuje wschodzących liderów pracujących w rządzie, w organizacjach pozarządowych i w sektorze prywatnym, angażujących się na rzecz dobra wspólnego. Ma na celu zbudowanie innowacyjnych i etycznych kreatorów zmian w swoich społecznościach, chcących je napędzać, jednocześnie rozwijając się i wspierając siebie nawzajem” – czytamy w opisie tej inicjatywy. Powód? Zaangażowanie w organizację marszów równości w Polsce. Według NGO’s założonego przez byłego prezydenta USA aktywność urodzonego w 1990 r. Staszewskiego prowadzi do stworzenia „bezpiecznej przestrzeni do działania na rzecz zmian”.

Jako jedno z dokonani aktywisty wskazano dokumentowanie rzekomo funkcjonujących w Polsce „stref wolnych od LGBT”. Docenienie przez The Obama Foundation z pewnością pomogło Staszewskiemu w uzyskaniu rozgłosu. Jeszcze w 2020 r. został umieszczony przez magazyn „Bloomberg Businessweek” na liście „Ones to Watch” 2020. W 2021 r. „Time” wpisał go na listę „100 Next”. To zestawienie osób, które będą miały wpływ na kształtowanie przyszłości. Staszewskiego określono jako „symbol oporu” wobec „narastających ataków prawicowych liderów na prawa osób LGBT w Polsce”.

CHŁOPAK OD TABLICZEK

Staszewski urodził się w 1990 r. w szwedzkim Malmö w rodzinie polskich emigrantów. Gdy miał kilka lat, rodzina wróciła do Lublina. Już jako dorosły przeprowadził się do Warszawy. Aktywista

jest współzałożycielem organizacji Miłość Nie Wyklucza. Szerszą rozpoznawalność przyniósł mu dokument „Artykuł osiemnasty”, pokazujący walkę środowiska LGBT o wprowadzanie w Polsce związków partnerskich. Przedstawia się jako „niezależny aktywista LGBT+”, który działa przede wszystkim dzięki wpłatom sympatyków.

Prawdziwą (nie)sławę Bartoszowi Staszewskiemu przyniosła akcja, za którą tak bardzo docenił go „Time”. W lutym 2019 r. prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podpisał deklarację LGBT+. W odpowiedzi w marcu ogłoszono projekt Samorządowej Karty Praw Rodzin, przygotowany z udziałem Instytutu Ordo Iuris oraz innych prorodzinnych organizacji społecznych. Dokument ten stanowił pozytywną propozycję promowania i wdrażania na poziomie samorządowym konstytucyjnej zasady ochrony rodziny i małżeństwa. W latach 2019–2021 przyjęło go aż 40 polskich samorządów. Radni 50 samorządów poszli inną drogą, przyjmując niewiążące prawnie deklaracje sprzeciwu wobec „ideologii LGBT”. W Parlamencie Europejskim zaprezentowano mapę zatytułowaną „Atlas nienawiści”. Oznaczono na niej wszystkie polskie samorządy, które przyjęły prorodzinne uchwały, niezależnie od ich rodzaju.

Wtedy to ukuto nieprawdziwe określenie „strefa wolna od LGBT”. Słowo „strefa” nie pada w żadnej z uchwalonych deklaracji. To jednak nie przeszkodziło „Bartowi” w umieszczaniu kłamliwych tabliczek pod nazwami miejscowości, w których przyjęto nieprawomyślne dokumenty. Zdjęcia zyskały własne życie, a w świat poszła wieść, że nad Wisłą działają strefy no-go dla osób innych niż heteroseksualne. Fake news okazał się na tyle skuteczny, że do sprawy włączyła się Komisja Europejska, która wszczęła przeciw Polsce postępowanie naruszeniowe. Zarzucono pogwałcenie wartości zawartych w art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej oraz praw podstawowych. Jednak po wielu miesiącach dialogu na linii Warszawa – Bruksela spór udało się załagodzić. „Komisja Europejska przestała badać sprawę tzw. stref wolnych od LGBT. Postępowanie naruszeniowe zostało oficjalnie zamknięte 26 stycznia” – podało w lutym OKO.press. Cel Staszewskiego został jednak osiągnięty. Co prawda, KE nie nałożyła na Polskę

kar, jednak aktywista skutecznie dorobił naszemu państwu „gębę” homofobicznego zaścianka, spychającego homoseksualistów do getta.

W tym właśnie, czyli w dorabianiu Polsce „gęby”, „Bart” jest mistrzem. W związku ze swoją akcją udzielił wywiadu m.in. stacji Al-Dżazira. Wraz z ekipą tej telewizji pojechał do kilku lubelskich miejscowości, które rzekomo były „strefami wolnymi od LGBT” (jakimś cudem Staszewski poruszał się po tym terenie zupełnie nieniepokojony). Widocznie dla aktywisty plucie na Polskę jest tak ważne, że nie przeszkodził mu fakt, iż Katar, w którym siedzibę ma Al-Dżazira, jest krajem oficjalnie wrogim homoseksualistom. Wykorzystanie arabskiej telewizji do ataku na Polskę nie przeszkodziło mu w tym, aby w 2022 r. obnosić się z bojkotem mundialu w geście sprzeciwu wobec łamania przez Katar praw człowieka.

SZUKAJĄC ZADYMY

Choć „Bart” jest jednym z najbardziej znanych lewackich aktywistów w kraju, to jego modus operandi jest zupełnie standardowy. Pojawia się tam, gdzie można zrobić zadybę, i zajmuje się tym, co akurat na czasie. Gdy cały kraj żył sterowanym z Mińska kryzysem migracyjnym na granicy polsko-białoruskiej, Staszewski wsparł Barbarę Kurdej-Szatan nazywającą funkcjonariuszy SG „mordercami”. Gdy przez ulice polskich miast przetoczyła się fala obraźliwych dla katolików wizerunków „tęczomaryjek”, „Bart” zaczął paradować z podobnymi obrazkami i jeździł na rozprawy aktywistów LGBT, którzy za obrazę uczuć religijnych stanęli przed sądem.

Teraz dołączył do ruchu „odbrązawiania” postaci św. Jana Pawła II (co jest czynione coraz bardziej natarczywie, nawet wbrew faktom, co pokazuje nagonka na kard. Sapięhę). Staszewski chętnie informuje o pozwach przeciw kolejnym osobom oraz instytucjom (na jego celowniku znaleźli się m.in. wiceminister obrony Wojciech Skurkiewicz, publicysta naszego tygodnika Rafał A. Ziemkiewicz oraz Telewizja Polska). Choć – jak twierdzi w jednym z wpisów – „każdy totalitaryzm obawia się krytyki i wolności słowa”, to sam próbuje zamknąć usta tym, którzy z owej wolności korzystają. Jest więc, zgodnie z własną definicją, totalitarystą. Tęczowym. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kto ci zabierze psa i krowę?



Problem odbierania zwierząt właścicielom jest dość złożony. Z jednej strony bowiem wciąż nie brakuje osób, które nigdy nie powinny mieć zwierzęcia, i czasem odebranie go może ratować mu życie. Z drugiej strony powoływanie stowarzyszeń, które zajmują się ochroną zwierząt, to nierzadko po prostu sposób na biznes, nie zawsze etyczny.

Zdarzają się np. takie sytuacje, jak w gospodarstwie rolnym w Pisz, gdzie krowy ratowali – po anonimowym zawiadomieniu – inspektor weterynarii, policja i organizacje pozarządowe. Zabrano wówczas 44 krowy i kilka cieląt, które m.in. brodziły w odchodach sięgających im nawet po szyję. Jak potem ustaliła prokuratura, zwierzęta trzymane nie tylko bez dostępu do odpowiedniej karmy, lecz także bez stałego dostępu do wody, w warunkach, w których nie mogły odpocząć. Śledczy oskarżyli rolników – Ewę P. i jej syna Wojciecha P. – o znęcanie się nad zwierzętami ze szczególnym okrucieństwem. Ustalił, że w wyniku takiego działania ludzi padło co najmniej 46 sztuk bydła ze stada liczą-



Łukasz Zboralski

Rząd po cichu wycofuje się ze zmiany, która miała ograniczyć organizacjom społecznym możliwość interwencyjnego odbierania zwierząt

cego 90 sztuk. Rolnicy na dwa miesiące trafili nawet do tymczasowego aresztu, ich sprawa toczy się przed sądem.

Jednak i w tym przypadku ratowanie zwierząt stało się karykaturą tego, czym być powinno. I wskazywał na to – pokazując na Twitterze zdjęcia z zabierania krów z Pisz – Jacek Zarzecki, prezes Polskiego Związku Hodowców i Producentów Bydła Mięsnego. „Ratowanie zwierząt nie może być prowadzone z pogwałceniem prawa. Zwierzęta nienadające się do transportu powinny zostać uspięne, a nie wiezione setki kilometrów transportem nieprzystosowanym dla bydła wbrew opinii Inspekcji Weterynaryjnej. Z 44 w ciągu 24 godzin padło 6, a jedno zniknęło. Skandal” –

napisał. I oskarżał: „Według mnie bez dwóch zdań prokurator nie udźwignął tematu pod naporem organizacji. IW chciała zwierzęta zdolne do transportu przewieźć do gospodarstwa odległego o 20 km. Reszcie należało skrócić cierpienie. Część z nich nie wstaje i nadal cierpi. Niepotrzebna agonია, a w tle PLN-y”.

Głos zabrał również użytkownik Facebooka prowadzący profil „Pracownik Inspekcji Weterynaryjnej”. Zwrócił uwagę, że osłabioną krowę podnoszono chwytem za guzy biodrowe i ciągnięto do samochodu dostawczego. „Powinno to oburzać tak samo jak warunki, które miały zapewnić w gospodarstwie? A może powinno oburzać bardziej, bo robi to organizacja ochrony zwierząt? Ta



FOT. ADAM BESTOCK

tutowych celów była ochrona zwierząt. Zauważył jednak, że zajmują się tym także stowarzyszenia, a takich w ogóle było w 2018 r. (dane GUS) blisko 70 tys., a do tego prawie 6 tys. mniej sformalizowanych organizacji społecznych. Zatem odbieraniem zwierząt mogą zajmować się dziś dziesiątki tysięcy osób.

Zwierzę może odebrać „upoważniony przedstawiciel organizacji społecznej”. Prawo znów nie precyzuje, kto to ma być. Organizacje same więc szkolą sobie i mianują „inspektorów ds. ochrony zwierząt”. Ich wiedzy, predyspozycji itd. formalnie nikt nie bada.

OD ARDANOWSKIEGO...

Bywały i mocniejsze głosy. Jan Krzysztof Ardanowski jako minister rolnictwa opowiadał anegdotę o tym, jak jednemu z rolników organizacje pozarządowe zarzuciły głodzenie zwierząt. Tymczasem chodziło o krowy mleczne, które z natury akurat miały wygląd taki, że społecznicy ekolodzy uznali je za „zabiedzone”.

Ardanowski mówił zresztą wprost, że mamy w Polsce do czynienia z samowolką społeczników odbierających zwierzęta. – Sposoby odbierania są skandaliczne. Te zwierzęta często giną, są sprzedawane. Właściciele, nawet jeśli prawnie odyskają prawo dysponowania tym zwierzęciem, są obciążani ogromnymi kosztami. Dla wielu tych organizacji jest to po prostu znakomity interes, znakomity sposób na utrzymanie – stwierdził w kwietniu 2020 r.

Ówczesny minister parł do zmiany prawa. Chciał uporządkować prawo tak, by „pseudoobroncy zwierząt” nie mogli szkodzić hodowcom. W czerwcu 2020 r. powołał Wojciecha Kurkowskiego na pełnomocnika ds. praw zwierząt. Ostatnie sprawozdanie z jego prac zostało opublikowane w maju 2021 r. Kurkowski pisał w nim m.in., że wizytował stadninę koni oraz że „ze względu na sezon urlopowy” musiał przełożyć część spotkań na inne terminy.

Zmiany prawa, które miało uporządkować kwestię odbierania zwierząt, jakoś nie udało mu się ani przygotować, ani przeforsować.

A przecież nie tylko ministerstwo starało się o taką zmianę. Jeszcze w styczniu 2020 r. taką propozycję przedłożyła grupa posłów z Parlamentarnego Zespołu ds. Ochrony Zwierząt, Praw Właścicieli Zwierząt oraz

Rozwoju Polskiego Rolnictwa. W skrócie – według tej propozycji prawo odbioru zwierząt mogłyby mieć organizacje społeczne, jednak musiałyby najpierw zasięgać opinii powiatowego lekarza weterynarii.

... DO KOWALCZYKA

Poselski projekt nie zyskał poparcia, a Ardanowski przestał być ministrem. Potem przestał nim być także jego następca Grzegorz Puda.

Obecnie szefem Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi jest Henryk Kowalczyk. I to po jego niespodziewanej deklaracji sprawa uregulowania interwencyjnego odbioru zwierząt wróciła pod koniec ubiegłego roku. 11 grudnia w Przysusze Kowalczyk występował bowiem na spotkaniu z rolnikami obok premiera Mateusza Morawieckiego. Na Zgromadzeniu Polskiej Wsi zadeklarował: – Skończymy z odbieraniem zwierząt rolnikom przez różne organizacje, które czasem robią to tylko z chęci zysku. Takie uprawnienia będzie miała tylko Inspekcja Weterynaryjna.

Postanowiliśmy to sprawdzić. „Do Rzeczy” zapytało resort, jakie dokładnie będą regulacje, które wyeliminują z odbierania zwierząt organizacje społeczne i czy prace nad taką nowelizacją się już rozpoczęły.

„MRiRW uprzejmie informuje, że trwają prace nad przepisami precyzującymi zasady, na jakich ma się odbywać interwencyjny odbiór zwierząt, także przez organizacje społeczne, których statutowym celem działania jest ochrona zwierząt. Projekt ustawy oczekuje na wpis do Wykazu prac legislacyjnych i programowych Rady Ministrów” – odpisał nam Dariusz Mamiński, radca z wydziału prasowego resortu.

To nijak nie przystaje jednak do deklaracji ministra Kowalczyka. Z odpowiedzi wynika bowiem, że organizacje społeczne nadal będą mogły odbierać interwencyjnie zwierzęta. Dopytywaliśmy więc o ten szczegół ministerstwo, ale do zamknięcia tego numeru tygodnika odpowiedź nie nadeszła.

Wszystko wskazuje na to, że minister Kowalczyk w deklaracjach składanych rolnikom poszedł tak daleko jak minister Ardanowski, ale to, co rzeczywiście zrobi, będzie dalekie od tej obietnicy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

sama, która już raz krowy po »ratownika« wysłała do uboju?» – pytał.

ZABRAĆ MOŻE KAŻDY

Kwestię odbierania zwierząt reguluje art. 7 ust. 3 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o ochronie zwierząt. Na jego podstawie „w przypadkach niecierpiących zwłoki” – czyli gdy coś zagraża zdrowiu lub życiu zwierzęcia – można je odebrać właścicielowi. Potem zawiadomić trzeba wójta (burmistrza, prezydenta miasta).

Oprócz policjanta i strażnika gminnego może zwierzę odebrać „przedstawiciel organizacji społecznej, której statutowym działaniem jest ochrona zwierząt”. I tu pojawia się pierwszy z problemów. Nie chodzi bowiem wyłącznie o fundacje. Mogą to być także stowarzyszenia. Wystarczy, że wpiszą sobie w statucie taki cel. Ile ich dziś jest? Nikt nie wie.

Próbowała się tego dowiedzieć posłanka Dorota Niedziela trzy lata temu. W odpowiedzi na jej interpelację wice-minister rolnictwa i rozwoju wsi Ryszard Kamiński wyliczał, że resort nadzorował ok. 500 fundacji, których jednym ze sta-

Fabryka snów uwielbia opowieści o tym, jak sama jest ważna. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nie do odrzucenia



Piotr Gociek

„The Offer” to coś więcej niż opowieść o kulisach powstania „Ojca chrzestnego”. To list miłosny do Hollywood, które zerwało się z łańcucha liczykrupom

Gdyby to było łatwe, wszyscy by to robili” – mówi w finale serialu „The Offer” ówczesny szef studia Paramount Pictures, Robert Evans. Chodzi o produkowanie filmów, ciężką, niewdzięczną robotę, podczas której zawsze za wszystko odpowiadasz, lecz zwykle nikt nie jest ci za nic wdzięczny. Sprawa nie do końca rozumiana w Europie, gdzie najbardziej ceni się kino autorskie i zawsze umniejsza się rolę producentów, wychwalając za to geniusz reżysera. Podejście amerykańskie jest inne, nie bez powodu na oscarowych

galach po odbiór statuetek w kategorii „najlepszy film” wychodzą producenci.

W serialu „The Offer” (produkcja serwisu streamingowego Paramount+, która do Polski trafiła za sprawą SkyShowtime) oprócz Evansa ożywa wielka galeria barwnych postaci, które maczały palce w powstaniu filmu „Ojciec chrzestny”. Jest Francis Ford Coppola, jest Mario Puzo, są aktorzy: Marlon Brando, Al Pacino, Talia Shire. Nie we własnej postaci, bo to nie dokument, lecz opowieść fabularna, 10-odcinkowa historia wzlotów i porażek oraz nieustannego ryzyka, balansowania na krawędzi katastrofy. Jakże niewiele brakowało, by film (dziś kultowy i uważany za jeden z najlepszych w dziejach) nigdy nie powstał; jakże niewiele brakowało, by powstał w zupełnie innej formie, z inną obsadą i pod czymś innym czujnym okiem.

Wszystko to oglądamy oczami producenta. Głównego Oscara za „Ojca chrzestnego” odbierał podczas ceremonii w 1972 r. Albert S. Ruddy, postać tyleż ciekawa, co w filmowym świecie nie spodziewana. Jeszcze kilka lat wcześniej

pracował dla związanego z amerykańską armią think tanku RAND Corporation i nic nie wskazywało, że czeka go jakaś inna kariera poza biurową. W Hollywood jednak wszystko jest możliwe. Ruddy wyprodukował swój pierwszy film na zlecenie Marlona Brando seniora (ojca aktora), czego akurat serial „The Offer” nie pokazuje, a potem odniósł sukces w telewizji, dzięki serialowi komediowemu „Zuchy Hogana” („Hogan’s Heroes”, 1965–1971).

KARIERA SPRZEDAWCY SPODNI

Fabryka snów uwielbia opowieści o tym, jak sama jest ważna. O tym, jak bardzo dla naszej rozrywki poświęcają się ludzie kina, jak bardzo trudny to biznes, a także jak wielka jest magia kina. Zwykle jednak bohaterami takich historii czyni aktorów lub reżyserów (albo i piosenkarki tudzież piosenkarzy, kiedy chce podziw rozszerzyć na cały show-biznes – jak w późniejszych wersjach „Narodzin gwiazdy”). W „The Offer” koncentrujemy się na producencie, co nie dziwi, bo pomysłodawcą serialu był sam Al Ruddy, czyli jego najbardziej pozytywny bohater:

Ekipę zebrał zasnę, bo najważniejszą postacią w tworzeniu „The Offer” był Michael Tolkin, doświadczony scenarzysta i script doctor. Jego największym sukcesem był nieco zapomniany dziś, znakomity film Roberta Altmana „Gracz” („The Player”, 1992) z Timem Robbinsem w roli głównej. Akcja „Gracza”, nakręconego na podstawie powieści samego Tolkina, także rozgrywała się w światku producenckim Hollywood. Była zabawna, przerażająca, gorzka i pełna środowiskowych aluzji i żarcików.

Nie inaczej jest w „The Offer”. Oczywiście w centrum są skomplikowane losy kręcenia „Ojca chrzestnego”, ale poza tym twórcy serialu nie tracą okazji, by świetnie bawić, odtwarzając atmosferę tej krótkiej chwili w dziejach Hollywood, gdy stary system studyjny upadał, a nowy, oparty tylko na kulcie hitów takich jak „Szczęki” czy „Gwiezdne wojny”, jeszcze nie powstał. Stare wytwórnie przejmowane były przez korporacje inwestorów, którzy zwykle nie mieli pojęcia, jak kręci się ten biznes i czego właściwie oczekuje nowa publiczność (mówimy o Ameryce ery kontrkultury). Najmowani do prowadzenia wytwórni spece czasem zrywali się z korporacyjnego łańcucha, by robić rzeczy nieobliczalne, ryzykowne, a czasem niezwykle opłacalne. Tak właśnie było w Robertem Evansem, legendarnym i ekscentrycznym szefem Paramount Pictures w tych burzliwych latach. To on sprawił, że powstały takie filmy jak „Dziecko Rosemary”, „Love Story”, „Ojciec chrzestny”, „Serpico”, „Wielki Gatsby”, a potem choćby „Chinatown” czy „Maratończyk”.

Evans jest drugim, obok Ruddy’ego, najważniejszym bohaterem serialu. Grający go Matthew Goode (pamiętamy go z „The Watchmen” czy „Downton Abbey”) perfekcyjnie portretuje tę niezwykle malowniczą postać: obwoźnego sprzedawcę spodni, który po krótkim epizodzie aktorskim został zrzuceniem losu jednym z najpotężniejszych ludzi w Hollywood. O swej karierze (i jej wielu zakrętach) Evans opowiedział w autobiografii „Hazardzista z Hollywood” oraz w filmie dokumentalnym Bretta Morgena „To rola dla niego” („The Kid Stays in the Picture”, 2002). To jeden z moich ulubionych dokumentów, znam go niemal na pamięć i muszę przyznać, że Goode nie gra Evansa – on po prostu jest Evansem.

Świetny jest też Miles Teller jako Albert S. Ruddy, a oprócz nich wzrok przykuwa fenomenalna Juno Temple („Pokuta”, „Ted Lasso”) jako Bettye McCartt, pracowita, uparta, mądra i emancypująca się sekretarka Ruddy’ego. Wzruszająca i zabawna jest ukazana na ekranie relacja między rozpoczynającym wówczas dopiero wielką karierę Francisem Fordem Coppolą (Dan Fogler) a sfrustrowanym, pogrążonym w długach pisarzem Mariem Puzo (Patrick Gallo), którego wcześniejsze książki nie budziły entuzjazmu czytelników, a który dzięki powieści „Ojciec chrzestny” stał się gwiazdą światowego formatu.

Dla całkiem pokaźnej grupki współczesnych aktorów serial „The Offer” stał się okazją do zabawy w idoli młodości. Kogóż bowiem nie mamy w tej historii: Ala Pacino, Jamesa Caana, Marlona Brando, Roberta Redforda, Ali McGraw, Talię Shire, Burta Reynolda, Diane Keaton, Roberta Duvalla itd. Wszyscy zdają egzamin; nie dorównują talentem oryginałom, ale nadrabiają to entuzjazmem. Wyjątkiem (na plus) jest występ Anthony’ego Ippolito. Stosunkowo mało znany aktor otrzymał ciężkie zadanie po-drabiania młodego Ala Pacino. I wyszło mu znakomicie.

OPOWIEŚĆ O MAGII KINA

Narzekają niektórzy amerykańscy krytycy, że cała ta opowieść jest zanadto ilustracyjna, że wszyscy lśnią tu odbitym światłem. Nie zgodzę się, „The Offer” to serial bardzo dobry, o czym prócz dobrej aktorskiej roboty świadczy to, że znając mniej więcej całą historię (i wiedząc, że skończy się dobrze), i tak zagryzamy palce z nerwów, wciągając w jazdę bez trzymanki po torze przeszkód, który wydaje się nie do pokonania. Jasne, zapamiętali fani „Ojca chrzestnego” (obu wersji – powieściowej i kinowej) dowiedzieli się wcześniej niemal wszystkiego z rozmaitych dodatków dokumentalnych do edycji DVD i Blu-ray, ze wspomnień aktorów i reżyserów czy nawet ostatnio z wyczerpującej książki Marka Seale’a „Zostaw broń, weź cannoli. Kulisy powstania filmu »Ojciec Chrzestny«”. Jednak dla zdecydowanej większości wi-



**SCENARZYSTA
I PRODUCENT
WYK. MICHAEL
TOLKIN
„THE OFFER”
USA 2022**

dów oglądanie „The Offer” będzie doświadczeniem odświeżającym – to naprawdę dziełko odmienne od współczesnej rozrywkowej normy i naprawdę efekt wielkiej miłości do kina i nostalgii za lepszymi czasami w Hollywood (cóż z tego, że mocno wykalkulowanej).

Z mojej strony jedynym zastrzeżeniem jest sposób ukazania wątku mafijnego. Włoscy gangsterzy początkowo nie chcieli powstania filmu, który oficjalnie piętnowali jako ob-

rażliwy dla Włochów, a tak naprawdę za zbyt ryzykowny, bo mogący wzmocnić zainteresowanie mafią ze strony organów ścigania. Chłopcy z ferajny są tu jednak ukazani zbyt ciepło, zwłaszcza Joe Colombo, z którym w konszachty wchodził (dla dobra produkcji) Albert S. Ruddy.

Poza tym wszystkim „The Offer” jest opowieścią o czymś nieuchwytnym – o magii kina. Nikt nie wie, dlaczego raz się udaje, a raz nie. Powtórzmy: gdyby wiedzieli, każdy by to robił i każdy miałby na koncie same sukcesy. Tymczasem, mimo że przy tworzeniu filmów spotykają się wielkie talenty i niezwykle osobowości, wynik często pozostaje niewiadomą. W filmowej matematyce czasem dodajesz jeden do trzech i do dwóch, a wynik wynosi 10. Innym razem idziesz na pewniaka, dodając dziewięć, dziesięć i osiem, a wychodzi trzy. Jak to możliwe? Magia.

„Nikt z nas nie chce nakręcić złego filmu – mówił mi kiedyś w wywiadzie Rick McCallum, producent filmów »Gwiezdne wojny« z trylogii otwartej »Mrocznym widmem« – każdy ma nadzieję na coś wielkiego. A wychodzi, jak wychodzi”. Twórcom „Ojca chrzestnego” wyszło. I to jak bardzo! Ja zaś doceniając trud Alberta S. Ruddy’ego (w dodatkach do brytyjskiej edycji DVD występuje osobiście i wspomina dawne czasy), mam zarazem w sercu szczególne miejsce dla Maria Puzo. Widzicie, niesamowite historie, dziwaczne pomysły, katastrofy, sukcesy i zbiegi okoliczności, które prowadzą do powstania filmu, dzieją się także, gdy ma powstać książka. Ale nikt się o nich nigdy nie dowie, bo cały ten chaos nie opuszcza głowy pisarza. Szanujcie ich bardziej, niż czyni to przeciętny księgowy z Hollywood.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE



Diabeł w gabinecie



★★★★★
„KONSULTANT”
(„THE CONSULTANT”)
USA 2023

wyst. Christoph Waltz, Nat Wolff, Brittany O'Grady

Serial „Konsultant”, wedle nieznanej w Polsce powieści Bentleya Little’a, idzie tropami „Adwokata diabła”, „Dziecka Rosemary” i thrillerów biurowych w rodzaju „Diabeł ubiera się u Prady”. Jest to oczywiście satyra na życie korporacji (w tym przypadku kierowanej przez szefa z piekła rodem), ale dużo ciekawsze jest głębsze przesłanie. Dostajemy oto przypowieść o tym, jak łatwo ludzie poddają się złu. Dlaczego? Bo widzą tylko czubek własnego nosa.

Chęć o awansu, żądza podwyżki, marzenie o własnym gabinecie, pragnienie usłyszenia choć raz w życiu „dobra robota!” zamiast wiecznych połajanak. W pewnym sensie demoniczny i przerażający Regus Patoff, będąc szefem złym, okazuje się także szefem dobrym:

metody ma kontrowersyjne, ale za to jakie osiąga rezultaty! Nie jest więc przebiegłym kusicielem, który zastawia sidła na nasze dusze, ot po prostu pozwala ludziom być ludźmi. A ci, jak to ludzie, wpadają w pułapki zastawione przez własne żądze i kult złotego cielca.

W roli głównej mistrzowsko wypada Christoph Waltz, aktor znany najbardziej ze współpracy z Quentinem Tarantino (przyniosła mu dwa Oscary – za role w „Django” i „Bękartach wojny”). Stworzony wręcz jest do tego, by zagrać mikrogo, nijakiego biurokrata, będącego jednocześnie jedną z najbardziej przerażających postaci, jakie widziałem na ekranie w ostatniej dekadzie.

Jest tu wreszcie – i to niespodzianka większa niż zakrety fabuły – wyraźny trop chrześcijański.

Mamy scenę, w której jedna z głównych bohaterek w fantazji sennej (niczym w „Dziecku Rosemary”) dosłownie odwraca się od Jezusa, by wystrojona w czerwoną sukienkę oddać się we władanie diabła. Jej narzeczonemu, którego próbuje nakłonić do nawrócenia i od którego domaga się ślubu kościelnego, ładuje się w tym większe kłopoty, im więcej wymówek znajduje, by kościoła uniknąć. Gdy zdecyduje się na rozmowę z księdzem, będzie już za późno, zresztą nie widzimy w nim ani zrozumienia tego, co się dzieje, ani szczerej chęci pokuty i zadośćuczynienia.

Czyżby rację miał św. Augustyn, pisząc, że zło jest brakiem dobra? W „Konsultancie” trudno o postać jednoznacznie pozytywną lub działającą ze szlachetnych pobudek. A może to człowiek stworzył Patoffa? Mamy w serialu i taki trop. Tak czy inaczej wszyscy dają się uwieść szefowi z piekła i błyskotkom, które oferuje. W zamian za te błyskotki oddajemy wolność, sprzedajemy dobro, oddajemy duszę. ©



NOWE SERIALE: „ZAKŁAMANE ŻYCIE DOROSŁYCH”

Serial wedle powieści Eleny Ferrante. Neapol, lata 90. XX w., wychowana pod kłosem nastolatka zaczyna odkrywać mroczną stronę świata, w którym żyje. Jej przewodniczką okaże się wyjątkowo gruboskórna ciotka. Trochę „Gomorri”, trochę Sorrentino, a przede wszystkim

dziewięćty bildungsroman. Jedną z ciekawszych propozycji Netflix, ze znakomitą rolą Giordany Marengo jako Giovanni. ©

Piotr Gociek

• reż. Edoardo De Angelis „Zakłamanie życia dorosłych” („La vita bugiarda degli adulti”), Włochy 2023

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Martin McDonagh „Duchy Inisherin” („The Banshees of Inisherin”), Wielka Brytania/USA 2022
- reż. Rikiya Imaizumi „Mów mi Chihiro” („Call Me Chihiro”), Japonia 2023
- sezon 2 „Perry Mason”, USA 2023



Imperium we łzach

VOD
MDAGPL

Przystało bić serce geniusza. Pod wąsami nie ma już uśmiechu. Zbolała ziemia łka razem z nami. Żegnaj, nauczycielu i wodzu. Stalin umarł, niech żyje Stalin! Masówki w fabrykach i kołchozach. Megafony nastawione na cały regulator. We Lwowie mówca dziękuje zmarłemu za zjednoczenie Ukrainy. Obywatele ZSRS

wane oblicza Bieruta i Rokossowskiego. Szloch wyrывa się z kobiecych i męskich piersi. Nad czym płaczą ci ludzie? Nad swoim zmarnowanym życiem? Każdy z nich znał kogoś zabitego z rozkazu czerwonego cara. Oto syndrom sztokholmski w praktyce. Ofiary identyfikują się z katem. Najmniej zasmuceni wydają się być współnicy



★★★★★
REŻ. SIERGIEJ ŁOŻNICA
„POGRZEB STALINA”
(„VALSTYBINÉS LAIDOTUVĒS”)
LITWA/HOLANDIA
2019

łajdactw genseka: Beria, Chruszczow czy Malenkov. „Zawsze będziesz żył w naszych sercach” – mówi Mołotow, którego żonę Stalin zesłał do Kazachstanu. Minęło 70 lat, białoruski reżyser zmontował archiwalne taśmy w ponaddwugodzinną całość, lecz komentarza zaniechał. Przenieśli cierpliwość i wiedzę widzów, a to gorzej niż zbrodnia. To błąd. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „COMPANY OF HEROES 3”

Trzecia, udana część cyklu strategii osadzonej w realiach drugiej wojny światowej. W tej części teatrem działań wojennych są Italia i Afryka Północna. Na Czarnym Łądzie kierujemy działaniami Afriki Korps, bierzemy udział w bitwach pod Ga-

załą oraz o Tobruk. Pod słońcem Italii możemy stanąć po właściwej stronie. Łącznie w grze są cztery frakcje: armie amerykańska oraz brytyjska, a także Wehrmacht i wspomniana Afriki Korps. Gracze dwójki poczuć się jak w domu, ale takim po porządnym od-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MĘSKI ŚWIAT

Podalpejskie miasteczko jest w szoku. Młódka, wracająca do domu o trzeciej w nocy, zostaje zaatakowana przez zamaskowanego zwyrodnialca. Sprawa wydaje się prosta, Clara była kochliwa, „pociągali ją źli chłopcy”, więc wystarczy ich wszystkich namierzyć, by dopaść mordercę. Niestety, podejrzani mają żelazne alibi, kolejne tropy wiodą na manowce i śledczy zaczynają tracić nerwy. Najbardziej frustruje się świeżo upieczony szef dochodzeniówki z Grenoble – idealista pozujący na twardziela. Twórcy filmu postawili na realizm i feminizm. Policjantom sypie się życie rodzinne, mitrzą czas na pisanie drobiazgowych raportów i zmagania z felezną drukarką. Z ekranu pada więc sugestia, by zatrudnić w organach ścigania więcej kobiet. Są wszak bardziej wytrwałe, a poza tym łamią prawo znacznie rzadziej niż panowie. Według oficjalnych statystyk we Francji jedna piąta zabójców unika kary. Dużo to czy mało?



wyst. Bastien Bouillon, Bouli Lanners, Camille Rutherford

★★★★★
REŻ. DOMINIK MOLL
„NOC 12 PAŹDZIERNIKA”
(„LA NUIT DU 12”)
FRANCJA 2022

OSTATNI SEANS

Polacy kochali panią Thatcher, Brytyjczycy znacznie mniej. W kręgach artystycznych wręcz wypadało lżyć Żelazną Damę. Mendes nie jest wyjątkiem, na szczęście w umacnianiu czarnej legendy taczeryzmu przeszkadza mu nostalgia. Tak się bowiem składa, że na początku lat 80. wyspiarze mogli obcować z całą masą dobrych filmów. Kino Empire, w którym zatrudnieni są bohaterowie „Imperium światła”, działa na pół gwizdka, lecz wabi takimi tytułami jak „Blues Brothers”, „Cały ten zgiełk”, „Wściekły byk”, „Rydwany ognia” i „Wystarczy być”. Zdziwaczałem personelem zarządza Hilary (kolejna wybitna rola Colman), amatorka poezji balansująca na krawędzi depresji. Gdyby Mendes na tym poprzestał, wyładowałby w okolicach „Cinema Paradiso”. Diabeł jednak podkuśił go do wzięcia w obronę wykluczonych, molestowanych tudzież ofiar rasistowskiej przemocy. I cały nastrój prysł.



wyst. Olivia Colman, Michael Ward, Toby Jones

★★★★★
REŻ. SAM MENDES
„IMPERIUM ŚWIATŁA”
(„EMPIRE OF LIGHT”)
WIELKA BRYTANIA
2022

Wiesław Chełmniak



★★★★★
świeżeniu i dopasowaniu do naszych potrzeb (nareszcie aktywna pauza!).

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** strategiczna, RTS
- **Platforma:** PC, XSX, PS5
- **Producent, dystrybutor:** Relic Entertainment, Cenega S.A.

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Moskiewska trucizna

Zygmunta Krasińskiego, niegdyś wymienianego jednym tchem z Mickiewiczem i ze Słowackim, jako jednego z trzech wieszczów, długo, za długo pomniejszano, a odczytywano tak, by z „Nie-Boskiej komedii” uczynić dramat o jakiejś nieokreślonej rewolucji europejskiej, a nie o powstaniu listopadowym, o czym w istocie traktowała; z kolei „Irydion” sprowadzano do walki Greków przeciw despotycznemu Rzymowi, choć mówił on o Polsce i Rosji. Memoriały polityczne Krasińskiego w ogóle wyeliminowano z dyskursu i krytycznoliterackiego, i politycznego; w PRL wydane zostały po raz pierwszy w drugim obiegu. Teraz, w opracowaniu Andrzeja Fabianowskiego i z jego posłowiem, ukazują się w antologii tekstów tego profetycznego twórcy poświęconych Rosji. Wraz z wyborem listów, takich jak ten wysłany przez poetę z Baden w 1851 r. do Władysława Zamoyskiego. Wyznawał w nim: „... żyłem i umrę w wierze gorącej, iż samo zło z niej [z Rosji – przyp. K.M.] jedynie na Polskę spłynąć może, i to zarówno czy z niej carskiej, czy z niej ludowej! Innych albowiem stanów przypuścić dla Moskwy nie mogę: musi być albo w kształcie caratu, albo też w kształcie najwściekłego socjalizmu, najdzikszej rzeczpospolitej, jaką świat oglądał”.

W „Stanowisku Polski wśród ludów słowiańskich” pisał znów, że „wszystko, co tylko na świecie bezecnego pierwiastkowym barbarzyństwem lub przepsutą zgry-



FOT. BIBLIOTKA NARODOWA

białością, wszystko, co przez wieki cediło się przez szpary historii jako trucizna, którą świata organizm odpychał od siebie, złało się razem do żył Moskwy i napełniło je gdyby wściekłą odrzuconych od ludzkości plemion, państw, okresów i zdarzeń.

Stosunku swego do Boga nauczyła się od bizantyńskiej obłudy – stosunku swego do ludzi od mongolskiego zwierzęstwa”.

Słał memoriały do francuskiego ministra spraw zagranicznych Guizota i, w 1854 r., do cesarza Napoleona III, któremu dowodził, że „jeżeli Rosja ma przestać być plagą, gotową zawsze spaść na Kościół, na cywilizację, na świat, to jest na to jeden tylko sposób: doprowadzić ją do zupełnej niemocy. Wszelki pokój, zawarty przed tym ostatecznym rezultatem, pogorszy tylko sytuację i popchnie nieprzyjaciela do nowych i straszniejszych wysiłków”.

W memoriale wystosowanym do Piusa IX przypominał słowa wcześniejszego papieża, z początków XVII w., Pawła V, który na prośbę posła z Polski odpowiedział: „Czemu żądacie relikwii? Każda pięćdziesiąta waszej ziemi, przesiąknięta krwią bohaterów poległych jak męczennicy w boju z niewiernymi, czyż nie jest świętą relikwią?”. I konkludował: „Od owego czasu, od tej odpowiedzi, to już nie bohaterowie tylko cierpią i umierają dla prawdy: to naród cały stał się męczennikiem”.

Wołał więc: „Ojczy Świąty, zwróć na nas oko, usłysz naszą skargę!

Półtrzecia wieku temu król polski Stefan Batory na czele zwycięskiego wojska siedział na Moskwę. Jezuita Possevin, posłany przez jednego z poprzedników Waszej Świątobliwości [Grzegorza XIII – przyp. K.M.], stanął przed nim i w imieniu papieża zaklinał króla, by nie gubił tej moskiewskiej hydry. Za tę cenę car obiecał nawrócić się z całym swoim ludem. Usłuchaliśmy. Wstrzymaliśmy śmiertelny cios, zawieszony nad głową naszego najgorszego nieprzyjaciela. Cofnęliśmy się w swoje granice; przez to zgotowaliśmy swojej ojczyźnie klęski nieprzeliczone”.

A kto klękał sto lat później przed królem Janem III Sobieskim, ze łzami wołając: „Ratuj chrześcijaństwo!”, jak nie inny legat, papieża Innocentego XI; „Usłuchaliśmy znowu”. A teraz – powtarzał Krasiński – „Z głębi przepaści wołamy: zlituj się nad nami!”.

W czym imieniu przemawiał: „W imię tych pokoleń przyszłych, co się zrodzą schizmatykami i niewolnikami, zamiast narodzić się katolikami i wolnymi [...]”. Może więc i w Twoim imieniu, czytelniku?

Pisałem niedawno w tym miejscu o „Cesarskim ambasadorze”, wydanych nakładem LTW szkicach Janusza Węgiełka o Zygmuncie Krasińskim. Kończyłem tamten tekst cytatem ze sławnego „Psalmy miłości”, który pozwolę sobie przypomnieć – ku przestrodze – i obecnie:

*Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalić czarta moc,
Ten świat w gorszą wypycha noc,
Ten mądrości wiecznej bluźni. –
Choćby nie był Moskal rodem,
Ten Moskalem stał się z ducha,
Ten mongolskich natchnień słucha –
Moskwa-piekleł mu narodem. © ©*



★★★★★

ZYGMUNT
KRASIŃSKI
„ROSJA.
ANTOLOGIA”
PIW,
WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEŁ

POCZYTANKI

Polarne tajemnice

Za co właściwie płacono tę najwyższą cenę? Za poszerzanie granic wiedzy? Zbyt wielkie ambicje? Żądze sławy? Błędne przekonania? W historii zakończonych tragicznie wypraw polarnych trudno wytyczyć granice. A chyba żadna tragedia nie rozpala tak wyobraźni, jak dzieje wyprawy Johna Franklina z 1845 r., zakończonej zaginięciem bez wieści statków HMS „Erebus” i HMS „Terror”.

Michael Palin koncentruje się na losach tego pierwszego, od zwodowania, poprzez długą karierę, aż do tajemniczego końca, snując jednocześnie opowieść o ludziach, którzy nim żeglowali – od chłostanych za lenistwo marynarzy aż do elity wojskowej i naukowej. Píše świetnie. Dawna podpora „Latającego cyrku Monthy Pytona” znalazła sobie nowe życie pełne podróży i egzotyki. Palin kręci filmy dokumentalne, zwiedza odległe zakątki świata i tworzy znakomite

liwych wydarzeń, do których musiało dojść, gdy załogi zrozumiały, że nie ma powrotu, gdy jedną ze strategii przetrwania stał się kanibalizm. Palin koncentruje się na tym, co wiemy, o samym zaginięciu i akcjach ratunkowych opowiada pod koniec, nie dając się ponieść fantazji. Jego opowieść ma jednak fascynujący epilog współczesny. Przyznam, że umknęła mi wiadomość o odnalezieniu obydwu wraków – HMS „Erebus” w roku 2014, a HMS „Terror” w 2016. Czy przyczyniło się to do wyjaśnienia zagadki śmierci 129 osób? Otóż nie, dostaliśmy za to nowe zagadki.

Obydwa wraki znaleziono dużo dalej na południe niż zakładano. Jak długo trwała więc desperacka próba powrotu? Do jakich innych zakątków wrogiego pustkowia dotarły niedobitki załóg? Kto i gdzie umarł jako ostatni? Szczątki jednych odnaleziono, innych nie. A może pojedynczy uczestnicy wyprawy żyli

jeszcze długo wśród Inuitów? Co się stało z dziennikami okrętowymi? „Katastrofa na taką skalę domaga się wyjaśnienia równie wielkiego formatu” – pokpiwa Palin z tych, którzy snują najbardziej fantastyczne hipotezy. Jego tragiczna historia zaginięcia statku „Erebus” jest równie fascynująca jak najdziksze z nich. ©



★★★★★
MICHAEL PALIN
„SZALEŃSTWO W CIEMNOŚCIACH”
FILIA 2023

W filmach czy powieściach grozy rozmaici twórcy (jak Dan Simmons) fantazjowali na temat tego, czego nie wiemy – czyli strasz-

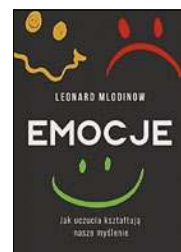
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Wspomnienia nie tylko teatralne” – głosi podtytuł, ale te teatralne jednak najciekawsze. Autobiograficzna opowieść obejmuje też pasję pedagogiczną, teatrologiczną i literacką znakomitego reżysera.



KAZIMIERZ BRAUN
„PIRAMIDA”
VOLUMEN/INSTYTUT TEATRALNY

„Jak uczucia kształtują nasze myślenie” – czyli jak odkryć nasz profil emocjonalny, jak zarządzać emocjami, skąd pochodzą uczucia i dlaczego zwykle to emocje kierują myślami.



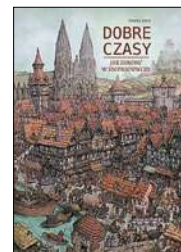
LEONARD MLODINOW
„EMOCJE”
ZYSK I S-KA

Fascynująca, obszerna opowieść – pierwsza w języku polskim – o kulturze, życiu, religii i historii archipelagu najbardziej egzotycznym z egzotycznych. Owoc badań, a także podróży autora.



DAMIAN LESZCZYŃSKI
„FIDZI. TAJEMNICE ARCHIPELAGU KANIBALI”
WYDAWNICTWO EREBUS

Bogato ilustrowany album edukacyjny o życiu codziennym przed wiekami: co uprawiano, jak tkano i barwiono ubrania, czym i z kim handlowano i tak dalej. Nowa książka współautora serii „Legendarz”



PAWEŁ ZYCH
„DOBRE CZASY. JAK ZAROBIĆ W ŚREDNIOWIECZU”
DOBRE CZASY

recenzuje Piotr Gocieł

KOMIKS TYGODNIA: „NEKTAR KAMIENIA”

W tajemniczej krainie wewnątrz kamiennego świata oprócz fantastycznych stworzeń żyją też Mankinowie, targani tymi samymi namiętnościami co zwykli ludzie: marzą o darach od bogów, szukają władzy i podejrzliwie spoglądają na obcych. Główny bohater, wychowany w dziczy, trzyma się z dala od nich, ale



HERVE LEBLAN
„NEKTAR KAMIENIA”
WYDAWNICTWO KURC 2023

miłość do napotkanej przypadkowo kobiety zmieni jego życie. Komiks to dzieło w duchu francuskiej klasyki gatunku. **Piotr Gocieł**



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Alegorie Hermana Hana

Herman Hann (1580–1628), twórca arcydzieła „Koronacja Najświętszej Marii Panny” (zdobi ołtarz bazyliki katedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Pelplinie), znany jest głównie z pełnych rozmachu dzieł sakralnych. Wystawa na Zamku Królewskim w Warszawie pokazuje

niedługo inne oblicze gdańskiego artysty cieszącego się tytułem malarza królewskiego. Zgromadzone na niej wcześniej

prace Hana, odbiegające od jego późniejszych wielkoformatowych obrazów sakralnych.

Na „Zmienność Fortuny. Alegorie Hermana Hana” składają się obrazy i rysunki o tematyce świeckiej, często alegorycznej, jak np. nowe nabytki Fundacji Teresy Sahakian: „Alegoria porządku świata”, „Alegoria bogactwa” i „Alegoria pokory”. „Wyrafinowane od strony materii malarskiej, bogate w szczegóły obrazy są nośnikami alegorycznych, propagujących cnoty obywatelskie treści. Uczą, że niekontrolowane namiętności prowadzą do rozczarowania, a odwieczny krąg pychy i wojny przełamać mogą jedynie pokora i umiarkowanie” – piszą kuratorzy. ©©

GDZIE? Zamek Królewski w Warszawie
KIEDY? do 23 kwietnia



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

FANTASTYCZNY SIUDMAK



FOT. MUZEUM GDAŃSKA

Ponad 60 dzieł Wojciecha Siudmaka – a są wśród nich rysunki, obrazy i rzeźby – można oglądać na wystawie „Siudmak Uniwersum”.

Siudmak jest malarzem, zajmuje się też rysunkiem, rzeźbą i wzornictwem. Reprodukacje jego prac zdobią książki klasyków literatury fantastyczno-naukowej, wielokrotnie wykorzystywano je jako plakaty muzyczne, filmowe czy teatralne. Siudmak jako jedyny artysta w historii aż trzykrotnie zaprojektował plakat wiodący festiwalu w Cannes. ©©

GDZIE? Gdańsk,
Ratusz Głównego Miasta
KIEDY? do 11 czerwca

NA SŁUCH

Kiedyś to były zimy



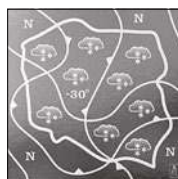
GRZEGORZ BRZozowicz

Moja zima stulecia miała miejsce w sylwestra 1978/1979. Towarzysz Edward ogłosił stan klęski żywiołowej i mieliśmy dodatkowe wakacje. Marcin Rak i Marek Pędziwiatr urodzili się osiem lat później, w styczniu. Wówczas we Wrocławiu temperatura spadła do –30 st. C.

Obaj muzycy współtworzą dwa zjawiskowe zespoły jazzowe: EABS i Błoto. Jako duet Zima Stulecia nagrali album, który jest: „Dokumentacją niewerbalnego działania bratnich dusz, a także owocem muzycznej współpracy trwającej nieprzerwanie od 16 lat”. Płyta składa się z 10 kompozycji opisujących kolejne fazy starcia z mrozem (od „Nadeszła zima” do „Śmierć przez wychłodzenie”). Ilustracyjna

muzyka oparta jest na brzmieniach syntezatorów oraz rytmach elektronicznej i żywej perkusji. Można ją opisać jako melancholijne techno, ale jazzowe myślenie jest wszechobecne. Klasyfikacje nie mają znaczenia, bo bardziej tu chodzi o charakter i brzmienia dźwięków. Dawny wrocławski mróz jest tylko pretekstem dla Panów M. do nostalgicznej podróży. Jako niemowlaki raczej nie doświadczili tamtego chłodu, za to głęboko w ich świadomości utkwiły im filmy kina akcji klasy B.

Jeśli ukradkiem wracacie do Predatorów, Terminatorów, Robocopów, Van Damme’ów i innych Stallone’ów, to warto posłuchać mroźnych opowieści o wrocławskiej zimie stulecia. ©©



★★★★★
ZIMA STULECIA
„MINUS 30°C”
ASTIGMATIC



★★★★★
CHRISTIAN MCBRIDE'S NEW JAWN
„PRIME”
BROTHER MISTER

W przeciwieństwie do innych formacji McBride’a zespół New Jawn nie gra miłego jazzu. To najbardziej awanturniczy projekt w karierze basisty. Muzycy zwracają się w stronę improwizacyjnej przyszłości.



★★★★★
ORBITAL „OPTICAL DELUSION”
LONDON

Zaczynali jako pionierzy kultury rave, tworząc porównywalną ekologiczną muzykę taneczną. „Optical Delusion” to postpandemiczna agítka o rozpadzie świata. Manifesty wyśpiewuje aż ośmioro gości. Jednak to dwa utwory instrumentalne sprawiają, że płyta warta jest uwagi. ©©

Grzegorz
Kondrasiuk

Gajewskiego gra na cześć... gry

**„Opowieść o okrutnym
zbójniku Folsztyńskim
i nieszczęsnym kacie
Holczuszcze” nadal ma się
świetnie i ogląda się ją,
jakby powstała wczoraj**

Wystrzegam się rekomendacji teatralnych w odpowiedzi na pytanie: „Na co iść?”. Z kilkoma wyjątkami. Są to spektakle, na które trzeba zapolewać, mieć nasłuch – bo albo trudno zdobyć na nie bilety, albo pojawiają się znienacka i w nieoczekiwanych miejscach. Na tej krótkiej liście znalazł się ostatnio wyjątkowy, rzadki okaz: monodram Przemysława Gajewskiego o długim, trudnym do zapamiętania i zagadkowym tytule. To „Opowieść o okrutnym zbójniku Folsztyńskim i nieszczęsnym kacie Holczuszcze”, spektakl o długiej historii, który uparcie nie chce zejść z afisza, i za to mu – oraz jego twórcy – chwała.

Jarosław Gajewski – dziś aktor Teatru Narodowego i profesor Akademii Teatralnej – tworzył „Opowieść...” kilka epok temu, jeszcze przed 1989 r. To teatralna wersja słowackiego pastiszu ludowej legendy, wieści gminnej o Holczuszcze, wiecznym opozycjonście. Jak można się domyślać, tuż po premierze (dwa miesiące przed wyborami; egzemplarz sztuki ma jeszcze pieczęć cenzury) miała mnóstwo uroku, związanego z odczytywaniem aluzyjnego języka ezopowego. Tekst Milana Zelinki jest niesłychanie dowcipny, obdzielający po równo ciepłą, życziwą ironią wszystkie powołane do życia

postaci: samego zbójnika, królów, generałów, wojsko, które nieporadnie próbuje schwytać jedynego anarchistę w państwie, wreszcie – kiedy już to się udaje – kata. Fabuła jest pełna nieprawdopodobieństw i nie kryje anachronizmów nawiązujących do realiów politycznych Czechosłowacji po Praskiej Wiośnie, pod sowieckim butem.

Ale są to nawiązania luźne, sens z łatwością się uwalnia od zobowiązania aktualności. Bo „Opowieści...” najbliższej chyba do gatunku bajki filozoficznej, gdzie istotne są uniwersalne typy i postawy. Aktor (a w przypadku

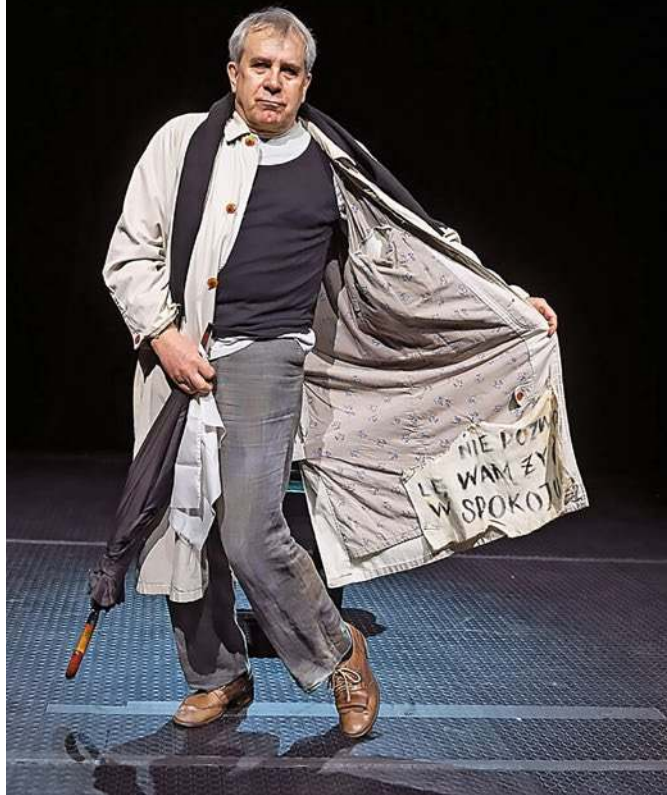
Gajewskiego można nawet rzec: arcyaktor) gra więc tutaj aktorów w teatrze życia społecznego i politycznego. Gra na cześć Buntownika, jego uniwersalnego pragnienia wolności, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Ale – ponieważ jest twórcą nieoczywistym – równocześnie mówi o czymś innym, jakby sprzecznym: o małej duszyczce Konformisty i o tym, że załadniający w znaczącej przewadze świat Konformiści też mają prawo do istnienia, a nawet do odrobiny zrozumienia.

Nie byłoby jeszcze nic nadzwyczajnego – ani w tekście, ani w przesłaniu spektaklu –

gdyby nie zastanawiający fakt. Czechosłowacja się z mapy Europy ulotniła, my jesteśmy starsi o 30 lat z okładem – a „Opowieść o okrutnym zbójniku Folsztyńskim i nieszczęsnym kacie Holczuszcze” nadal ma się świetnie i ogląda się ją, jakby powstała wczoraj. Inaczej nawet – jakby powstała dokładnie nie wiadomo kiedy... Dlaczego?

Ano pewnie dlatego, że warsztat aktorski istnieje jako fenomen obiektywny, niezależny od upływu czasu. I to jest właśnie powód, dla którego z czystym sumieniem rekomendować mogę dosłownie każdemu, niezależnie od gustu i poziomu kulturalnego zbławazowania, spotkanie z Folsztyńskim, Holczuszką i kilkunastoma jeszcze innymi postaciami wykreowanymi przez Gajewskiego w ciągu przeszło godziny. To są te niepodrabialne przyjemności, kiedy nie tylko patrzymy na aktora i śledzimy akcję. Patrzymy, jakby poprzez spektakl, aktora czy fabułę na samą grę, na jej swobodę, migotliwość, gęstość, wyrafinowanie. Gra jak wartki strumień, nie do uchwycenia: kiedy już coś się uda w nim zobaczyć, kiedy przywiążesz się do jakiegoś rozwiązania – to on już się przeobraża... Może jest to jedyny skuteczny sposób na stawianie oporu upływowi czasu. ©©

**„OPOWIEŚĆ O OKRUTNYM ZBÓJNIKU
FOLSZTYŃSKIM I NIESZCZĘSNYM
KACIE HOLCZUSZCZE”
WEDŁUG OPOWIADANIA MILANA
ZELINKI
OPRACOWANIE TEKSTU, REŻYSERIA,
OPRACOWANIE PLASTYCZNE
I MUZYCZNE ORAZ WYKONANIE:
JAROSŁAW GAJEWSKI
PREMIERA: KWIECIEŃ 1989 R.
POKAZ W RAMACH CYKLU
„MONO W INSTYTUCIE”, INSTYTUT
TEATRALNY W WARSZAWIE,
13 LUTEGO 2023 R.**



FOT. MAŁEJCZAK

TSUE orzekł w sprawie polskich lasów

W miniony czwartek Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej rozstrzygnął skargę, którą przeciwko Polsce złożyła Komisja Europejska. To pokłosie nowelizacji ustawy o lasach, która miała miejsce w 2016 r. Trybunał uznał, że organizacje „ochrony przyrody” powinny mieć prawo kwestionować przed sądem plany urządzenia lasu. Takie orzeczenie może doprowadzić do paraliżu gospodarki leśnej oraz przynieść negatywne skutki. To już kolejna próba zablokowania polskiego konkurencyjnego przemysłu drzewnego

Komisja Europejska zarzuciła Polsce naruszenie przepisów dyrektywy siedliskowej i ptasiej poprzez wprowadzenie do prawa krajowego przepisów, zgodnie z którymi „gospodarka leśna prowadzona w oparciu o dobrą praktykę nie narusza żadnych przepisów dotyczących ochrony przyrody na mocy ww. dyrektyw”. KE zarzuciła też Polsce brak możliwości zaskarżenia do sądu przez

organizacje ochrony środowiska planów urządzenia lasu. Wszystko na wniosek trzech organizacji: Fundacji Frank Bold, Pracowni na rzecz Wszystkich Istot oraz WWF Polska.

Warto dodać, że powierzchnia lasów w Polsce wynosi obecnie ponad 9 mln ha. Aż 7 mln ha zarządzają Lasy Państwowe. Tym samym jest to największa w Unii Europejskiej organizacja zarządzająca lasami należącymi do Skarbu Państwa.

Już Adam Loret, pierwszy dyrektor LP oraz wielki autorytet leśników, zwracał uwagę na to, że „znaczenie gospodarstwa leśnego nie ogranicza się jedynie do strony ekonomicznej w życiu narodu”, ponieważ „las posiada jeszcze wiele niezastąpionych dla kraju właściwości”.

BEZZASADNE ZARZUTY

Ze stanowiskiem Komisji Europejskiej nie zgadzają się jednak Lasy Państwowe, które odniosły się do wyroku w specjalnym oświadczeniu. „Pierwszy zarzut jest bezprzedmiotowy, bowiem przepisy, które wzbudziły wątpliwość ekologów, zostały uchylone rok temu, o czym Komisja Europejska była poinformowana, a obowiązujące obecnie prawo chroni przyrodę w stopniu nawet wykraczającym poza standardy unijne. Polskie prawo nie ogranicza również dostępu społeczeństwa do procedury tworzenia planów urządzenia lasu. Podczas



upadku polskiego przemysłu drzewnego” – dodają Lasy Państwowe.

GROŻNE KONSEKWENCJE

W wydanym 2 marca orzeczeniu Trybunał zbagatelizował polskie argumenty i stanął po stronie Komisji Europejskiej. To oznacza, że Polska powinna zmienić przepisy, w przeciwnym razie mogą na nią zostać nałożone kary finansowe. Tyle tylko że dostosowanie prawa, zgodnie z oczekiwaniami TSUE, mogłoby doprowadzić do katastrofalnych skutków gospodarczych. „Skarga Komisji Europejskiej, którą uwzględnił TSUE, jest kolejną próbą zablokowania polskiego konkurencyjnego przemysłu drzewnego, co może doprowadzić do jego upadku, a w efekcie do nagłego, skokowego wzrostu bezrobocia na terenach wiejskich i drastycznego wzrostu cen wyrobów drewnianych. Gospodarka leśna zapewnia setki tysięcy miejsc pracy i dostarcza 3 proc. PKB, będąc jedną z najważniejszych gałęzi całej polskiej gospodarki” – przestrzegają Lasy Państwowe.

GŁOŚNY SPRZECIW

Orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości UE odbiło się w Polsce głośnym echem. „Niemcy prawie już nie mają lasów, u nas jest ich coraz więcej. Niemiec nie może skarżyć do sądu planu urządzenia lasu, u nas chcą pozwolić pieniaczom paraliżować nadleśnictwa. Komisja Europejska znowu próbuje zniszczyć polskie leśnictwo. Nie uda im się” – punktował rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski. „Nie pozwolę, by organizacje pozarządowe zablokowały gospodarkę leśną. Będę konsekwentnie bronił dostępu do drewna dla polskiego przemysłu” – napisał na Twitterze pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa Edward Siarka. Do orzeczenia odniosła się też była premier, a obecnie europoseł PiS, Beata Szydło. „Zagraniczne organizacje domagały się w Komisji Europejskiej wpływu na polskie lasy – i TSUE właśnie przyznał im takie prawo. Warto podkreślić – tu nie chodzi o »obronę przyrody«. Tu chodzi o nadanie zagranicznym organizacjom prawa do blokowania polskich decyzji” – napisała na Twitterze.

KOLEJNY ATAK

Orzeczenie TSUE to kolejna odsłona sporu o polskie lasy, które są jednymi

z najlepszych w całej Unii Europejskiej. Polski model trwale zrównoważonej gospodarki leśnej był dotychczas wzorem dla innych państw. Opiera się on bowiem na doświadczeniach kilku generacji polskich leśników i ich stuletnim doświadczeniu, a także czerpie z najnowszych osiągnięć nauki i wdraża nowoczesne technologie. Dzięki temu polski model zarządzania terenami leśnymi równoważy potrzebę ochrony dziedzictwa przyrodniczego z potrzebami gospodarczymi i społecznymi. Niestety, coraz bardziej to przeszkadza.

Przypomnijmy, że w Parlamencie Europejskim trwają prace nad zmianą w przepisach, która ma przenieść leśnictwo z tzw. kompetencji krajowych do tzw. kompetencji dzielonych. Taka zmiana byłaby sprzeczna z Traktatem Lizbońskim, ponieważ zgodnie z nim

Polskie lasy są znakomicie zarządzane. Kolejne decyzje dotyczące leśnictwa, które płyną z UE, są zagrożeniem dla przyrody i gospodarki kraju

obowiązkowych konsultacji społecznych uwzględnianych jest ponad 90 proc. uwag zgłaszanych przez lokalne społeczności, organizacje pozarządowe czy samorządy” – wskazują pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa Edward Siarka oraz Józef Kubica, Dyrektor Generalny Lasów Państwowych.

Warto dodać, że przed sądami cywilnymi w całej Polsce toczą się również postępowania dotyczące planów urządzenia lasu, co oznacza, że dostęp do sądów jest zapewniony. „W obecnym stanie prawnym skarżący muszą wiarygodnie uzasadnić swoje pozwy, wskazując, jakie realne niebezpieczeństwo dla przyrody niesie ze sobą realizacja przyjętego planu urządzenia lasu. Zmiana polskiego prawa zgodnie z wyrokiem TSUE oznaczałaby możliwość zaskarżania planów bez takiego uzasadnienia, co w praktyce doprowadziłoby do paraliżu gospodarki leśnej w całym kraju i w konsekwencji

o leśnictwie decydują wyłącznie kraje członkowskie. „Propozycje Komisji Europejskiej rozwiązań prawnych, które mają być sposobem na walkę z ociepleniem klimatu, doprowadziłyby do całkowitego załamania polskiego przemysłu drzewnego, poważnego osłabienia całej polskiej gospodarki, skokowego wzrostu cen energii i w efekcie zubożenia społeczeństwa. Propozycja przekazania Unii Europejskiej kompetencji w zakresie leśnictwa jest kolejnym elementem nieakceptowalnych przez stronę polską zmian w unijnym prawie” – podkreśliła Solidarna Polska w specjalnym stanowisku. „Lasy są polskim dziedzictwem, które musi być przekazywane w co najmniej nie pogorszonym stanie kolejnym pokoleniom. Ministerstwo Klimatu i Środowiska oraz Lasy Państwowe są strażnikami polskiej natury i nie mogą podejmować decyzji, które stanowią zagrożenie dla przyszłych pokoleń Polaków” – czytamy w oświadczeniu.



Olivier Bault

**Nie tylko Rosja ma „farmy trolli”.
Na ludzi wpływają też rządy
demokratycznych krajów.
Używają do tego Big Tech**

Co najmniej od czasu wygranej Donalda Trumpa w amerykańskich wyborach prezydenckich z 2016 r. modne stało się mówienie o rosyjskich ingerencjach w wybory na Zachodzie. To trolle Putina z tzw. farmy trolli z siedzibą w Petersburgu miały przyczynić się do wygranej amerykańskiego miliardera, a także do zwycięstwa zwolenników brexitu w Wielkiej Brytanii i wzrostu prawicy zwanej „populistyczną” w Europie.

Do tego dochodzą oskarżenia dotyczące finansowania tego typu partii politycznych przez Rosję. Miało to miejsce np. w przypadku słynnej „pożyczki rosyjskiej” w wysokości 9 mln euro udzielonej francuskiemu Frontowi Narodowemu kierowanemu przez Marine Le Pen przez First Czech-Russian Bank, które to fundusze przeznaczone były na prowadzenie kampanii wyborczej przed francuskimi wyborami regionalnymi z 2015 r.

Doniesienia o rosyjskich ingerencjach czy o groźbie takich ingerencji powtarzane są dziś przez media i polityków głównego nurtu przy okazji większości wyborów. Ubiegłoroczne wybory prezydenckie i parlamentarne we Francji czy wybory parlamentarne organizowane w połowie kadencji prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych (tzw. midterms) nie stanowiły tu wyjątku.

NIE TYLKO W ROSJI

Dużo mniej mówi się natomiast w polskich mediach o nierosyjskich ingerencjach podobnego typu, do których dochodzi w wielu krajach na świecie. Jeśli mówimy np. o „farmach trolli”, takich jak Agencja Badań Internetowych założona przez szefa Grupy Wagnera Jewgienija Prigożyna w Petersburgu, to należy pamiętać, że na podobnych zasadach działała agencja Cambridge Analytica z Wielkiej Brytanii,

Nierosyjskie ingerencje w wybory



która zasłynęła swoją pracą w mediach społecznościowych na rzecz kampanii Donalda Trumpa z 2016 r. w USA oraz na rzecz kampanii probrexitowej „Leave.EU” w Wielkiej Brytanii. Cambridge Analytica wykorzystała w tym celu wyłudzone dane dotyczące 87 mln użytkowników Facebooka. Prezes firmy, Alexander Nix, został potajemnie nagrany przez brytyjską stację telewizyjną Channel 4 News, gdy chwalił się, w jaki sposób Cambridge Analytica posługuje się prostytutkami i przygotowanymi przez siebie prowokacjami w celu skompromitowania politycznych oponentów swoich klientów. Firma ta należała do brytyjskiej grupy SCL. Jak można było przeczytać na łamach dziennika „Guardian” w 2018 r., SCL to „prywatny usługodawca, który prowadzi zarówno działalność w zakresie obrony, jak i wyborów. Jego dział obronny wykonywał zlecenia m.in. dla ministerstwa obrony Wielkiej Brytanii i Departamentu Obrony USA. Miał specjalistyczną wiedzę w dziedzinie »operacji psychologicznych«, zmieniających opinie ludzi nie poprzez perswazję, ale poprzez »dominację informacyjną«, czyli poprzez zestaw technik, które obejmują plotki, dezinformację i fałszywe wiadomości. SCL Elections wykorzystało podobny zestaw narzędzi w ponad 200 wyborach na całym świecie, głównie w nierozwiniętych demokracjach”.

ARTYKUŁY NA ZLECENIE

Innym zachodnioeuropejskim przykładem tego rodzaju „usługodawców” jest francuska firma Avisa Partners (wcześniej: iStrat). W październiku ubiegłego roku ujawniono, że masowo tworzy fałszywe profile w mediach społecznościowych, aby wpływać na opinię publiczną. Firma sama chwaliła się na swojej stronie internetowej, że jest w stanie opublikować na zlecenie aż tysiąc artykułów prasowych miesięcznie w dużych mediach. Takie, niby dziennikarskie, artykuły opracowane przez agencję Avisa Partners na zlecenie dużych firm czy nawet rządów niektórych państw afrykańskich faktycznie pojawiły się w renomowanych francuskich mediach, jak: „Le Figaro”, „Les Echos”, „L’Express”, „Agora Vox”, „Huffington Post”, „Capital” czy na blogu Médiapart funkcjonującym pod nazwą „Le Club de Médiapart”.

Kiedy sprawa wyszła na jaw, ten ostatni wiodący lewicowy portal informacyjny wyliczył w swojej części blogowej aż 634 takich artykułów.

Avisa Partners była oskarżana o manipulacje w mediach tradycyjnych i społecznościowych już w 2015 r., ale zrobiło się o niej głośno w ubiegłym roku w ramach sprawy „Uber Files”, czyli kiedy ujawnione zostały dokumenty wewnętrzne amerykańskiej korporacji Uber dotyczące agresywnej działalności lobbingsowej tejże firmy. Wtedy dowiedzieliśmy się, że Avisa Partners dopuszcza się manipulowania informacjami na dużą skalę w licznych mediach internetowych oraz na Wikipedii.

Wszystkie te firmy wyspecjalizowane w manipulowaniu informacjami zostały założone mniej więcej w tym samym czasie: brytyjski Cambridge Analytica i rosyjska Agencja Badań Internetowych – w 2013 r., francuski Avisa Partners (jeszcze pod nazwą iStrat) – w 2010 r.

**Według „Guardiana”
SCL Elections wykorzystało
m.in. dezinformację w ponad
200 wyborach
na całym świecie**

Z kolei w 2011 r. media informowały o podpisaniu przez główne dowództwo armii amerykańskiej na Bliski Wschód i Azję Centralną (Centcom) kontraktu z firmą z Kalifornii, którego przedmiotem było umożliwianie amerykańskim wojskowym tworzenia i posługiwania się fałszywymi, ale wiarygodnymi profilami internetowymi, operującymi w języku arabskim, perskim, urdu i paszto, aby wpływać na rozmowy internetowe i rozprzestrzenianie proamerykańską propagandę w ramach walki z islamskim ekstremizmem. Rzecznik Centcomu zadeklarował wówczas, że chodzi o to, „aby umożliwić Centcomowi przeciwdziałanie brutalnej propagandzie ekstremistów i wrogów poza USA”. Zapewnił jednocześnie, że ta działalność propagandowa nie będzie prowadzona w języku angielskim, ponieważ „zwracanie się do amerykańskich odbiorców” za pomocą takiej

■ technologii byłoby niezgodne z amerykańskim prawem (dlatego też rosyjska farma trolli z Petersburga jest objęta sankcjami USA już od 2018 r. w związku z ingerencją podobnego typu w amerykańskie wybory prezydenckie z 2016 r.).

Późniejsza kariera ówczesnego szefa Centcomu, gen. Davida Petraeusa, daje jednak do myślenia. W latach 2011–2012 był dyrektorem CIA. Później stanął na czele KKR Global Institute należącego do amerykańskiego funduszu inwestycyjnego KKR. Miał m.in. prowadzić negocjacje z lokalnymi politykami na temat wykupu mediów w krajach byłej Jugosławii po 2012 r. Dziś amerykański KKR jest nie tylko właścicielem największych stacji telewizyjnych i firm telekomunikacyjnych w krajach byłej Jugosławii, lecz także m.in. większościowym udziałowcem znanego w Polsce i w całej Europie koncernu medialnego Axel Springer. Przy tym wciąż zatrudnia on byłego dyrektora CIA Petraeusa, który jako szef Centcomu nadzorował utworzenie pierwszej amerykańskiej „farmy trolli”.

„TWITTER FILES”

W odróżnieniu od Rosji, która również od 2009 r. miała testować podobne sposoby rozprzestrzeniania własnej propagandy, Stany Zjednoczone mają u siebie siedziby największych światowych mediów społecznościowych, a media te wzięły na siebie, za namową rządu USA i FBI, zadanie manipulowania informacjami przed ostatnimi amerykańskimi wyborami prezydenckimi (a także w ramach walki z COVID). Taki wniosek można sformułować po lekturze dokumentów i e-maili ujawnionych przez nowego właściciela Twittera.

Opublikowane przez Elona Muska tzw. Twitter Files dotyczą m.in. cenzurowania przez media społecznościowe i media głównego nurtu – w okresie poprzedzającym ostatnie wybory prezydenckie, w których Joe Biden wygrał z urzędującym Donaldem Trumpem – sprawy kompromitujących materiałów znalezionych na laptopie Huntera Bidena, syna kandydata demokratów uwikłanego w liczne skandale korupcyjne, narkotykowe i obyczajowe. Pierwszy zestaw wewnętrznych dokumentów Twittera – ten dotyczący cenzurowania sprawy Huntera Bidena w okresie

Były pracownik Twittera Yoel Roth powiedział, że pracownicy tej firmy przed wyborami w 2020 r. mieli cotygodniowe spotkania z FBI

poprzedzającym wybory prezydenckie w 2020 r. – został wysłany przez Elona Muska do dziennikarza freelancera Matta Taibbego, który upublicznił je w wątku na Twitterze, z następującym wnioskiem dotyczącym ówczesnych metod działania mediów społecznościowych: „Niektóre ze wczesnych narzędzi kontroli słowa zostały zaprojektowane w celu zwalczania spamu i oszustw finansowych oraz innych tego typu problemów. Powoli, z czasem, pracownicy i zarząd Twittera zaczęli znajdować coraz więcej zastosowań dla tych narzędzi. Osoby z zewnątrz również zaczęły prosić firmę o manipulowanie informacjami: na początku rzadko, potem częściej, a następnie stale. W 2020 r. prośby o usunięcie tweetów były rutyną. Jeden członek zarządu pisał do drugiego: »Więcej tweetów do przeniesienia od zespołu Bidena«. Odpowiedź brzmiała: »Zrobione«”.

Taibbi napisał też o decyzji, by przemilczeć kompromitującą zawartość komputera Huntera Bidena, ujawnioną przez „New York Post” trzy tygodnie przed wyborami prezydenckimi w październiku 2020 r.: „Decyzja została podjęta na najwyższym szczeblu firmy, ale bez wiedzy CEO Jacka Dorsey’a, a kluczową rolę odegrała była szefowa działu prawnego, polityki i zaufania Vijaya Gadde”.

Posiadająca podwójne obywatelstwo, indyjskie i amerykańskie, Vijaya Gadde była jednocześnie członkiem komitetu konsultatywnego CISA w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego federalnego rządu USA. CISA to federalna agencja stworzona przez prezydenta Trumpa w celu nadzorowania kwestii związanych z cyberbezpieczeństwem i ochroną infrastruktury we współpracy z poszczególnymi stanami. Jednak, jak ujawniło śledztwo portalu Intercept pod koniec października ubiegłego roku, CISA

skupiła się bardziej na walce z szeroko (i subiektywnie) rozumianą „dezinformacją”.

Zeznający pod przysięgą przed komisją parlamentarną były szef działu bezpieczeństwa i integralności Twittera, Yoel Roth, powiedział, że pracownicy Twittera mieli cotygodniowe spotkania z FBI przed wyborami w 2020 r. „Powiedziano mi podczas tych spotkań, że społeczność wywiadowcza spodziewa się, iż osoby związane z kampaniami politycznymi będą przedmiotem ataków hakerskich i że treści uzyskane w wyniku tych ataków hakerskich prawdopodobnie zostaną rozpowszechnione na platformach mediów społecznościowych, w tym na Twitterze” – powiedział Roth w oświadczeniu z grudnia 2020 r. skierowanym do Federalnej Komisji Wyborczej. „Podczas tych spotkań dowiedziałem się również o istniejących pogłoskach, jakoby operacja hakerska i przeciekowa miałyby dotyczyć Huntera Bidena” – dodał.

W owym czasie aż 51 oficerów amerykańskiego wywiadu podpisało list opublikowany w mediach, w którym twierdzili, iż informacje na temat zawartości laptopa Huntera Bidena są rosyjską operacją dezinformacyjną. To o tyle dziwne, że źródłem przecieku był sam Hunter Biden: oddał swój komputer do zakładu naprawczego w Delaware, a następnie o nim zapomniał. Firma naprawcza zorientowała się, że porzucony komputer wydaje się zawierać materiały świadczące o popełnieniu przestępstw, i przekazała go policji. FBI miało komputer w swoich rękach od 2019 r. i musiało wiedzieć, że jego zawartość jest autentyczna, jak to później potwierdzono i co dziś uznają nawet takie media jak „New York Times” i „Washington Post” oraz CNN, NBC i CBS (te same media w 2020 r. poszły śladem Twittera oraz Facebooka i przemilczały kompromitujące informacje opublikowane przez „New York Post” lub wręcz starały się dyskredytować te doniesienia).

LULA Z POMOCĄ?

Według nowego właściciela Twittera ingerencja tego medium w wybory za pomocą cenzury mogła dotyczyć nie tylko USA, lecz także październikowych wyborów prezydenckich w Brazylii. Ubiegłoroczne wybory wygrał tam lewi-

cowiec Lula da Silva startujący przeciw odchodzącemu konserwatyście Jairowi Bolsonaro.

„Widziałem wiele niepokojących tweetów na temat ostatnich wyborów w Brazylii. Jeśli te tweety mówią prawdę, to możliwe, że personel Twittera dał preferencję lewicowym kandydatom” – napisał Elon Musk 3 grudnia. „Twitter może mieć w zespole Brazylii ludzi, którzy są mocno stronniczy politycznie” – tweetował Musk 14 grudnia, na co dziennikarz prawicowej brazylijskiej „Gazety do Povo” zareagował z nieukrywaną satysfakcją, pisząc: „Nie mogę się powstrzymać od wyznania osobistej satysfakcji z bycia świadkiem zdjęcia tego dywanu, który ledwo przykrywał nagromadzone pod nim brudy politycznej stronniczości i dyktatorskich zapędów operatorów Big Tech. Osobistej satysfakcji, gdyż jako autor pionierskiego artykułu (bez fałszywej skromności) na temat składu ideologicznego i celów politycznych sojuszu tworzonego przez media społecznościowe i tzw. agencje fact-checkingowe (a w przypadku Brazylii także przez agentów państwowych), byłem wielokrotnie oskarżany o bycie zwolennikiem »teorii spiskowych«”.

Według doniesień „Washington Post” Elon Musk miał zwolnić większość pracowników brazylijskiego oddziału Twittera krótko po wygranej Luli da Silvy.

A skoro we wstępie do niniejszego tekstu była mowa o pożyczce rosyjskiej z 2014 r. dla partii Marine Le Pen, to warto chyba wspomnieć o hojnych dotacjach amerykańskich dla koalicji partii opozycyjnych na Węgrzech przed ubiegłorocznymi wyborami. Sam kandydat na premiera zjednoczonej opozycji, Péter Márki-Zay, mówił o tej pomocy amerykańskiej po raz pierwszy latem ubiegłego roku. Fundusze zostały przekazane przez amerykańską organizację Action for Democracy, która jest powiązana z organizacją National Endowment for Democracy. Ta z kolei jest uważana przez wielu za przykrywkę dla działań CIA. Choć Márki-Zay przyznał się w sierpniu „tylko” do trochę ponad 4 mln euro amerykańskiej pomocy, to w listopadzie węgierski parlament opublikował raport narodowego centrum informacji (Nemzeti Információs Központ, NIK), gdzie kwoty owej pomo-

cy zostały wyliczone na ogólną sumę 7,2 mln euro.

NIE TYLKO MOCARSTWA

Ingerencje w procesy wyborcze w innych krajach nie są wyłączną domeną wielkich mocarstw. Organizacja dziennikarska Forbidden Stories, mająca siedzibę w Paryżu, opublikowała raport ze śledztwa na temat działalności izraelskiej firmy Team Jorge. W prowadzeniu śledztwa i opracowaniu raportu uczestniczyło ok. 30 mediów zachodnich, w tym brytyjski „Guardian”, francuskie „Le Monde” i Radio France, niemiecki „Der Spiegel”, hiszpański „El País”, amerykański „Washington Post” oraz izraelski „Haaretz”. Media te zorganizowały wspólnie prowokację dziennikarską, w której trzech reporterów udawało przedstawicieli bogatego klienta, pragnącego doprowadzić do przełożenia na czas nieokreślony nadchodzących wyborów w pewnym afrykańskim kraju.

„Hakerstwo, wymuszenia, ingerencja w wybory: oto narzędzia używane przez

Izraelska firma Team Jorge miała interweniować

w 33 wyborach na świecie, głównie w Afryce

izraelskich agentów chaosu i manipulacji” – tak brzmiał tytuł artykułu opublikowanego 15 lutego przez „Haaretz” z wymownym podtytułem: „Ujawniamy: cyberbroń, którą kluczowa izraelska firma oferuje swoim klientom w celu skorumpowania demokracji na całym świecie”. W tekście szczegółowo opisano przebieg dziennikarskiego śledztwa i sposób funkcjonowania izraelskiej firmy pod szyldem Team Jorge, w której działają byli (?) członkowie izraelskich służb i która – jak można przeczytać w raporcie udostępnionym na stronie organizacji Forbidden Stories – współpracowała w przeszłości z brytyjską firmą Cambridge Analytica.

Izraelski „Haaretz” tak komentuje ustalenia raportu: „Raport ujawnia niebezpieczną mieszaninę technologii i kompetencji, które oferuje [Team

Jorge]. Łączy ona w jedno świat aktywnych działań wywiadowczych i wojny psychologicznej. Obejmuje hakerstwo na zlecenie, cyfrowe szpiegostwo i inwigilację, nigdy wcześniej niewidziane technologie do masowego tworzenia i rozpowszechniania fałszywych kont, a także narzędzia do manipulacji mediami społecznymi i rozpowszechniania dezinformacji on-line”.

W artykule opisano także nielegalne działania proponowane klientom izraelskiej firmy, dotyczące kompromitowania oponentów politycznych: „Team Jorge twierdzi, że może włamać się do ich e-maili i aplikacji do przesyłania wiadomości, takich jak Telegram – obie są skarbnicami cennych informacji. Na późniejszym etapie można nimi manipulować, a zhakowane materiały mogą nawet wyciek lub zostać sfałszowane”.

W wyniku dziennikarskiego śledztwa na temat Team Jorge francuski kanał informacyjny BFM TV zwolnił wieloletniego francusko-marokańskiego prezentera, który, jak się okazało, puszczał na antenie materiały na zlecenie pośredników izraelskiej firmy, działając bez zgody redakcji. Materiały te mogły zostać zamówione przez państwa takie jak Maroko, Katar, Kamerun czy Sudan, a także przez rosyjskich oligarchów.

Izraelska firma miała interweniować w 33 wyborach na świecie, głównie w Afryce. Była to najprawdopodobniej firma, o której mowa w artykule „Guardiana” z 2018 r. pt. „Cambridge Analytica’s ruthless bid to sway the vote in Nigeria”. W tekście tym opisano działalność Cambridge Analytica, która miała mieć wpływ na wynik wyborów w Nigerii w 2015 r. i zapewnić wygraną urzędującemu prezydentowi. Byli pracownicy Cambridge Analytica, do których dotarł „Guardian”, mówili o obecności Izraelczyków i Francuzów, których wzięli za członków wywiadu. Mówili też, że te same metody opracowane i wypróbowane w słabszych, mniej rozwiniętych demokracjach zostały później wykorzystywane w wyborach na Zachodzie. „Zachód znalazł sposób na rozpowszechnianie dezinformacji w słabych i podatnych na nią demokracjach – powiedział jeden z nich w 2018 r. – a teraz strumień ten został skierowany [także] na nas”.



Lech Mażewski

Święty Łukasz podaje, że władca państwa, posiadającego dwukrotnie mniejszą armię, powinien mocno się zastanowić nad możliwością skutecznego stawiania oporu

W Ewangelii św. Mateusza zawarte jest znane pouczenie Pana Jezusa: „A Ja wam powiadam: nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstęp i płaszcz” (Mt 5, 39–40). W Ewangelii św. Łukasza czytamy jednak: „Albo który król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stawić czoło temu, który z dwudziestu tysiącami nadciąga przeciwko niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju” (Łk 14, 31–32).

U św. Łukasza rada unikania przemocy w rozwiązywaniu konfliktu między państwami wynika z zupełnie innych przesłanek niż radykalnie rozumiane przykazanie: „Nie zabijaj”

Rada Jezusa przekazana przez św. Mateusza jest jedną z podstaw chrześcijańskiego pacyfizmu, który głosi odrzucenie wszelkiej przemocy w rozwiązywaniu konfliktów, w miejsce czego powinniśmy oprzeć się na wskazaniach zawartych w Biblii, a przede wszystkim w Nowym Testamencie. Natomiast u św. Łukasza nie ma już mowy o nadstawieniu nawet jednego policzka, a rada unikania przemocy w rozwiązywaniu konfliktu między państwami wynika z zupełnie innych

Czy Jezus był wyznawcą etyki odpowiedzialności?



FOT. MUSEO DEL CROCO/WIKIPEDIA

przesłanek niż radykalnie rozumiane przykazanie: „Nie zabijaj”. Nie ma tu też wezwania do prowadzenia wojny sprawiedliwej, której przesłanki na gruncie chrześcijaństwa zostały sformułowane przez św. Augustyna u schyłku antyku, a ostatecznie skodyfikowane przez św. Tomasza w szczytowym okresie średniowiecza. Wojna sprawiedliwa to starcie zbrojne toczące przez legitymowaną władzę w słusznej sprawie z pobudek moralnych w imię zachowania bądź przywrócenia pokoju. Nie ma tu zatem pacyfistycznych skrajności charakterystycznych dla wczesnego chrześcijaństwa. Wcześni myśliciele chrześcijańscy, zwłaszcza Orygenes i Tertulian, sprzeciwiali się udziałowi wiernych w wojnie, w walce zbrojnej widząc przejaw zła.

W analizowanym fragmencie Ewangelii św. Łukasza nie ma wymienionych przesłanek składających się na pojęcie wojny sprawiedliwej, może poza działaniami podejmowanymi przez legitymowaną władzę. Zapewne chodziłoby tu o działania obronne, będące odpowiedzią na militarną agresję, acz nie jest to pewne, nie mówi się o tym wprost. Czy jednak taka wojna byłaby do wygrania? Czy szansa na zwycięstwo militarne miałaby realny charakter? To jest głównym przedmiotem zainteresowania Jezusa. Przewaga przeciwnika nie jest aż tak dojmująca: to jedynie dwa do jednego, a obecnie przyjmuje się, że powinna ona wynosić trzy lub nawet cztery do jednego na korzyść atakującego. A jednak św. Łukasz podaje, że władca państwa, posiadającego dwukrotnie mniejszą armię, powinien mocno się zastanowić nad możliwością skutecznego stawiania oporu. Czyżby Jezus występował jako wyznawca etyki odpowiedzialności, ograniczając wymagania wynikające z etyki przekonań jedynie do stosunków międzyludzkich?

DWA ŚWIATY

Bodajże jako pierwszy to Niccolò Machiavelli w „Księciu” zwrócił uwagę, że istnieją dwa światy: świat osobistej moralności jednostek i świat politycznej organizacji, oparte na funkcjonowaniu dwóch różnych kodeksów etycznych. Myśl o istnieniu dwóch rodzajów etyki rozwinął Max Weber w znanym esej „Polityka jako zawód”. Jego zdaniem polityk powinien kierować się etyką odpowiedzialności,

a nie etyką przekonań. Działać zgodnie z zasadami etyki odpowiedzialności oznacza, że wyżej cenimy sobie skutki działań niż wartości, które leżą u ich podłoża. Inaczej jest w przypadku etyki przekonań. Tu ważne są przede wszystkim intencje i wartości, których się broni. A jeśli skutki są złe, to odpowiedzialnością często obarcza się innych. Weber uważa, że w polityce ten sposób myślenia i działania jest niedopuszczalny, ponieważ prowadzi do katastrofy. W sumie byłoby to też działanie niemoralne.

Zgoda na ustępstwa, jeśli nie ma innego sposobu uratowania własnego państwa przed groźbą spustoszenia, nie jest niczym uwłaczającym, a może być wręcz korzystna

Myśl Machiavellego i Webera o istnieniu dwóch etyk uświadamia nam, że wedle innych kryteriów powinniśmy oceniać zachowania ludzi w roli obywateli, żołnierzy, naczelnego wodza i władcy. Od tych pierwszych wymagać powinniśmy przede wszystkim pracy dla dobra ojczyzny, od drugich poświęcenia, dyscypliny i gotowości złożenia ofiary z własnego życia na polu bitwy. Obowiązkiem trzeciego jest zapewnienie żołnierzowi dobrego dowodzenia w trakcie staczanych przezeń wojen. Wreszcie ostatni, kierując się interesem własnego państwa, bez oglądania się na cokolwiek innego, podejmuje decyzję, czy należy w ogóle toczyć wojnę, a może raczej korzystać z możliwości, jakie daje istnienie własnego państwa i dążyć do zawarcia pokoju, zanim jego państwo zostanie spustoszone wojną – nawet gdyby spełniała ona wymogi wojny sprawiedliwej.

Z pewnością takie stanowisko byłoby zgodne z radą Pana Jezusa przekazaną nam w Ewangelii św. Łukasza, będąc wyrazem triumfu etyki odpowiedzialności nad wymaganiami zawartymi w etyce przekonań. Świadczyć o tym może jeszcze inny fragment tego samego rozdziału: „Bo któż z was, chcąc zbudować wieżę, nie usiadzie

wpierw i nie oblicza wydatków, czy ma na wykończenie? Inaczej, gdyby założył fundament, a nie zdołałby wykończyć, wszyscy, patrząc na to, zaczęliby drwić z niego: »Ten człowiek zaczął budować, a nie zdołał wykończyć« (Łk 14, 28–30). Szczególnie ta drwina może dotyczyć kogoś, kto w życiu publicznym sprzeniewierzy się wymaganiom etyki odpowiedzialności.

Musimy mieć świadomość, że realizacja ewangelicznej rady mogłaby być okupiona ograniczeniem zakresu niepodległości państwa. Jednak niepodległość odnosi się do stanu faktycznego, w jakim znajduje się państwo, a więc nie ma ona charakteru bezwzględnego – jak suwerenność, będąca pojęciem prawnym – a stopniowalny. Stąd po wzmocnieniu własnych sił albo w lepszej koniunkturze międzynarodowej istniałaby przecież możliwość powiększenia zakresu posiadanej przez państwo niepodległości.

KTO ODPOWIADA ZA KLĘSKĘ

Jezus, co prawda, tego wyraźnie nie mówi, ale można zaryzykować twierdzenie, że jeśli skutkiem działań władcy jest militarna czy polityczna klęska, to nie wolno za nią odpowiedzialnością obciążać innych. Odpowiedzialność ponosi ten, kto podejmował decyzję. Nie jest również wy tłumaczeniem, że ktoś chciał dobrze, walczył w obronie własnego państwa, a mimo to zostało ono obrócone w perzynę przez najazd obcych wojsk. Mógł przecież ten władca skorzystać z ewangelicznej rady i po koniecznym zastanowieniu się wyprawić poselstwo, gdy niebezpieczeństwo było jeszcze daleko, i prosić o warunki pokoju.

Zgoda na konieczne ustępstwa, jeśli nie ma innego sposobu uratowania własnego państwa przed groźbą spustoszenia, nie jest przecież niczym uwłaczającym, a może być wręcz korzystna w perspektywie przyszłości. W tym kontekście teologia moralna mówi o roztropności zarządzania: prudentia gubernativa, bo największą cnotą nie jest męstwo, ale miłość, a po niej właśnie roztropność i rozważa. A instrumentem tej roztropnej rozważa może być wyprawienie poselstwa, inaczej: podjęcie rozmów, o czym klarownie pouczał Jezus.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, ustrojoznawcą. Ostatnio opublikował książki „Powstanczy szantaz i polityka odwetu” oraz „Polska jako junior partner?”

Problemem realistów jest to, że aby zacząć patrzeć na rzeczywistość międzynarodową zgodnie z zaleceniami Hansa Morgenthaua, Kennetha Waltza czy Henry'ego Kissingera, trzeba nauczyć się odrzucać naturalne dla każdego człowieka sentymenty i emocje. Większość ludzi ma zaś naturalną skłonność do prostego przekładania kryteriów i odczuć z codziennego życia na sprawy zagraniczne – co jest ogromnym i zasadniczym błędem, ale też sprawia, że realiści bardzo często pozostają głosem wołającego na pustyni.

Ludzie uznają na przykład, że sytuacja, gdy przychodzimy z pomocą komuś bitemu na ulicy, jest identyczna z sytuacją, gdy państwo ma pomagać innemu państwu w razie napaści. Różnica jest tylko w skali. Albo że tak jak może się kochać lub przyjaźnić dwoje ludzi, tak samo mogą się kochać dwa państwa, a ich przywódcy – przyjaźnić, ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami.

Człowiek ma także naturalną skłonność do absolutyzowania kryteriów etycznych, które przyjmuje na co dzień, uważa zatem, że na dokładnie takiej samej zasadzie obowiązują one w relacjach między państwami. To znaczy, że ktoś tam jest bezwzględnie „dobry”, a ktoś jest bezwzględnie „zły”. Ludziom umyka stara i celna maksyma, że historię piszą zwycięzcy, której głębszym sensem jest i to, że to zwycięzcy post factum decydują, kto był „dobry”, a kto „zły”. (Aby pojąć tę zasadę lepiej, polecam przeczytać choćby „Człowieka z wysokiego zamku” Philipa K. Dicka). Tymi kategoriami posługuje się bardzo często państwowa propaganda w trakcie konfliktów, właśnie po to, żeby dotrzeć do zwykłych ludzi, którzy potrzebują jasnych wytycznych.

Sięgnijmy tymczasem do wydanego w 1948 r. fundamentalnego dla realizmu politycznego dzieła Hansa Morgenthaua „O polityce między narodami”. Czytamy tam:

„Realizm polityczny odmawia uitożsamiania moralnych aspiracji konkretnego narodu z uniwersalnymi prawami, które rządzą wszechświatem. Czyni rozróżnienie między prawdą i opinią, podobnie jak między prawdą i bałwochwalstwem. Wszystkie narody są wystawiane na pokusę – a niewiele umiało długo się jej opierać – by używać moralnych celów wszechświata jako przykrywkę dla swoich partyku-

Trzeba nauczyć się odrzucać emocje



Łukasz Warzecha

Ludziom umyka stara i celna maksyma, że historię piszą zwycięzcy, której głębszym sensem jest i to, że to zwycięzcy post factum decydują, kto był „dobry”, a kto „zły”

larnych aspiracji i działań. Wiedzieć, że narody są poddane prawu moralnemu to jedno, ale twierdzić, że posiada się pewność, co jest dobre, a co złe w stosunkach między narodami, to zupełnie inna kwestia. **Istnieje niezmierzona przepaść między wiarą w to, że wszystkie narody podlegają boskiemu osądowi, nieprze-niknionemu dla ludzkiego umysłu, a bluźnierczym przekonaniem, że Bóg jest zawsze po czyjejś stronie i że tego, czego my chcemy, chce też Bóg.**

[...] Z drugiej strony, to właśnie koncepcja interesu zdefiniowanego w kategorii potęgi chroni nas od moralnej przesady i politycznej głupoty. Jeśli uznajemy wszystkie państwa, łącznie z naszym własnym, za jednostki polityczne realizujące własne interesy zdefiniowane w kategoriach potęgi, jesteśmy w stanie oddać im sprawiedliwość. Co więcej, jesteśmy w stanie oddać im tę sprawiedliwość w dwojakim sensie. Możemy oceniać inne państwa, tak jak oceniamy własne państwo, a następnie możemy realizować politykę, która respektuje interesy innych państw, służąc zarazem ochronie i realizacji naszych własnych interesów. Umiarkowanie w polityce musi odzwierciedlać umiarkowanie w osądach moralnych” [podkr. – Ł.W.].

POLITYKA A JEJ OCENA ETYCZNA

W swojej polemice z moim tekstem o polityce Węgier wobec wojny na Ukrainie Małgorzata Wołczyk („Do Rzeczy”

nr 9/2023) popełniła w zasadzie wszystkie błędy osoby podchodzącej do relacji międzynarodowych z naturalną emocją zamiast jak do gry na wielkiej szachownicy. Te błędy są wybacalne u zwykłego Kowalskiego, problematyczne u publicysty, który ma ambicję komentować sprawy międzynarodowe, a kompletnie nieakceptowalne u polityka, który odpowiada za państwo.

W swoim tekście Wołczyk stawia tezę, że politykom należy ufać, a nie ich krytykować, ponieważ posiadają tajemną wiedzę o „rachunku geostrategicznym” nam niedostępną – i tak ma być właśnie w przypadku wojny na Ukrainie. Zwracam uwagę, że ten sposób rozumowania oznacza uniwersalny immunitet polityków od krytyki za realizowaną przez nich międzynarodową strategię. Małgorzata Wołczyk nie jest, mówiąc najdelikatniej, fanką polityki zagranicznej, a już zwłaszcza europejskiej, rządu Donalda Tuska. Może jednak – jak sama pisze – powinna zachować „odrobinę pokory w ferowaniu potępieńczych wyroków”, bo przecież Tusk musiał mieć dostęp do „specjalistycznej wiedzy” i za jej sprawą oceniał „rachunek geostrategiczny” trafniej niż Wołczyk?

To bardzo groźny sposób myślenia. Politycy mają, owszem, dostęp do wielu niejawnych informacji, ale to wszystko poziom szczegółowy. Ogólny kierunek i rezultaty ich polityki nie są żadną tajemnicą i „specjalistyczna wiedza” nie jest potrzebna, żeby je oceniać. Natomiast nie tylko prawem, lecz także obowiązkiem publicz-

stów i dziennikarzy jest nie ufać – sprawdzać, analizować i szukać dziury w całym.

W swojej polemice moja redakcyjna koleżanka myli dwie kwestie: opis polityki Viktora Orbána z jej oceną etyczną. I miesza je nieodmiennie. „Droga Orbána musi zostać napiętnowana” – pisze Wołczyk – ponieważ jeden Węgier powiedział jej, że Węgrzy na tym samym poziomie stawiają reżim rosyjski i ukraiński. Pytanie brzmi, czy jesteśmy na wiecu – gdzie faktycznie można rzucić gromy i potępiać – czy zajmujemy się analizą. A wtedy słowa o „potępieniu” polityki zagranicznej tego czy innego przywódcy są zwykłą dziecinadą.

W polskiej debacie nie odróżnia się często analizy jakiegoś postępowania i jego przyczyn od ich pochwały. To spotkało choćby Wojciecha Cejrowskiego, który wiele już miesiąc temu tłumaczył, dlaczego jego zdaniem Władimir Putin zdecydował się rozpocząć wojnę. Za te wyjaśnienia został potępiony, odwołano nawet jedno z jego spotkań. Reakcja była absurdalna, ponieważ Cejrowski zrobił to, co robi każdy sensowny analityk: starał się wczuć w sposób myślenia rosyjskiego prezydenta. To nie tylko nie jest naganne, lecz także jest pożądane, jeśli chcemy pojąć motywacje naszych przeciwników, a więc również – przewidzieć ich ruchy.

Wołczyk idzie jednak dalej, pisząc o „cynizmie Orbána”. Zdradzę mojej koleżance wielką tajemnicę: polityka zagraniczna generalnie opiera się na tym, co ona nazywa „cynizmem”. Zresztą w innym miejscu Wołczyk, chwalać polskie władze, stwierdza, że „żaden poważny rząd nie kieruje się w decyzjach polityczno-wojskowych altruizmem czy współczuciem, a jedynie interesem kraju”. Czyż to nie jest właśnie ten tak potępiany przez Wołczyk w przypadku Orbána „cynizm”? Niestety, w Polsce zdecydowanie jest go zbyt mało.

Przyglądając się strategii Węgier, możemy zadawać sobie różne pytania: Czy okaże się korzystna dla Budapesztu? Jakie ma znaczenie dla Polski? Czy istnieje dla niej alternatywa nienarazająca Węgrów na skutki wojny? Jednak ocenianie tej strategii pod kątem tego, czy jest „śluszną”, jest całkowitym nieporozumieniem. Pomijając już to, że tego typu moralistyczny stosunek uniemożliwiałby w zasadzie prowadzenie polityki międzynarodowej. Gdyby zacząć rozpatrywać posunięcia różnych naszych

partnerów i sojuszników z punktu widzenia purytańskiej moralności, musielibyśmy zerwać relacje z Waszyngtonem, Turcją czy Arabią Saudyjską.

W swoim tekście wyjaśniałem motywację Węgrów. W rozmowie ze mną na moim kanale YouTube, w cyklu „Rozmowa Niekontrolowana”, uzupełnił to bardzo cennie inny nasz publicysta, Marek Jurek. Węgrzy mają swoje specyficzne doświadczenia historyczne, cele i faktycznie są w innym miejscu Europy niż my. Nikt nie mówi – i nigdzie tego nie zalecałem – żebyśmy kopiowali jeden do jednego politykę Viktora Orbána względem wojny na Ukrainie. Chodzi natomiast o priorytety, które przyjął Orbán – i o nie właśnie toczy się w Polsce spór. Dla węgierskiego premiera najważniejsze są skutki działań Budapesztu dla węgierskich obywateli. Dla polskiego rządu – co pokazało najdobitniej absurdałne przedwczesne embargo na rosyjski węgiel – niekoniecznie. To również spór o to, czy długoterminowy ewentualny pozytywny dla Polski skutek wojny jest nie tylko realny, osiągalny i na ile jest prawdopodobny, a także o to, czy skutki krótkoterminowe, niszczące dla naszego kraju i obniżające nasz poziom bezpieczeństwa, w ogóle pozwolą nam do tamtego hipotetycznego momentu dotrzeć.

Jednocześnie obawy Małgorzaty Wołczyk o „zdradę” Węgier wydają się oparte na niewiedzy. Podczas spotkania Bukaresztańskiej Dziewiątki, w czasie wizyty Joe Bidena w Warszawie, obecna była również pani prezydent Węgier Katalin Novák, która podpisała deklarację B9, teoretycznie otwierającą drogę Ukrainie do członkostwa w NATO. Teoretycznie, ponieważ jest to w jakimkolwiek przewidywalnym czasie nierealne z powodu konieczności uzyskania zgody wszystkich członków sojuszu. Byłoby to zresztą w najwyższym stopniu ryzykowne z polskiego punktu widzenia, ale to już inny temat.

WAŻNA JEST SIŁA, NIE OPINIE

Mowa jest także o tym, że nie mam racji, podważając „wiodącą rolę Polski”, przy czym dowodem na nią ma być fakt, że się o niej pisze i mówi. Przypomina mi to jako żywo argumentację polityków Platformy Obywatelskiej, którzy już lata temu usiłowali wszystkim wmówić, że miarą sukcesu Polski w Unii Europejskiej, zwłaszcza w czasie sprawowanej przez

nas prezydencji, była liczba pochwalnych artykułów i wypowiedzi. Tak nie jest. Opinia o kraju jest, owszem, elementem tzw. miękkiej siły, ale też ma o niebo mniejsze znaczenie niż siła realna, liczona wielkością armii, liczbą ludności czy wielkością PKB.

Nie wiem, na czym mielibyśmy dziś opierać przekonanie o naszej wyjątkowej sprawczości w okolicznościach tego konfliktu. Nic go nie potwierdza. Gra wielkich toczy się ponad naszymi głowami, a gdy wojna się skończy, znacznie większe szanse mają powrócić do tego stolika Niemcy niż my, zgnębieni gospodarczo, znaleźć się przy nim jako stały gracz. Nieustannie staram się przekłupać ten nieprawdopodobnie nadęty balon nie dlatego, żebym sobie nie życzył, abyśmy zyskali tak wielką moc sprawczą, którą niektórzy nam przypisują, ale dlatego, że rojenia co do niej są zwyczajnie szkodliwe i niebezpieczne w kalkulowaniu swoich działań.

Wreszcie słowo na temat oburzenia Małgorzaty Wołczyk użyciem przeze mnie słowa „propaganda” na opisanie przekazu polskiego głównego nurtu oraz tego płynącego z Kijowa. Wołczyk pisze: „Trudno mi się zgodzić na demonizowanie ukraińskiego dyskursu hasłem »propaganda«, bo tak samo trudno podsumować, że ślaniące się na nogach państwo polskie uprawiało w latach wojny propagandę antyhitlerowską i antybolszewicką”. Przypomnę jedynie, że komórka odpowiedzialna za sferę informacyjną w ramach najpierw Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej nie bez powodu nazywała się Biurem Informacji i Propagandy. I nie bez powodu te dwie dziedziny były wymienione obok siebie: informacja to nie propaganda i odwrotnie. Szefem BIP przez niemal cały okres wojny był płk Jan Rzepecki, który zresztą, po dwukrotnym uwięzieniu przedzielonym współpracą z komunistami, zrobił w PRL karierę jako historyk.

Państwo będące w stanie wojny będzie się posługiwało propagandą – to oczywiste. Nie widzę natomiast żadnego powodu, dlaczego Polska – nie będąc stroną tego konfliktu – miałaby poprzestawać na propagandowym przekazie ukraińskim. Mamy prawo znać fakty i na ich podstawie wyrabiać sobie opinie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tym tekstem zamykamy tę debatę na łamach „Do Rzeczy”.

„Piraci afrykańscy porywający młodą kobietę”,
obraz Eugène'a Delacroix

FOT. MUSÉE DU LOUVRE

Łowy na białych niewolników

W roku 1610 hiszpański król Filip II wygnał ze swego królestwa wszystkich zamieszkujących je muzułmanów. Osiedli od pokoleń na Półwyspie Iberyjskim wyznawcy Allacha, porzuciwszy dobytek, którego nie mogli zabrać ze sobą, zmuszeni byli przepłynąć na południowy brzeg Morza Śródziemnego i na nowo ułożyć sobie życie w Afryce Północnej.

Wśród rzesz imigrantów znalazła się licząca 4 tys. mężczyzn i kobiet grupa znana jako honrachers. Był to wojowniczy klan bandytów, którzy nie zamierzali przejść do porządku dziennego nad zniewagą doznaną ze strony króla Hisz-



Łukasz Czarnecki

Pamięć o 15 mln niewolników porwanych z Afryki jest wciąż niezabliźnioną raną. Mniej powszechna jest wiedza, że w tym samym czasie ok. miliona pojmanych przez berberyjskich piratów Europejczyków trafiło do Maghrebu, gdzie stali się niewolnikami okrutnych muzułmańskich panów

panii. Znalazłszy się w Maroku, osiedli w ruinach Rabatu, który przechrzcili na Nową Salę. Z czasem nazwa ta skrócona

do Sali stać się miała synonimem grozy. Wychodźcy, poprzysięgłszy wieczną nienawiść chrześcijanom, zaczęli szkolić się

w skutnictwie i żeglarstwie. W końcu udało im się zgromadzić liczącą 40 jednostek flotę, a pod ich ciemnozieloną banderę, na której widniało mocarne ramię dzierżące bułat, zaczęli zaciągać się wszelkiej maści morscy zbójcy i awanturnicy. Po kilku latach nadmorska twierdza stanowiła już największą na Morzu Śródziemnym bazę piratów, z której wyruszały łupieżcze rajdy szerzące terror na europejskich wodach.

POSTRACH SIĘDMIU MÓRZ

Pierwszymi ofiarami korsarzy z Sali padli mieszkańcy krajów romańskich. Zabójczo szybkie i zwrotne okręty pojawiały się z nienacką u wybrzeży Francji, Hiszpanii i Italii, a ich załogi dokonywały błyskawicznych i niszczyielskich desantów, uprowadzając do niewoli całe osady. Innym celem ataków berberyjskich piratów były żeglujące przez Morze Śródziemne statki handlowe. W łupieniu ich muzułmańscy zbójcy wykazywali taką aktywność, że nikt, kto wyprawiał się w rejs, nie mógł być pewien, czy wróci do domu. O skali zjawiska najlepiej świadczy fakt, że w przeciągu zaledwie siedmiu lat, między 1609 a 1616 r., korsarze pochwycili aż 466 samych tylko angielskich statków! Ich ładunek trafił do skarbców w Sali, a załogi na tamtejszy wielki targ niewolniczy, stanowiący największe w Afryce Północnej centrum handlu żywym towarem.

Zachęcenie dotychczasowymi sukcesami piraci wciąż poszerzali obszar, na którym operowali. W roku 1625 pojawili się u wybrzeży południowo-zachodniej Anglii i uprowadzili mieszkańców wielu tamtejszych osad. Była to pierwsza tego typu łupieżcza morska inwazja na Albion od czasów wikingów, nic więc dziwnego, że władze królestwa były całkowicie zaskoczone. Angielskie flota i wojsko nie dały rady podjąć walki z napastnikami, którzy poczynali sobie całkowicie bezkarnie. W końcu, napelniony ładownie jeńcami, odpłynął przez nikogo nieniepokojeni do Sali.

Kiedy groza roku 1625 minęła, na ostatnie wydarzenia zareagował angielski świat artystyczny. W londyńskich teatrach zaczęto wystawiać komedie o muzułmańskich piratach, takie jak np. „Chrześcijanin Turkiem”, w których traumę usiłowano rozładować za



pomocą sprośnych żartów o eunuchach, wezyrach i obrzezaniu. Kiedy jednak z Maghrebu zaczęły napływać wieści o srogim losie uprowadzonych rodaków, Anglikom przestało być do śmiechu i spektakle o tematyce orientalnej zeszyły z afisza.

Rajd na angielskie wybrzeża nie wyznaczył granic ambicji berberyjskich korsarzy. Dwa lata później ich eskadra złupiła... Islandię, uprowadzając do niewoli 300 jej mieszkańców. Europejską opinię publiczną szczególnie oburzył fakt, że dowódcą niszczyielskiego rajdu był nawrócony na islam holenderski renegat Jan Janszoon. Nie był on zresztą jedynym chrześcijaninem, który wzgardziwszy wiarą przodków, znalazł swe miejsce w szeregach bandytów z Sali. Niewiele lepszą odeń sławą cieszył się Anglik John Ward. Obaj dorobili się na swym nikczemnym procederze znacznych majątków i zaszczytów, którymi obsypali ich władcy Maghrebu.

Wydawać by się mogło, że wyprawa z Maroka na Islandię stanowić winna szczyt osiągnięć okrutnych piratów, ale ci nie zamierzali się ograniczać. Wkrótce ich okręty stały się częstym widokiem na Atlantyku, terroryzując szlaki morskie łączące amerykańskie kolonie z Europą, a na niewolnicze targi Afryki Północnej popłynął strumień jeńców z Nowego Świata.

MAROKAŃSKA MAKABRA

Tymczasem w dopiero co zjednoczonym Maroku w roku 1672 władzę objął

sułtan Mulaj Ismail. Okazać się miał on monarchą nadzwyczaj długowiecznym, panował bowiem przez 55 lat. Za jego rządów królestwo stało się lokalną potęgą – następne pokolenia zapamiętały je jako najlepszy okres dynastii Alawitów. Późniejsza złota legenda nie zmienia jednak faktu, że Ismail był krwiożerczym szaleńcem, o czym boleśnie przekonać się mieli trafiający przemocą do jego włości Europejczycy.

Jednym z pierwszych posunięć nowego sułtana była likwidacja rynku niewolniczego w Sali – despota zakazał swobodnego handlu białymi niewolnikami wyłącznie po to, by wprowadzić w tej dziedzinie państwowy monopol. Od tej pory berberyjscy korsarze operujący z jego włości wszystkich jeńców pędzić mieli do stolicy królestwa – Meknesu – by tam przymusowo odsprzedawać ich sułtanowi. Łowcy żywego towaru nie byli zbyt zadowoleni z tej sytuacji, bo Ismail płacił za niewolników poniżej ich rynkowej wartości, ale mieli na tyle rozsądku, by nie protestować. Sułtan słynął bowiem zarówno z niebywałego okrucieństwa, jak i nieobliczalności. Przed jego obliczem nikt nie był pewny dnia ani godziny. Kiedy do Meknesu powrócił wysłany do Anglii poselstwo, władca w ramach kaprysu nakazał przywiązać ambasadora do ogona muła i pociągnąć go za zwierzęciem po kamieniach, a resztę biorącego udział w misji personelu dyplomatycznego wykastrować!

Powyższy epizod, choć makabryczny, nie oddaje w pełni szaleństwa Mulaja Ismaila. Monarcha po swojej stolicy przemieszczał się powozem zaprzężonym w... eunuchów. O dobrą formę fizyczną (która dopisywała mu aż do osiemdziesiątki) dbał zaś, uprawiając specyficzne ćwiczenie hippiczne, polegające na błyskawicznym wskoku w siodło połączonym z równoczesnym ścięciem szablą podającego strzeżenie niewolnika. Gdy władca nadchodził, wszyscy wokół padali na twarz, drżąc ze strachu o swe życia. Pan Maroka chętnie wydawał wyroki śmierci z tego tylko powodu, że się nudził, co gorsza, lubował się w makabrycznych sposobach egzekucji – ofiary jego gniewu mogły liczyć chociażby na przepiłowanie ciała wzdłuż, a jeśli despota miał w chwili wydawania wyroku szczególnie zły humor, to kat zaczynał swe krwawe dzieło od krocza.

Mulaj Ismail miał przy tym wszystkim dwie ogromne pasje, do których realizowania potrzebował nieustannego napływu niewolników. Pierwszą z nich była trawiąca go obsesja budowlana, sułtan uroił sobie bowiem, że stworzy największy kompleks pałacowy w dziejach ludzkości. Drugie oczko w głowie marokańskiego tyrana stanowili buchari – będąca podstawą i zbrojnym ramieniem jego rządów czarnoskóra niewolna gwardia. Ismail nieustannie powiększał jej szeregi zarówno poprzez wysyłanie karawan łowców niewolników do Gwinei, jak i tworząc specjalne farmy, na których hodowano nowe pokolenia tych budzących grozę wojowników. Władca urozmaicał chów, wykorzystując w nim europejskich mężczyzn. Zamykani w niewielkich pomieszczeniach z kilkoma czarnymi niewolnicami byli przemocą zmuszani do kopulacji i zapładniania towarzyszek niedoli. Do programu hodowlanego włączano także porwane przez piratów Europejki. Te z nich, które nie trafiły do sułtańskiego haremu, oddawano na pastwę chuci buchari.

Za rządów Mulaja Meknes stał się jednym wielkim placem budowy. Z Sali płynął tu nieustanny strumień białych niewolników, których wtrącano do podziemnych lochów, skąd biczami pędzono ich na rusztowania, by wznosili mury wymarzonego pałacu sułtana. Wedle ostrożnych szacunków w trakcie ponadpółwiecznego panowania Ismaila w jego stolicy na stałe więziono ok. 25 tys. Europejczyków. Fakt ten stanie się tym bardziej zatrważający, jeśli zdamy sobie sprawę, że nieszczęśnicy ci w wyniku straszliwych warunków, w jakich ich przetrzymywano, marli jak muchy, więc ich nieprzerzedzające się nigdy szeregi były na bieżąco uzupełniane.

Żywot niewolników sułtana był nieustanną gehenną. Kilkanaście godzin na dobę uwijali się w palących promieniach afrykańskiego słońca przy pracach budowlanych. Ich nadzorcami byli czarnoskórzy gwardziści sułtana, niszczący podwładnym razów. Nie jeden nieszczęśnik został załuczony na śmierć. Inni ginęli w trakcie wypadków, o które nie było trudno. Ciała zmarłych wrzucano do niegaszonego wapna lub zamurowywano we wznoszonych ścianach. Najgorsze chwile następowały,

gdy plac budowy nawiedzał sam sułtan, mający zwyczaj osobiście nadzorować postępy prac. Pewnego dnia niezadowolony z jakości cegieł wyrabianych przez jednego z niewolników własnoręcznie rozbił 50 z nich na głowie nieszczęśnika! Co gorsza, wzniesione wielkim wysiłkiem gmachy Mulaj Ismail rozkazywał częstokroć wyburzać, ledwie skończono nad nimi prace.

Po skończonym dniu pracy robotników zapędzano do podziemnego więzienia, gdzie w smrodzie ekskrementów, ciemności i wilgoci spożywali chleb ze zgniłego jęczmienia, mając za dodatek doń wyłącznie miarkę oliwy podłej jakości. Jeśli zachorowali, wówczas okrutni nadzorcy starali się „wypędzić chorobę” z ich ciał, przypalając je rozgrzanym żelazem.



Równie straszny był los kobiet. Mulaj Ismail słynął z niezwyklej potencji, żądza uciech cielesnych trawiła go nawet wtedy, gdy ledwie dysząc, leżał na łożu śmierci. Przez ponad pół wieku panowania do jego haremu trafiły niezliczone Europejki, które miały nieszczęście dostać się w łapy berberyjskich piratów. Dla marokańskiego władcy nie było większej rozkoszy niż zgwałcić przerażoną niewolnicę. Te, które się opierały, czekał straszliwy los, jeden z zachodnich dyplomatów działających w Maroku donosił o niewieście, której krnąbrność gwardziści sułtana ukarali, najpierw przypalając jej piersi świecami, a następnie lejąc roztopiony ołów na genitalia ofiary! Ile białych branek ostatecznie trafiło do łoża Ismaila, nie dowiemy się zapewne nigdy – gdy za kobietami tymi

zamykały się wrota haremu, znikwały z kart historii na zawsze i żadna z nich już nigdy nie wróciła do domu. Możemy jednak przypuszczać, że wielu spośród 1,2 tys. (sic!) potomków, których spłodził chutliwy sułtan, miało za matki chrześcijańskie niewolnice z Europy.

DYPLMACJA I ARMATY

W pierwszej połowie XVIII w. władze krajów, których mieszkańców porywali berberyjscy korsarze, wielokrotnie podejmowały próby uwolnienia jeńców. Szczególnie dużą aktywność na tym polu wykazał rząd brytyjski, śląc do Meknesu kolejnych ambasadorów mających negocjować z Mulajem Ismailem. Marokański władca był jednak przebiegły i wysłannicy Londynu raz za razem przekonywali się, że jedyne, co udało im się uzyskać, to wyzwanie symbolicznej liczby angielskich obywateli i wysłuchanie olbrzymiej liczby pięknie brzmiących słów padających z ust despoty. W Maghrebie pojawiali się także francuscy duchowni, przybywający tu z pieniędzmi na wykup braci w wierze. Ich starania przynosiły różnorakie skutki – rzeczywiście dzięki nim część katolickich niewolników odzyskała wolność, a ci, którzy pozostali w okowach, zyskali przywilej odpoczynku w najważniejsze święta kościelne, a także możliwość leczenia w niewielkim szpitaliku założonym w Meknesie przez braci zakonnych.

Gdy w 1727 r. Mulaj Ismail zmarł, Maroko pogrążyło się w chaosie, któremu kres położył dopiero wnuk sułtana – Muhammad III. Władca ten zdecydował podążać inną drogą niż dziadek. Ograniczył swobody piratów z Sali i nawiązał traktaty handlowe z mocarstwami europejskimi. Dzięki jego rozsądnej polityce kraj znów stanął na nogi. Niestety, berberyjscy korsarze nie zarzucili swego procederu. Ich rajdy wciąż trwały, a wziętych w ich trakcie do niewoli ludzi sprzedawano w Algierze i Tunisie. Kres temu położono dopiero w roku 1816, kiedy Royal Navy zaatakowała i obróciła w perzynę stanowiący centrum handlu białymi niewolnikami Algier. Klęska, którą z rąk Brytyjczyków ponieśli tutejszy dej i sprzymierzeni z nim piraci, oznaczała koniec epoki, w której straszliwy cień Maghrebu padał na europejskie wybrzeża.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Na czerwonym korzeniu

Komuniści przez dziesiątki lat lubowali się w naginaniu opisów przeszłości dla swoich potrzeb. Tak było np. z ich rzekomą ogromną działalnością partyzancką. Prawda była jednak okrutna. Nie mając się czym chwalić, przywoływali nawet najbardziej haniebne karty swej historii. Należał do nich specyficzny „oddział” GL-AL, który w ich nomenklaturze nazwany został... „Byli strażnicy Treblinki”.

Chodziło o załogi niemieckiego obozu karnego Treblinka I (było tam ok. 20 esesmanów Niemców i ok. 100 wachmanów ukraińskich), natomiast w obozie zagłady Treblinka II było ok. 40 esesmanów Niemców i ok. 100–120 wachmanów ukraińskich. Od wiosny 1943 r. niektórzy wachmani ukraińscy dezercerowali ze służby, przybierali polskie nazwiska i się ukrywali. W sierpniu 1943 r. powstał meldunek „Antyku”, informujący, że „pojawiała się dezercja wśród Ukraińców, będących w służbie w Treblince. [...] stwierdzono znowu dezercję aż 25 Ukraińców [...], zauważyli, że Niemcy zaczynają małymi grupkami wywozić Ukraińców i prawdopodobnie w innych obozach niszczą ich, by zatrzeć ślady morderstwa, a więc ci chcąc uniknąć śmierci, postanowili ratować życie przez ucieczkę”.

W listopadzie 1943 r. w jednej z takich grup komuniści utworzyli „oddział” GL

w lasach wyszkowskich, który wszedł w skład zgrupowania im. Mordechaja Anielewicza (im. Obrońców Getta)!

Oficerem oświatowym z ramienia GL została Irena Szenberg, która wydosłała się z getta w Warszawie. W powojennych wspomnieniach tak to przedstawiła: „W partyzantce, w okolicach Wyszkowa, zetknęłam się z oddziałami żydowskimi, które wyszły z getta. [...] Zorganizowali dwa oddziały AL i jeden sowiecki, złożony ze zbiegów. [...] mnie skierowano do oddziału sowieckiego, miałam być oficerem oświatowym. Było to coś zupełnie kretyńskiego. Wszyscy, może z wyjątkiem dowódcy, byli po prostu zwykłymi bandziorami. Zbiegli z obozu, utworzyli oddział i zajmowali się rozbojem. [...] A przy okazji dowiedziałam się strasznych rzeczy, bo oni mieli na sumieniu zabicie kilku zamożnych Żydów”. Dołączyło do nich następnych 11 wachmanów, zbiegłych z Treblinki. Dzięki temu, że nie nadano im patetyczno-patriotycznej nazwy w raporcie AL, występują w nim jako grupa pod osobliwą nazwą: „Była załoga Treblinki”!

Olicznych przypadkach dezercji Ukraińców z obozów zagłady jest mowa w wielu meldunkach AK z Lubelszczyzny. Tworzyli oni samodzielne grupy bandyckie w lasach (i byli bezwzględnie likwidowani przez AK, NOW, BCh i NSZ) lub dołączali do GL-AL. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zapomniane Kresy

Bisko półtora wieku temu Gustaw Manteuffel pochodzący z rodu nadbałtyckich ziemian stwierdził ze smutkiem, że Polacy wiedzą mniej o Inflantach niż o Sumatrze i Borneo. Pomimo upływu lat opinia ta pozostała aktualna, gdyż wiedza nad Wisłą o naszych rodakach w Łatgalii, jak obecnie nazywane są dawne Inflanty polskie, wciąż jest znikoma. Praktycznie nie istnieją w świadomości naszego narodu, gdzie za dawne kresy Rzeczypospolitej uważa się wyłącznie tereny Ukrainy, Białorusi i Litwy. Nie pamięta się również, że ziemie dzisiejszej Łotwy dzieliły przez ponad dwa stulecia losy naszego kraju, a wielu jego mieszkańców dobrze zasłużyło się dla polskiej historii i kultury. Ponadto już sama nazwa Inflant kojarzy się bardziej z jakąś nierealną krainą, a jej mieszkańcy to fantastyczne postacie rodem z powieści Andrzeja Sapkowskiego.

Tymczasem na Łotwie do dzisiaj żyje znaczna polska kolonia licząca od 40 do 60 tys. osób. Nie jest ważne, że ich przodkowie odpadli od Polski wraz z rozbiorami i nigdy już nie znaleźli się w jej granicach. Nad Dźwiną działają polskie związki kulturalne, placówki edukacyjne i polskie kościoły. Podobnie jak na innych terenach kresowych polskość kojarzona jest

bowiem z katolicyzmem, tym bardziej że większość Łotyszów jest luteranami, a tamtejsi Rosjanie wyznają prawosławie lub należą do staroobrzędowców.

Chociaż po upadku komunizmu kresy ponownie zagościły w polskiej literaturze i publicystyce, to nie dotyczyło to jednak Łatgalii. Trudno powiedzieć, dlaczego tak się stało, gdyż na ziemiach dzisiejszej Łotwy miało miejsce wiele ważnych wydarzeń z dziejów naszego kraju, a warto też pamiętać, że nawet Estonia była krótko częścią Rzeczypospolitej (przyłączył ją Zygmunt III Waza 12 marca 1600 r.). Być może nieco winy leży po stronie polskich władz, które interesują się polskim dziedzictwem kulturowym na Wschodzie, ale o Inflantach tradycyjnie zapominają. Niewykluczone, że wpływ ma na to również członkostwo Łotwy w Unii Europejskiej i tradycyjnie dobre stosunki łączące Rygę z Warszawą. Łatgalscy Polacy mają wprawdzie swoją autonomię kulturalną. Ale czy to jednak wystarczy? Tym bardziej że w kwestii naszej mniejszości nad Dźwiną także pozostało wiele do zrobienia, gdyż część miejscowych Polaków do dzisiaj nie posiada łotewskiego obywatelstwa. Jest to wynikiem bardzo skomplikowanej i tragicznej historii tego kraju w ostatnich kilkudziesięciu latach. ©

Cztery dni przed pierwszą rocznicą inwazji Aleksiej Nawalny ogłosił swoje stanowisko w sprawie wojny. „15 punktów obywatela Rosji, dobrze życzącego swojemu krajowi” zawiera bardzo konkretne diagnozy i propozycje rozwiązania problemów. Przede wszystkim, zaznaczył Nawalny, Putin „rozpętał niesprawiedliwą, agresywną wojnę przeciwko Ukrainie”, ponieważ chce przejść do historii jako „car zdobywca”. Opozycjonista przekonuje, że to prywatna obsesja władcy Kremla, której większość Rosjan nie podziela. Przegrana Putina w wojnie na Ukrainie jest tylko kwestią czasu. Dlatego, zdaniem Nawalnego, w dobrze pojętym interesie Rosji jest wycofanie się z konfliktu. Po pierwsze, ten „ogromny kraj z wymierającą ludnością” nie potrzebuje nowych ziem. Powinien więc skupić się na zagospodarowaniu tego, czego ma pod dostatkiem – czyli własnego terytorium. Po drugie, Nawalny wprost deklaruje, że wypłaciłby reparacje wojenne Ukrainie. Zaznacza, że pieniądze na to się znajdują. Koniec wojny bowiem oznaczać będzie zniesienie sankcji, powrót inwestorów i emigrantów politycznych, rozwój gospodarczy. Czyli, nawiasem pisząc, wzmocnienie pozycji Rosji. Nawalny, jako walczący z korupcją nowoczesny technokrata, najprawdopodobniej byłby dużo sprawniejszym i dużo bardziej popularnym na Zachodzie „menedżerem” niż Putin. Opozycjonista zaproponował też zastąpienie „putinowskiej dyktatury” republiką parlamentarną. „Mając świadomość swojej historii i tradycji, powinniśmy być częścią Europy i naśladować europejską drogę rozwoju” – kończy Nawalny.

Żołyziel Fundacji Walki z Korupcją jasno opowiada się za powrotem do granic ustalonych po rozpadzie ZSRS w 1991 r. „Nie ma o czym dyskutować. Prawie wszystkie granice na świecie są przypadkowe, ale w XXI w. nie ma sensu walczyć o ich zmianę. Inaczej świat pograży się w chaosie” – tłumaczy Nawalny. Przed 24 lutego nie był tak kategoryczny. Szczególnie w sprawie Krymu. Najpierw potępił aneksję, później stwierdził, że półwyspu już nie da się zwrócić Ukrainie. Wreszcie zaproponował, by na Krymie powtórzyć referendum, tyle że na „uczciwych, demokratycznych warunkach”. Po

Iluzja „innej Rosji”



Maciej Pieczyński

Przed 24 lutego 2022 r. rosyjska opozycja demokratyczna prezentowała tylko odrobinę mniej imperialne poglądy niż sam Putin. Inwazja sprawiła, że przeciwnicy Kremla prześcigają się w planach deimperializacji swojego państwa. Czy zatem możliwa jest inna, mniej agresywna Rosja?

kilku latach okupacji trudno było sobie takie warunki wyobrazić. Kiedy indziej z kolei Nawalny stwierdził, że Krym „to nie kanapka”, żeby ją ot tak dawać i zabierać. Jeden z jego najbliższych współpracowników Władimir Miłow w wywiadzie, który przeprowadziłem z nim dla „Do Rzeczy” wiosną 2021 r., przyznał, że ktoś, kto chwilę po zdobyciu władzy w Rosji oddałby Krym Ukrainie, nazajutrz by tę władzę stracił. Pełnowymiarowa agresja wszystko zmieniła. Rosyjscy opozycjoniści tym razem stanęli twardo po stronie Kijowa.

KARIERA PONOMARIOWA

Niedawno w Warszawie odbył się drugi Zjazd Deputowanych Ludowych. Czyli kongres jednej z frakcji rosyjskiej opozycji. Zjazd zrzesza 76 byłych parlamentarzystów oraz radnych regionalnych i miejskich. Reprezentują oni 32 re-

giony Rosji. Opowiadają się za siłowym obaleniem Putina, zakończeniem wojny na Ukrainie oraz za powrotem do granic sprzed wybuchu konfliktu w 2014 r. Organizatorem i nieformalnym liderem zjazdu jest Ilja Ponomariow. Biznesmen i polityk o poglądach lewicowych. W przeszłości działacz m.in. Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej oraz ugrupowania Sprawiedliwa Rosja, które opuścił, gdy z realnej opozycji stało się ono opozycją koncesjonowaną, podporządkowaną Kremlowi.

Ponomariow konsekwentnie działał w obozie antyputinowskim. W 2013 r. został oskarżony o defraudację pieniędzy należących do fundacji Skolkovo. Na jej zlecenie przeprowadził wiele wykładów w Stanach Zjednoczonych. Choć z pewnością sprawa była motywowana politycznie, to jednak nawet działacze opozycji twierdzili, że Ponomariow za

СЪЕЗД НАРОДНЫХ ДЕПУТАТОВ



Pierwszy zjazd rosyjskich opozycjonistów i przeciwników Putina w Jabłonnie. Na zdjęciu: Ilija Ponomariow FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

swoją pracę zgarnął podejrzenie wysokie wynagrodzenie.

Przełomem w karierze politycznej opozycjonisty była aneksja Krymu. Ponomariow jako jedyny deputowany do Dumy zagłosował przeciwko włączeniu półwyspu do Rosji. Nie był to jednak akt sprzeciwu wobec rosyjskiego imperializmu. Ponomariow przyznał, że generalnie popiera aneksję, ale nie takimi metodami. W jego ówczesnej opinii Krym powinien znaleźć się w granicach jednego, wspólnego państwa rosyjsko-ukraińsko-białoruskiego, tyle że na zasadach dobrowolności, a nie pod przymusem. Oceniał również, że referendum krymskie z pewnością oddaje prawdziwą wolę mieszkańców. Po 24 lutego całkowicie zmienił zdanie. Teraz, podobnie jak Nawalny, deklaruje, że zrzekłby się wszelkich rosyjskich zdobyczy terytorialnych na Ukrainie.

W 2016 r. Ponomariow wyemigrował. Najpierw do USA, następnie na Ukrainę, gdzie robił interesy z amerykańskimi biznesmenami. Inwestował w sektor naftowo-gazowy. Po 24 lutego 2022 r. zaangażował się w formowanie oddziałów rosyjskich walczących po stronie Ukrainy, złożonych z jeńców i dezertków. Tak powstał Legion „Wolna Rosja”. Będąc formalnie częścią Sił Zbrojnych Ukrainy, nieformalnie stanowi zbrojne ramię Zjazdu. To za jego pomocą ludzie Ponomariowa zamierzają najpierw pokonać armię rosyjską, a następnie zdobyć Moskwę i przejąć władzę, o czym zresztą mówią publicznie i z pełną powagą. Kontrowersyjny polityk niedługo po wybuchu pełnowymiarowej wojny osobiście wyznaczył wysoką nagrodę za głowę Putina. Podczas konferencji prasowej, podsumowującej obrady Zjazdu, jeden z deputowanych ogłosił, że celem opo-

zycji jest jednak postawienie prezydenta Rosji przed sądem.

WYGUMKOWAĆ ROSJĘ

Ponomariow pochwalił zamach na Darię Duginę i ogłosił, że za jej śmiercią stoi Narodowa Armia Republikańska – rosyjska partyzantka antyputinowska, z którą rzekomo nawiązał współpracę. Rzecz w tym, że poza Ponomariowem nikt o tej organizacji nie słyszał. Wielce prawdopodobne, że jest ona wymysłem opozycjonisty, który stara się stwarzać pozory własnej sprawczości. Buduje własny wizerunek rewolucjonisty. Publiczna pochwała terroru politycznego może zniechęcać do opozycji umiarkowaną, niezdecydowaną część społeczeństwa. Pierwszy Zjazd Deputowanych Ludowych odbył się w listopadzie 2022 r. w atmosferze skandalu. Uczestnicy kłócili się nie tylko o formę walki o władzę (jedni

■ chcieli likwidacji Putina, inni postawienia go przed sądem), lecz także o sposób prowadzenia obrad. Ponomariowa oskarżono o fałszowanie i manipulowanie wynikami głosowań, niedopuszczanie części deputowanych do głosu.

Za drugim razem poszło sprawniej. Drugi zjazd uchwalił trzy „akty prawne”: „o wolności słowa”, „o lustracji”, „o amnestii i uwolnieniu więźniów politycznych”. Ponadto uzgodnił projekt konstytucji postputinowskiej Rosji. Zakłada on radykalną zmianę ustroju, a nawet nazwy państwa. Ta ostatnia kwestia wywołała ożywione dyskusje wśród deputowanych. Zgodnie uznano, że należy zrezygnować z nazwy „Federacja Rosyjska”. Spór toczył się o to, jak ją zastąpić. Sama „Rosja” też deputowanych nie satysfakcjonowała. Niektórzy w ogóle nie chcieli widzieć w nazwie słów „Rosja” czy „rosyjski”. Inni ripostowali, argumentując: „Naszym celem jest zreformować państwo, a nie zniszczyć i zbudować nowe w granicach starego, jak to zrobili bolszewicy”. Pod głosowanie trafiły dwa warianty: „Rosyjska Republika Federalna” (na wzór Republiki Federalnej Niemiec) oraz „Republika Rosyjska”. Z niewielką przewagą zwyciężył drugi wariant. Zamiennie z RR ma być stosowana nazwa „Rosja”. „Dlaczego republika? Ponieważ rezygnujemy z imperialnego charakteru państwa. Dla nas okres imperium się zakończył” – tłumaczyła podczas konferencji prasowej Olga Kurnosowa, była radna obwodu leningradzkiego. Jak podkreśliła, zawarta w konstytucji zmiana nazwy ma uniemożliwić ewentualną restaurację imperium w przyszłości.

Z nazwy ma zniknąć kojarząca się z podbojami „federacja”. W praktyce jednak Rosja, oficjalnie będąc republiką, pozostałaby federacją republik i regionów. Pytanie, czy dobrowolną czy przymusową, było istotną osią sporu między działaczami. Wasilij Kriukow proponował, by z góry włączyć do nowej Rosji wszystkie podmioty, które należą do niej od 1991 r. Deputowanych, którzy chcieli oprócz nowego państwa na zasadach dobrowolności, nazwał „separatystami”. Ostatecznie to ich opcja zwyciężyła. Republiki i regiony mają wchodzić w skład „Republiki Rosyjskiej” na podstawie referendum. Nie oznacza to jednak automatycznego rozpadu imperium. Zgodnie z planem

Zgodnie uznano, że należy zrezygnować z nazwy „Federacja Rosyjska”. Spór toczył się o to, jak ją zastąpić

Zjazdu najpierw na terenie Federacji Rosyjskiej ma być ogłoszone nowe państwo, a dopiero potem jego składowe otrzymają prawo odłączenia się. Ponomariow wielokrotnie zapewniał, że każdy z regionów sam zdecyduje o tym, czy wejdzie w skład nowego państwa. Jak byłoby w rzeczywistości – tego zapewne się nie dowiemy. Niemniej według wizji przedstawionej podczas Zjazdu Rosja miałaby stać się republiką parlamentarną, w dużym stopniu zdecentralizowaną. Rozszerzone zostałyby kompetencje władz regionalnych i samorządowych. Ponomariow optował za likwidacją urzędu prezydenta. Ostatecznie, pod wpływem rad ekspertów, zrezygnował z tego pomysłu. W Republice Rosyjskiej prezydent pełniłby jednak wyłącznie reprezentacyjne funkcje i byłby wybierany przez parlament na jedną, pięcioletnią kadencję.

Za obaleniem Putina i kapitulacją Moskwy w wojnie z Ukrainą opowiadają się też inne ośrodki rosyjskiej opozycji. „Niezbędnym elementem jakichkolwiek pozytywnych zmian w społeczeństwie rosyjskim jest zwycięstwo Ukrainy. Rosjanie muszą zrozumieć, że Moskwa przegrywa. Uświadomiłoby im to np. zwrócenie anektowanego Krymu” – przekonywał Garri Kasparow podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Zachęcał Zachód do wsparcia Kijowa. Na tym samym forum w podobnym duchu wypowiadał się wieloletni więzień Putina, niegdyś wpływowy oligarcha Michaił Chodorkowski. W jego ocenie Zachód powinien przestać się bać eskalacji działań wojennych. Żanna Niemcowa z kolei stwierdziła, że nie należy się obawiać chaosu po obaleniu Putina – takie obawy jej zdaniem podsycy sam Putin.

JAKA OPOZYCJA

W samej Rosji działa właściwie jedynie opozycja koncesjonowana. Czyli taka, którą Kreml akceptuje, ponieważ w gruncie rzeczy jej opozycyjność jest tylko

pozorna. Mowa o takich ugrupowaniach jak Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji, Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej czy Sprawiedliwa Rosja (od dwóch lat – Sprawiedliwa Rosja – Patrioci – Za Prawdę). Siły te czasem krytykowały putinowską Jedną Rosję za politykę wewnętrzną, ale w kluczowych kwestiach imperialnej, antyzachodniej polityki zagranicznej w zasadzie zawsze stały murem za Kremlem. W Dumie zasiada właśnie opozycja koncesjonowana. Poza parlamentem działa m.in. socjaldemokratyczna partia Jabłoko. W 2014 r. sprzeciwiła się aneksji, opowiadając się za „legalnym” referendum, zorganizowanym w rezultacie konferencji międzynarodowej. Wystąpiła też przeciwko „specoperacji”. Jednocześnie jej założyciel Grigorij Jawlinski nawołuje do zawieszenia broni i oskarża Zachód, Ukrainę oraz konkurentów z opozycji o dążenie do eskalacji. W ostatnich wyborach do Dumy Jabłoko zdobyło jedynie 1,34 proc. głosów. Wynik mniej więcej oddaje realną popularność ugrupowania. Na podobnym poziomie poparcia może być konserwatywno-liberalna partia PARNAS. Z pewnością na relatywnie wysokie poparcie mógłby liczyć Nawalny, któremu jednak od lat władze odmawiają założenia partii. Fundacja Walki z Korupcją dalej działa, pomimo represji, ale szans na zdobycie władzy raczej nie ma.

Ponomariow zapewne ma rację, że opozycja może zdobyć w Rosji władzę jedynie siłą. Tyle że rosyjscy dezertrzy w szeregach armii ukraińskiej to stanowczo za mało, aby taką próbę w ogóle podjąć. W Rosji wciąż nie widać nastrojów rewolucyjnych, a opowieści o „antyputinowskiej partyzantce” można między bajki włożyć. Obalić Putina (być może częściowo przy pomocy oddziałów Ponomariowa) może jedynie ktoś z jego najbliższego otoczenia, a tam raczej widać jastrzębie, nie zaś liberalnych, prozachodnich demokratów. Prawdziwi opozycjoniści albo siedzą w więzieniu, albo na emigracji, nie mając ani wpływu na to, co dzieje się na Kremlu, ani realnej wiedzy na ten temat. Jeśli Rosja zakończy wojnę, to nie zadecyduje o tym Nawalny, tylko któraś z kremlofskich baszt, a wtedy założyciel Fundacji Walki z Korupcją, wypuszczony zaażona, może posłużyć co najwyżej jako wizerunkowe narzędzie, służące do odbudowy relacji z Zachodem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

BON
TURYSTYCZNY

TO JUŻ OSTATNI MOMENT!

WYKORZYSTAJ
do 31 marca



Spędź wymarzony czas z rodziną i Polskim Bonem Turystycznym
w jednym z tysięcy wspaniałych miejsc naszego kraju.

A. Gut-Mostowy
Andrzej Gut-Mostowy
wiceminister sportu i turystyki



POLSKA
ORGANIZACJA
TURYSTYCZNA



Ministerstwo
Sportu i Turystyki



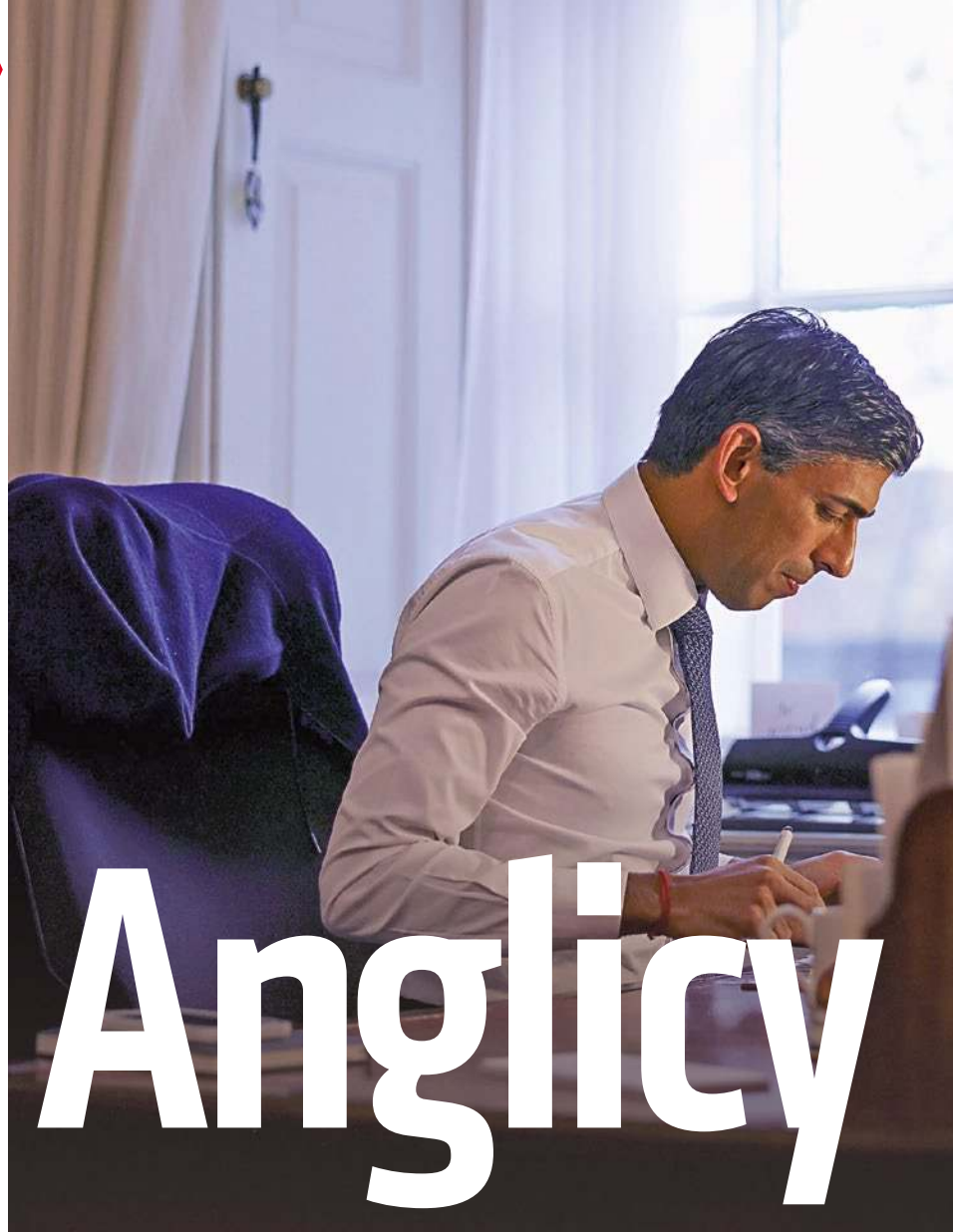


Witold Repetowicz

Objęcie przez Rishiego Sunaka urzędu premiera Wielkiej Brytanii jest symbolem przemian demograficznych zachodzących na Wyspach. Ich skalę oraz złożoność ukazują niedawno opublikowane dane spisu ludności z 2021 r. Paradoksalnie to właśnie Sunak zapowiedział wprowadzenie bardziej restrykcyjnej polityki migracyjnej

Przyglądając się nowej demografii etnoreligijnej różnych państw Europy, warto pamiętać, że postrzeganie jej w dwóch kategoriach, czyli muzułmańscy imigranci vs. Europejczycy, jest błędem. W Wielkiej Brytanii złożoność tych przemian widać bardzo dobrze, gdyż, w przeciwieństwie do takich państw jak Francja czy Niemcy, w spisie ludności uwzględniane są takie kategorie jak religia, pochodzenie i tożsamość etniczna (a nie tylko kraj pochodzenia) czy też język. To pozwala Brytyjczykom na lepsze zarządzanie nową demografią swojego państwa i pojawiającymi się problemami. Bo żeby czymś zarządzać, trzeba mieć świadomość sytuacyjną, a problemy są faktem.

Dwoma głównymi czynnikami determinującymi przemiany demograficzne w Wielkiej Brytanii są jej kolonialna przeszłość oraz niski przyrost naturalny. To drugie jest oczywiście zmorą całej Europy, a obecnie współczynnik dzietności w Wielkiej Brytanii jest nieco wyższy niż w Polsce (1,75 vs. 1,42), ale poniżej poziomu odnawialności pokoleń (2,1) – czyli minimalnego poziomu, by populacja (nie uwzględniając migracji) się nie kurczyła – spadł już 50 lat temu. U nas nastąpiło to 30 lat temu. Jednak populacja brytyjska się nie kurczy, tylko zmienia. Obecnie wynosi 68,7 mln osób, a w ciągu ostatnich dwóch lat, dzięki potężnej migracji, przybyło ok. 2 mln mieszkańców. Tylko w pierwszym pół-



roczu 2022 r. migracja netto do Wielkiej Brytanii wyniosła ponad 500 tys. osób, a rocznie brytyjskie obywatelstwo otrzymuje ok. 200 tys. ludzi.

PO BREXICIE MIGRANTÓW WIĘCEJ

Warto dodać, że po wyjściu z UE liczba imigrantów wzrosła, a nie spadła, choć kwestia migracji była jednym z argumentów brexitowców. Brytyjczycy nie mają wątpliwości, że bez imigrantów ich gospodarka by się zawaliła, jednakże ostatnie liczby były dla nich alarmujące.

Inną kwestią jest zarządzanie migracją. Wbrew temu, co głoszą zwolennicy otwartych drzwi, likwidowania granic i wpuszczania nielegalnych imigrantów, nie jest bez znaczenia, skąd i w jakim

trybie ludzie ci przyjeżdżają. Dlatego nie może dziwić, że akurat Sunak zapowiada zaostrzenie prawa imigracyjnego. Założenie promigracyjnej lewicy – że skoro ktoś sam jest imigrantem (lub jego przodkowie), to powinien być otwarty na nieograniczoną migrację – jest śmieszną aberracją.

Warto dodać, że Brytyjczycy w swej polityce imigracyjnej postawili przede wszystkim na Hindusów. W tym kontekście warto zadać sobie pytanie, czy Hindusi, podobnie jak arabska młodzież z paryskich przedmieść, lubią sobie od czasu do czasu coś zdemolować i podpalić jakieś samochody w ramach nowej tradycji. Jakoś nie słychać o tym, choć faktem jest, że czasem dochodzi do starć hindusko-muzułmańskich. Niedawno

Rishi Sunak, premier Wielkiej Brytanii, urodził się w Southampton, ale jego rodzice pochodzą z Pendżabu w Indiach
FOT. SIMON DAWSON/EYEVINE/EAST NEWS

XXI w.

miały one miejsce w Leicester, mieście o arcyciekawej kompozycji etnoreligijnej. Według danych ze spisu z 2021 r. w tym 368-tysięcznym mieście tylko 33 proc. mieszkańców to biali Brytyjczycy, podczas gdy Hindusi stanowią 34 proc. miejscowej populacji, natomiast Pakistańczycy – 3,4 proc., ale ogółem muzułmanie stanowią 23,5 proc., a hinduiści tylko 18 proc. Pod względem religii niewielką przewagę mają chrześcijanie – 24,7 proc., natomiast ateistów jest 23 proc. Ponadto tylko 70 proc. deklaruje jako główny język angielski. Uzupełniając tę mozaikę, warto dodać, że ponad 2 proc. mieszkańców Leicester stanowią Polacy.

Innym ciekawym miastem jest ponadmilionowe Birmingham, jeden z najważniejszych ośrodków muzułmańskich

w Wielkiej Brytanii. Wyznawcy Allaha stanowią 30 proc. miejscowej populacji, podczas gdy chrześcijanie 34 proc., ateści – 24 proc., a na czwartym miejscu są sikhowie (3 proc.). Biali Brytyjczycy stanowią przy tym 43 proc. mieszkańców, a spośród innych grup etnicznych najliczniejsi są Pakistańczycy – 17 proc.

Z kolei w metropolitalnym Londynie na 8,9 mln mieszkańców 3,5 mln deklaruje się jako chrześcijanie; 1,3 mln jako muzułmanie; a 2,4 mln jako niereligijni. Tylko 36,8 proc. mieszkańców stolicy Anglii i zarazem Zjednoczonego Królestwa to biali Brytyjczycy, podczas gdy czarnych Brytyjczyków jest 16 proc., a Hindusów – 7,4 proc. Pół wieku temu biali Brytyjczycy stanowili 87 proc. mieszkańców Londynu, a w 2001 r. – 60 proc.

Z kolei odsetek muzułmanów przez 20 lat wzrósł z 8,5 proc. do 15 proc., a hinduistów z 4 proc. tylko do 5 proc. Trudno się zatem dziwić, że od ponad sześciu lat burmistrzem Londynu jest muzułmanin pakistańskiego pochodzenia Sadiq Khan, którego trzy lata temu prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz nazwała „egzotycznym gościem”. W rzeczywistości taki on „egzotyczny” jak cała Anglia. Po prostu tacy są Anglicy XXI w.

WIDOCZNA TENDENCJA

W skali całego kraju (mowa o Anglii i Walii) kompozycja etnoreligijna zmienia się nieco wolniej, ale tendencja jest wyraźnie widoczna. Liczba osób deklarujących się jako chrześcijanie spadła w ciągu ostatniej dekady z 59 proc. do 46 proc., a zatem mniej niż połowy. Warto przy tym dodać, że nie wszyscy chrześcijanie to anglikanie, a katolików jest ok. 6–8 proc. Jeśli dodać do tego prawosławnych i inne chrześcijańskie denominacje, to wychodzi, że król Karol III jako głowa Kościoła anglikańskiego (stworzonego jako narodowy) przewodzi co trzeciemu Anglikowi i Walijszykowi. A warto pamiętać, że wciąż obowiązuje prawo wykluczające z sukcesji do tronu wyznawców innych religii.

Po chrześcijanach najliczniejsi są niewierzący (37 proc.), natomiast liczba muzułmanów w ciągu ostatnich 10 lat wzrosła z 4,9 proc. do 6,5 proc., a hinduistów z 1,5 proc. do 1,7 proc. Hindusów jest jednak znacznie więcej niż hinduistów i tę tożsamość etniczną deklaruje 3,3 proc. mieszkańców Anglii (20 lat temu było to 2,1 proc.). Biali Brytyjczycy stanowią 73,5 proc. mieszkańców Anglii (20 lat temu – 91 proc.), a wśród innych znaczących mniejszości są Pakistańczycy (2,8 proc.), a także Polacy (1,2 proc.).

Interesujące jest jednak też to, że w Anglii niekoniecznie imigranci z innych państw europejskich najłatwiej się integrują. Dane z cenzusu, a także stopień aktywności politycznej pokazuje coś innego. Według spisu 90,7 proc. deklaruje jedną z narodowości Zjednoczonego Królestwa (angielską, brytyjską, szkocką, irlandzką, walijską lub kornwalijską), a 91,1 proc. deklaruje angielski jako swój główny język. Tymczasem niemal wszyscy Polacy i Rumuni tego

nie deklarują, co powoduje, że język polski jest największym językiem mniejszościowym w Anglii (na drugim jest rumuński), a Polacy największą mniejszością narodową. Próżno też szukać Rumunów w brytyjskim parlamencie, a Polak jest tam tylko jeden – Daniel Kawczyński, zasiadający w Izbie Gmin od 17 lat. Tymczasem w 650-osobowej Izbie Gmin jest 66 członków pochodzenia pozaeuropejskiego, w tym 17 etnicznych Hindusów, 17 czarnych Brytyjczyków i 15 Pakistańczyków.

Obecność osób pochodzenia pozaeuropejskiego ma w Wielkiej Brytanii długą tradycję, podobnie jak ich udział w życiu publicznym. Osoby czarnoskóre obecne były na wyspie już w starożytności za sprawą Rzymian. W XVI w. za sprawą handlarzy niewolników trafiły na dwór królewski, a w połowie XIX w. do Izby Gmin wybrano pierwszych deputowanych mających czarnoskórych i indyjskich przodków. Warto dodać, że o pewnej otwartości brytyjskiego świata polityki na osoby obce etnicznie było również to, że w 1874 r. premierem został Żyd Benjamin Disraeli, którego dziadek był Sefardyzczykiem z Włoch. Z kolei pierwszym stuprocentowym Hindusem w Izbie Gmin był wybrany w 1892 r. Dadabhai Naoroji, a w 1919 r. pierwszy Hindus, Satyendra Prasanno Sinha, jako pierwszy Baron Sinha, trafił do Izby Lordów.

Inaczej wygląda jednak sprawa z muzułmanami, których historia obecności w brytyjskiej polityce zaczęła się niedawno. Pierwszym muzułmańskim członkiem Izby Gmin został w 1997 r. z ramienia Partii Pracy Pakistańczyk Mohammad Sarwar. Co znamienne, w 2013 r. zrezygnował z obywatelstwa brytyjskiego i zaczął karierę polityczną w Pakistanie, gdzie do niedawna był gubernatorem Pendżabu. W 1998 r. dwoje muzułmanów trafiło do Izby Lordów.

INDYJSKIE INTERESY?

Wybór Sunaka na premiera wywołał w Indiach eksplozję radości, a w tamtejszej prasie pojawiły się sugestie, że będzie on reprezentował indyjskie interesy. Trudno powiedzieć, na ile te oczekiwania są uzasadnione. Nowy premier jeszcze przed wyborem zapowiadał zacieśnianie relacji z Indiami, ale z punktu widzenia

W 22-osobowym rządzie Sunaka jest pięć osób o niebiało-brytyjskim pochodzeniu

interesów Zjednoczonego Królestwa i jego polityki nie jest to z całą pewnością kierunek rewolucyjny. Również potencjalne preferowanie migracji z Indii (w porównaniu z migracją z Pakistanu czy też innych państw muzułmańskich) byłoby raczej kierunkiem zachowawczym. Otwartym pytaniem jest również to, czy może to mieć jakiś wpływ na relacje muzułmańsko-indyjskie w Wielkiej Brytanii czy też politykę zagraniczną. Nie wydaje się, by Sunak miał takie plany, ale inni je snują za niego.

Również Pakistan uważa Sunaka za „swojego premiera”, gdyż jego dziadkowie wyemigrowali z Gudźranwali w pakistańskim Pendźbie, jeszcze zanim doszło do podziału na Pakistan i Indie. Tyle że Sunak jest praktykującym hinduistą, a w Gudźranwali po hinduistach pozostała niszcząca, pusta świątynia. Niemniej rzecznik rządu prowincji Pendźab wyraził oczekiwanie, że Sunak rozwiąże problem Kaszmiru, o który Pakistan toczy krwawy spór z Indiami od kilku dekad.

W Wielkiej Brytanii podział muzułmańsko/pakistańsko-hinduski nie wpływa na sympatie polityczne (przedstawiciele obu grup są zarówno w szeregach konserwatystów, jak i laburzystów), ale gwałtowne starcia między muzułmanami a hinduistami w Leicester we wrześniu 2022 r. pokazały, że konflikt z Azji przenoszony jest też na brytyjską wyspę. Trzeba bowiem pamiętać, że nastroje antymuzułmańskie wśród Hindusów są bardzo silne, a po wyborze Narendy Modiego na premiera Indii jeszcze wzrosły na fali rozwijającego się indyjskiego nacjonalizmu. W Indiach rozwija się też fundamentalistyczny ruch hinduistyczny o nazwie hindutva, który – zdaniem niektórych – przeniósł też swoją działalność do Europy. Brytyjcy muzułmanie właśnie hindutwę oskarżali o sprowokowanie starć w Leicester, choć istnieją co do tego wątpliwości. Z drugiej strony, mimo obecności Paki-

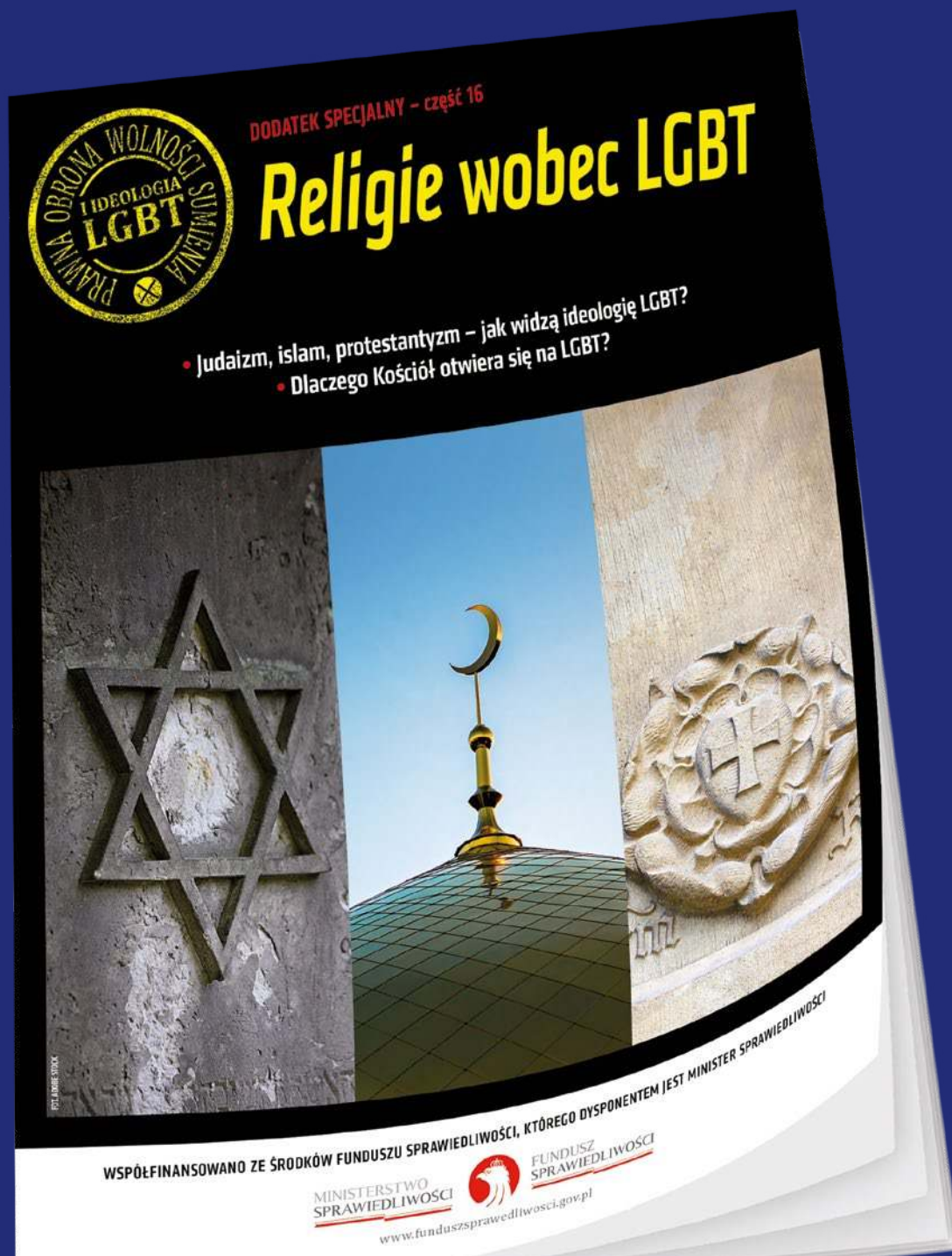
stańczyków (w mniejszym stopniu innych muzułmanów) w brytyjskiej polityce, ich integracja wydaje się znacznie bardziej problematyczna, zwłaszcza w odniesieniu do osób praktykujących islam. W tym zakresie Wielka Brytania popełniła zresztą w przeszłości klasyczne błędy europejskie, w tym w szczególności zamykanie problemów pod dywan i unikanie ujawniania tożsamości sprawców przestępstw czy aktów terroryzmu.

Charakterystyczne jest przy tym to, że (podobnie zresztą jak w innych państwach europejskich o dużej populacji nieautochtonicznej) znacznie większą otwartość w mówieniu o tych problemach wykazują zintegrowani imigranci. W Wielkiej Brytanii przykładem takiego polityka jest Sajid Javid, były minister spraw wewnętrznych, którego rodzice przybyli z pakistańskiego Pendźabu. Po tym, jak w 2013 r. ujawniono, że w Rotherham działała pakistańska siatka pedofilską, która przez 16 lat wyrządziła krzywdę ponad 1,4 tys. dzieciom, a pochodzenie sprawców było ukrywane, Javid stwierdził, że takie podejście to „tlen dla ekstremistów”, i podkreślił, że większość pedofilów w Wielkiej Brytanii to Pakistańczycy. Naraziło go to na zarzuty „islamofobii” ze strony Rady Brytyjskich Muzułmanów, które odrzucił, stwierdzając, że organizacja ta nie reprezentuje większości wyznawców islamu w Wielkiej Brytanii. To zresztą kolejny problem ogólnoeuropejski, że rządy uznają za reprezentację muzułmanów organizacje radykalne, w ten sposób przyczyniając się do rozwoju islamizmu, a wszelka krytyka spotyka się z zarzutami islamofobii i rasizmu.

Według brytyjskich statystyk w czerwcu 2021 r. 9,6 mln mieszkańców Wielkiej Brytanii (14,5 proc.) było urodzonych poza tym państwem. W 22-osobowym rządzie Sunaka jest łącznie pięć osób o niebiało-brytyjskim pochodzeniu. Taki stan rzeczy jest już trwały, a ważniejsze od pochodzenia czy też koloru skóry jest to, na ile wpływa to na tożsamość kraju. Doświadczenia brytyjskie pokazują, że różne pochodzenie wpływa różnie, a najbardziej zintegrowani na tej wyspie są Hindusi. Wnioski te powinny zostać wzięte pod uwagę również w polskiej debacie o migracji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl fa2140f805



Kolejne uderzenie w tradycyjnalistów

FOT. TIZIANA FAS/APPEAST NEWS



Paweł Chmielewski

Papież Franciszek wyprowadził kolejne uderzenie w środowiska tradycyjne. Jeżeli biskupi zastosują się do jego najnowszego rozporządzenia, to możliwość uczestnictwa w Mszy Świętej w rycie przedsoborowym może zostać w wielu diecezjach radykalnie ograniczona. Ojciec Święty tak bardzo nie lubi tradycyjnalistów, że dla skuteczniejszej z nimi rozprawy gotów jest poświęcić nawet... dziedzictwo Soboru Watykańskiego II

Po Soborze Watykańskim II odprawianie tradycyjnej Mszy świętej łacińskiej – tzw. Mszy trydenckiej – było co do zasady surowo zabronione. Księża potrzebowali specjalnego zezwolenia od swojego biskupa, by składać Najświętszą Ofiarę tak, jak Kościół robił to przez całe wieki. Sytuacja absurda, ale tak zdecydowali „papież dialogu” Paweł VI i jego bliski współpracownik abp Annibale Bugnini, ostatecznie usunięty z Watykanu w związku z doniesieniami o przynależność do masonerii. Zakaz od początku wywoływał ostre protesty, zwłaszcza środowiska związane z abp. Marcelem Lefebvrem. Restrykcje krytykował jednak również Józef Ratzinger. Dlatego

jako papież Benedykt XVI postanowił w 2007 r. „uwolnić” starą Mszę. Uważał, że odcinanie się od przeszłości tworzy wrażenie, jakoby po soborze narodził się jakiś nowy Kościół, co byłoby przecież czystą herezją.

Dzięki jego decyzji w wielu krajach świata zaczęły rozkwitać wspólnoty tradycyjne. Wraz z zainteresowaniem dawną liturgią wzrastała też fascynacja dawną teologią. W oczach progresistów, którzy dominują dziś w hierarchii Kościoła, oznacza to same problemy: katolicy tradycyjni upierają się, że nie można błogosławić par jedнопłciowych, udzielać Komunii Świętej rozwodnikom i protestantom, dopuszczać do głoszenia z ambony świeckich, żydów, muzułmanów, buddystów... Co więcej,

dawna liturgia bardzo wyraźnie podkreśla, że pod postacią chleba i wina są realnie obecne Ciało i Krew Chrystusa. To pogląd nieekumeniczny i mało dialogowy: jeden z głównych doradców Franciszka, liturgista prof. Andrea Grillo z Uniwersytetu św. Anzelma w Rzymie, już kilka lat temu sugerował, że trzeba od tej nauki odejść, bo jest zbyt „scholastyczna”. Grillo zapowiadał dlatego, że „gdy tylko umrze” Benedykt, Franciszek niewątpliwie zakaże Mszy trydenckiej, bo nie może być tak, aby w Kościele pozostały jakieś ślady dawnej liturgii. Papież Bergoglio na śmierć swojego poprzednika jednak nie czekał. Restrykcyjne zarządzenia wydał już w 2021 r., ogłaszając motu proprio „Traditionis custodes”. Odwołał w nim znaczną część decyzji swojego poprzednika. Z opublikowanych niedawno wspomnień abp. Georga Gänsweina wiemy, że „emerytowany” Benedykt przyjął krok Franciszka „z bólem serca”.

„Traditionis...” nakładało na tradycyjną Mszę poważne ograniczenia, ale zarazem pozostawiało duże pole odpowiedzialności biskupom. Sam tytuł dokumentu oznacza tyle, co „strażnicy tradycji”. W ten sposób Franciszek określił właśnie biskupów. Wskazał, że „do wyłącznych kompetencji biskupa” wraca wydawanie zezwoleń na posługiwanie się Mszą przedsoborową; podkreślił, że biskupi

„w jedności z biskupem Rzymu stanowią widzialne źródło i fundament jedności w swoich Kościołach partykularnych”; nazwał ich też „moderatorami, promotorami i stróżami całego życia liturgicznego w powierzonym mu Kościele partykularnym”, który winien „regulować celebracje liturgiczne w swojej diecezji”. W pewnym sensie „Traditionis...” stanowiło zatem nawet wzmocnienie władzy biskupiej, co wydawało się zasadniczo zgodne z nauczaniem Soboru Watykańskiego II. Ojcowie soborowi podkreślali wagę autorytetu biskupa jako następcy apostołów w aż dwóch dokumentach: konstytucji o Kościele „Lumen gentium” oraz dekreście o urzędzie biskupa „Christus dominus”. Nauczanie soboru stanowiło w tym względzie reakcję na pewien przerost centralizacji władzy papieskiej i Kurii Rzymskiej, postępujący od czasów Soboru Watykańskiego I.

NIE PO MYŚLI WATYKANU

Po „Traditionis...” biskupi wzięli się do pracy. Jedni korzystali z danej im do rąk możliwości nakładania restrykcji i bezwzględnie niszczyli wspólnoty tradycyjne. Inni rzucali wprawdzie nieco kłód pod nogi, w sumie jednak pozostawiając wier-nym jakąś możliwość uczestnictwa w starej Mszy. Jeszcze inni czynili wprost przeciwnie, gwarantując spokojną egzystencję i rozwój wspólnotom liturgii łacińskiej. Takich hierarchów było wielu w Polsce, we Francji, w Niemczech, a najwięcej – w Stanach Zjednoczonych. W efekcie okazało się, że implementacja „Traditionis...” nie przebiega tak, jak życzyłby sobie tego Watykan. Owszem, biskupi otrzymali dużą władzę, ale Stolica Apostolska najwyraźniej uważała za oczywiste, że tę władzę wykorzystają tylko do tego, by wspólnoty tradycyjne niszczyć, a nie po to, by je konserwować czy wzmocniać!

Kością niezgody stał się szybko problem miejsca sprawowania Mszy trydenckiej. Dzięki decyzjom Benedykta XVI w wielu diecezjach na świecie sprawowano ją w zwykłych kościołach parafialnych. Papież Franciszek w „Traditionis...” tego zakazał, chcąc najpewniej zepchnąć tradycjonalistów do kaplic czy zgoła jakichś obskurnych salek albo hal. Zachowana została jednak możliwość udzielenia od tego zakazu dyspensy – i wielu biskupów chętnie z tego korzy-

stało, również w naszym kraju, a przede wszystkim w Ameryce.

WOLTA KARDYNAŁA ROCHE'A

To wywołało głębokie niezadowolenie głównego rozgrywającego batalię antytydencką po stronie Franciszka, kard. Arthura Roche'a. To prefekt Dykasterii ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Jeszcze kilka lat temu Roche bronił obecności liturgii trydenckiej w życiu Kościoła. Zmienił jednak pozycję o 180 stopni i przyjąwszy urząd prefekta, rozpoczął operację jej zniszczenia. Roche wciągnął do Kongregacji ekspertów związanych z radykalnie antyłacińską grupą liturgistów z Uniwersytetu św. Anzelma, gdzie uczy prof. Grillo. To ludzie wywodzący się ze szkoły abp. Anibale Bugniniego. Roche już w grudniu 2021 r. wydał dokument, w którym – jak zadeklarował – przedstawił autorytatywną „interpretację” „Traditionis custodes”. Zabronił w nim m.in. udzielania jakichkolwiek sakramentów według ksiąg liturgicznych sprzed soboru oraz wydał zakaz udzielania dyspens dotyczących kościołów parafialnych. Znaczna część biskupów nie przejęła się krokiem Roche'a. Wyszli z założenia, że interpretacja nie może tworzyć nowej rzeczywistości prawnej – musi trzymać się litery tekstu, który omawia; skoro jest inaczej, to dokument ma wątpliwą wartość legalną. Wywoływało to gniew Roche'a, który próbował interweniować, wysyłając do biskupów listy z napomnieniami, nie zawsze skuteczne.

Na początku lutego tego roku ceniony watykanista J.D. Flynn z opiniotwórczego portalu The Pillar opublikował artykuł, w którym używając niezwykle poważnych argumentów, oskarżył kard. Roche'a o uzurpowanie sobie władzy, której tak naprawdę nie ma. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Już kilka dni później Roche zarzucił mu „atakowanie papieża” oraz „niebawłą pychę”; następnie udał się na prywatną audiencję u papieża i otrzymał od niego zgodę na wydanie tzw. reskryptu do „Traditionis...”, w którym triumfalnie obieścił, że wszystkie zakazy, jakimi wcześniej straszył Kościół, rzeczywiście wyrażają wolę Ojca Świętego. Dyspensy zostały więc zakazane, obowiązywalność radykalnego dokumentu z grudnia 2021 r. została potwierdzona. Teraz Stolica Apostolska ma nowe instrumenty, by wymuszać na przychylnych liturgii łacińskiej biskupach niszczenie wspólnot

tradycyjnych – i tym razem żaden hierarcha nie będzie mógł bronić się, wskazując na nielegalność tych działań. W efekcie Msza trydencka może być w Kościele jeszcze silniej zwalczana. Biskupi nie mają już niemal żadnej realnej władzy: o wszystko muszą pytać w Watykanie. To sam kard. Roche będzie decydował, czy w kościele parafialnym na drugim końcu świata wolno odprawić Mszę tak, jak Kościół odprawiał ją przez wieki.

TARAN PROGRESIZMU

Wojna watykańskich progresistów z tradycją liturgiczną jest prowadzona coraz bardziej karykaturalnymi metodami. Zaskakuje to nie tylko konserwatystów; zdziwieni są nawet lewicowcy, którzy zwykle Franciszka ubóstwiają. Ojciec Święty wiele mówi o „synodalności”, „decentralizacji” czy „wychodzeniu na peryferia”, ale w sprawie Mszy trydenckiej w swoich działaniach pokazuje, że dotyczy to tylko wybranych, liberalnych grup – absolutnie nie tych, które chcą odwoływać się do ciągłości nauczania Kościoła katolickiego.

Na tym jednak nie koniec. Wraz z reskryptem kard. Roche'a do tego problemu dołączyło zupełnie jawne zaprzeczanie jednemu z najważniejszych elementów nauki Soboru Watykańskiego II. Sobór dał przecież impuls powołaniu instytucji Synodu Biskupów; podkreślał kolegalność sprawowanej w Kościele władzy; podbudował indywidualny autorytet ordynariusza diecezji. Z nauki Vaticanum II wynika jasno, że biskup jest nie tylko bezwolnym wykonawcą poleceń płynących z Kurii Rzymskiej, lecz także autentycznym pastorem, odpowiedzialnym za powierzonych mu wiernych. Jednak w przypadku tak fundamentalnej dla Kościoła dziedziny jak tradycja liturgiczna biskup nie ma teraz wiele do powiedzenia. Staje się ubezwłasnowolnionym „strażnikiem” – i to bynajmniej nie „tradycji”, ale arbitralnej woli radykalnie antyłacińskich hierarchów z Watykanu. Rewolucja zawsze pożera własne dzieci. Dla „synodalistów” nawet tak umiłowane wydalenie jak Sobór Watykański II okazuje się przeszkodą: najważniejszy jest nieustanny „postęp”, a kto mu się sprzeciwia, musi zostać usunięty – bez względu na koszty czy troskę o spójność narracji. Taran progresizmu nie przebiega w środkach...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

Gdy ten temat pojawił się na początku pandemii, komentatorzy amerykańskich mainstreamowych mediów nazywali Donalda Trumpa rasistą i paranoikiem. Tak było choćby po konferencji prasowej w maju 2020 r. „Czy widział pan jakiegokolwiek dowody, które dają panu dużą dozę pewności, że Instytut Wirusologii w Wuhan był miejscem, gdzie zaczął się ten wirus?” – zapytał Donalda Trumpa reporter.

„Tak. I myślę też, że Światowa Organizacja Zdrowia powinna się wstydzić swojej obecnej działalności. Oni stali się czymś w rodzaju agencji PR dla Chin. [...] Nie powinni zajmować się szukaniem wymówek, gdy ludzie robią potworne błędy, zwłaszcza takie, które powodują śmierć setek tysięcy osób na całym świecie” – mówił Trump w maju 2020 r.

Hipoteza o wypadku w chińskim laboratorium, która niecałe dwa lata temu uważana była przez liberalno-lewicowe media za przejaw rasizmu i paranoi, obecnie brana jest bardzo poważnie pod uwagę przez instytucje cieszące się w Ameryce dużą renomą.

Jak podał w poprzednią niedzielę dziennik „The Wall Street Journal”, Departament Energii USA orzekł, że pandemia swój początek miała nie na targu w Wuhan, ale w laboratorium kontrolowanym przez chińskie władze. Jak podkreślał „WSJ”, raport Departamentu Energii – przekazany Białemu Domowi i wybranym członkom Kongresu – powstał na podstawie nowych danych, a stanowisko tej instytucji jest o tyle istotne, że podlegają jej podobne laboratoria w USA. Do tej pory Departament Energii nie zajmował w tej sprawie jasnego stanowiska. Należy jednak zaznaczyć wyraźnie, że najnowszy raport nie ma jednak charakteru definitywnego, ponieważ cechuje się „niską pewnością”.

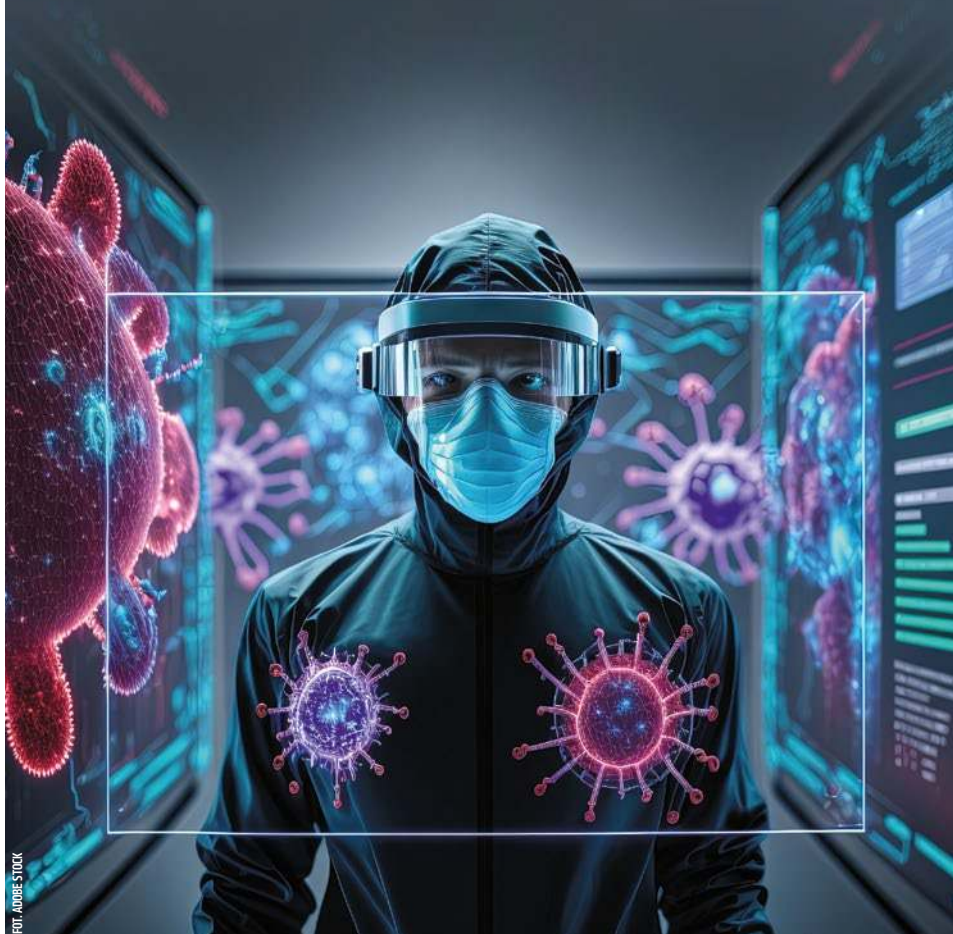
Dwa dni po sensacyjnie brzmiącym tekście „WSJ” oliwy do ognia dodał szef Federalnego Biura Śledczego. „FBI od pewnego czasu uważa, że powodem pandemii jest najprawdopodobniej potencjalne zdarzenie w laboratorium” – powiedział na antenie Fox News szef FBI Christopher Wray, dodając, że chodzi o laboratorium nadzorowane przez chińskie władze. Szef biura dodał, że w jego ocenie Chiny robią wszystko, by torpedować wysiłki zmierzające do wyjaśnienia przyczyn pandemii. „Nie mogę powiedzieć na ten temat zbyt

Laboratorium niezgody



Piotr Włoczyk

Część amerykańskich instytucji rządowych coraz odważniej forsuje hipotezę, według której to wypadek w chińskim laboratorium odpowiada za pandemię COVID-19. Na ile jednak temat ten może być elementem politycznej rozgrywki na linii Waszyngton – Pekin?



PHOT. ADRIAN STOCK

wiele, ponieważ mówimy tu o tajnych danych” – dodał Wray.

Dla niektórych słowa szefa FBI mogły być prawdziwą sensacją, ale Wray powtórzył tu – choć trzeba przyznać, że tym razem bardzo dobitnie – stanowisko, które FBI zajmuje już od 2021 r., gdy instytucja ta po raz pierwszy uznała, że bardziej prawdopodobne jest, iż pandemia zaczęła się w laboratorium niż na targu zwierzęcych.

Wszystko to nie oznacza jednak, że amerykański rząd podpisuje się pod ustaleniami Departamentu Energii oraz FBI. Oficjalnie Białe Dom nie zajmuje w tej kwestii stanowiska, tym bardziej że inne ważne agendy rządowe (np. Narodowa Rada Wywiadu) przychylają się do drugiej wersji. Z kolei CIA, najważniejsza – zdawałoby się – instytucja, która powinna wyjaśnić początki pandemii koronawirusa, nie przedstawiła do dziś swoich ustaleń.

Nawet jednak te agendy, które uważają, że to wyciek z laboratorium jest przyczyną pandemii, nie twierdzą, że stało się tak w wyniku prac nad bronią biologiczną. Zarówno Departament Energii, jak i FBI uważają, że był to najprawdopodobniej nieszczęśliwy wypadek.

WINA TRUMPA

Po stronie liberalno-lewicowej słychać już dziś głosy, że być może jednak ówczesna reakcja na słowa Trumpa nie była najlepsza. Jak ujął to „The Guardian”:

„Teoria o wycieku z laboratorium była forsowana przez Trumpa, który przez długi czas bagatelizował wirusa i używał ksenofobicznego języka w stylu »chiński wirus«, a także przez jego sekretarza stanu Mike’a Pompeo. To z kolei mogło wpływać na niektórych, by z niemal instynktowną zapalczywością przekreślać tę hipotezę i poddawać ostracyzmowi naukowców, którzy ośmielali się kwestionować mainstreamową ortodoksję”.

Trudno stwierdzić dokładnie, jak rozkładają się w tej sprawie opinie najważniejszych światowych wirusologów, ale wygląda na to, że większość ekspertów przychyliła się do wersji o naturalnym pochodzeniu SARS-CoV-2. Problemem jest jednak to, że do dziś nie udało się zidentyfikować zwierzęcia, z którego ten wirus miałby „przeskoczyć” na człowieka.

Sceptycy, którzy początków pandemii upatrują w incydencie w chińskim

Chińskie władze odrzucają oskarżenia o nieprawidłowości w laboratorium w Wuhan

laboratorium, kwestionują uczciwość części naukowców podpisujących się pod hipotezą o naturalnym pochodzeniu wirusa. Jako przykład nierzetelności podawany jest często tekst z pisma specjalistycznego „The Lancet”, opublikowany w lutym 2020 r. Podpisało się pod nim 27 naukowców, którzy napisali wówczas m.in.: „Wspólnie potępiamy wszelkie teorie spiskowe sugerujące, że COVID-19 nie jest efektem przyczyn naturalnych”. Ogólna wymowa tego dosyć ogólnego tekstu, w którym nie padały rozstrzygające dowody, była bardzo jednoznaczna: obwinianie za pandemię laboratorium w Wuhan to coś w rodzaju wirusologicznego „denializmu” klimatycznego.

List ten był wówczas szeroko omawiany w mediach i zdawał się ucinąć dyskusję na ten temat, ale znacznej części czytelników umknąć mógł ciąg dalszy tej historii, o którym nie było zbyt głośno. Ponad rok po opublikowaniu tekstu 27 naukowców „The Lancet” poinformował, że badacz, który skrzyknął to grono, był powiązany z... laboratorium w Wuhan.

MOSKWA NA RATUNEK

Chińskie władze od początku stanowczo odrzucają wszelkie oskarżenia o nieprawidłowości w laboratorium wirusologicznym w Wuhan, które mogły spowodować pandemię. Chińczycy kwestionują nawet te badania, które jako źródło COVID-19 wskazują targ w Wuhan. Według Pekinu pandemia się zaczęła poza granicami Chin.

Ostatnie rewelacje płynące z amerykańskiego Departamentu Energii chińskie MSZ odrzuca jako kompletnie bezpodstawne i nazywa „polityczną manipulacją”.

Chińczyków wsparli ostatnio Rosjanie. Anna Popowa, kierująca Rospotrebnadzorem, rosyjskim odpowiednikiem sanepidu, stwierdziła jednoznacznie: „Nie ma dowodów na to, by pandemia koronawirusa SARS-CoV-2 była rezultatem wycieku z laboratorium. System

bezpieczeństwa w chińskich laboratoriach jest bardzo dobry”.

Tymczasem od 2004 r. doszło do co najmniej czterech poważnych incydentów bezpieczeństwa w chińskich laboratoriach wirusologicznych. Instytut Wirusologii w Wuhan znany był od lat z zakrojonych na bardzo szeroką skalę prac nad koronawirusami, a spekulacje na temat wypadku podsycane były m.in. doniesieniami z amerykańskich źródeł wywiadowczych, mówiących o tym, że trzech naukowców pracujących w tym instytucji już w listopadzie 2019 r. bardzo ciężko zachorowało.

W tej sprawie na jasne stanowisko nie ma co liczyć również ze strony WHO. O ile w 2021 r. wspólne dochodzenie WHO i Chin w kwestii pochodzenia koronawirusa miało potwierdzić, że incydent w laboratorium to „niezwykłe mało prawdopodobna” hipoteza, o tyle jednak od pewnego czasu WHO zdaje się nie być już tak kategoryczna w tym temacie. Nie dalej jak w grudniu zeszłego roku szef WHO skierował pod adresem Chin słowa, które raczej nie zostały dobrze przyjęte w Pekinie. „Wzywamy Chiny do podzielenia się danymi i przeprowadzenia badań, o które wnioskowaliśmy i wciąż wnioskujemy. Tak jak wspominałem już wielokrotnie, wszystkie hipotezy na temat źródła pochodzenia tej pandemii są cały czas badane” – powiedział Tedros Adhanom Ghebreyesus.

Sensacyjnie brzmiące doniesienia na temat pochodzenia pandemii w specyficzny sposób skomentował ostatnio Jake Sullivan, doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa. „Prezydent Biden sam wnioskował o to, by nasze laboratoria, które podlegają Departamentowi Energii, zostały zaangażowane w tę sprawę, ponieważ prezydent chce użyć każdego możliwego narzędzia, by dowiedzieć się, co dokładnie zaszło” – powiedział Sullivan, podkreślając jednocześnie, że „w środowisku wywiadowczym istnieje wiele opinii [na ten temat]. Część z tych instytucji stwierdziła, że nie ma wystarczająco dużo informacji”.

Tak niejednoznaczne stanowisko Waszyngtonu w tej sprawie może z kolei rodzić podejrzenia, że otwieranie przez Amerykanów różnych furtek w kwestii pochodzenia SARS-CoV-2 może być elementem politycznej rozgrywki z Chinami o prymat na świecie. © Wszelkie prawa zastrzeżone



TYSIĄCE FANÓW NIEISTNIEJĄCEJ MODELKI

Influencerzy mają dziesiątki tysięcy fanów, którzy codziennie oglądają ich filmiki, zdjęcia i piszą komentarze. Okazuje się, że ludziom zupełnie nie przeszkadza, iż ten, którego obserwują, po prostu nie istnieje. Najlepszym dowodem na to jest instagramowe konto modelki Kaddy Reeves. To profil stworzony za pomocą sztucznej inteligencji. Ma już ponad 40 tys. obserwujących, którzy zamieszczają tam komentarze tak, jakby obrazek kobiety w białinie był rzeczywistą osobą.

FOT. INSTAGRAM.COM/KADDYREEVES

TRANSZWYCIĘZCA W BIEGACH

Podczas halowych mistrzostw Kanady w kategorii „masters”, które odbywały się w Toronto, w biegu na 1500 m kobiet zwyciężyła niejaka Tiffany Newell. To 50-letnia „zawodniczka”, która wcześniej była mężczyzną. Po zmianie – jak wyznawała – „nie czułaby się komfortowo”, rywalizując z mężczyznami. Na pewno komfortowo czuje się w rywalizacji z kobietami, w której od 2017 r. ustala wciąż kolejne rekordy czasowe.

PORWANIE CZY NIE, PŁACIĆ TRZEBA

W USA jednej pani sprzed domu złodzieje skradli samochód. Problem w tym, że odjechali autem, w którym zostało jej dwuletnie dziecko. Rodzina zawiadomiła policję, a funkcjonariusze zwrócili się natychmiast do firmy Volkswagen – gdyż auto mogła ona zlokalizować dzięki usłudze „Car-Net”. Przedstawiciel firmy odpowiedział jednak detektywowi z Biura Szeryfa Lake County, iż usługa wygasa i trzeba opłacić 150 dol.

za jej aktywację. Nie przekonało go to, że to sprawa być może życia i śmierci. Rodzina ostatecznie opłaciła usługę, ale zajęło to ponad 30 minut. Rzecznik Volkswagena „wyraził ubolewanie” i zapowiedział postępowanie w tej sprawie.

NAGIE TAŃCE GENERAŁA

Zastępca dowódcy rosyjskich sił lądowych, gen. Ołeksandr Matownikow, stał się rozpoznawalny w Internecie. Na Telegramie ujawniono nagrania, na których tańczył opasany w ręcznik i prezentował swoje organy płciowe.

PIES, CZYLI NIEDŹWIEDŹ

Mieszkanca Chin kupił przy drodze „szczeniaczka”. Gdy osiągnął wagę 115 kg, zjadał dziennie dwa wiadra makaronu i zaczął chodzić na tylnych łapach, pani Su Yun zaczęła podejrzewać, że to jednak może być niedźwiedź. Przekazała go leśnikom. Zwierzę trafiło do rezerwatu. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Sukces mObywatela

Polscy politycy – niezależnie od partyjnych barw – od lat mówią o potrzebie cyfryzacji, ale kolejne rankingi DESI (Digital Economy and Society Index) pokazują, że mimo sukcesów na różnych polach akurat pod względem cyfryzacji Polska nadal ciągnie się w ogonie Europy za takimi krajami jak Grecja, Bułgaria czy Rumunia.

Na szczęście w rządzie Zjednoczonej Prawicy znalazła się grupa entuzjastów, która na przekór hejterom i niedowiarkom stworzyła aplikację mObywatel. Aplikacja jest obiektywnie dobra. Tak dobra, że

do potrzeby cyfryzacji jest w stanie przekonać najstarszych górali. Może bowiem zastąpić tradycyjne prawo jazdy, dowód rejestracyjny, a także różne legitymacje, w tym studencką, adwokacką, poselską oraz emeryta i rencisty. Aplikacja przypomni też o terminie badania technicznego samochodu i obowiązku wykupienia polisy OC.

Co więcej, twórcom mObywatela udało się do potrzeby cyfryzacji przekonać sam rząd. Naprawdę! W ubiegłym tygodniu, po pięciu latach od wprowadzenia aplikacji mObywatel (czyli pod koniec 2017 r.), Rada Ministrów przyjęła

wreszcie projekt ustawy, dzięki której cyfrowy dowód osobisty w smartfonie ma być w końcu równoznaczny z fizycznym, plastikowym dokumentem. Dzięki temu aplikacja stanie się jeszcze przydatniejsza.

Ustawa ma umożliwić również wykorzystywanie mObywatela do uwierzytelnienia profilu zaufanego. Resort cyfryzacji zapowiada już zaś, że zamierza jeszcze zwiększyć funkcjonalność aplikacji, by wszystkie sprawy urzędowe załatwiać w jednym miejscu. Super! Wiek XXI wielkimi krokami zbliża się już nawet do administracji... ©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Co anty-PiS
różni od PiS?

Od miesiący składałem się do napisania o opozycji. Ileż w końcu można się zajmować rządem, który rzecz jasna popełnia sporo błędów, ale też – trzeba przyznać – przyszło mu rządzić w naprawdę niełatwych czasach.

No i, niestety, pisanie o opozycji idzie mi z wielkim trudem. Bo o czym tu pisać? O tym, że mimo iż do wyborów zostało ledwie kilka miesięcy, niemal kompletnie nieznany jest publicznie program głównych partii opozycyjnych? Ba, nie znamy też ani jednego nazwiska ani jego ministra ani jednego gabinetu cieni, czyli – jeśli tak zdecydują wyborcy – ani jednego nazwiska ani jednego ministra przyszłego gabinetu rządzącego Polską.

Przy czym, o ile poważnego programu partie te mogą, niestety, jak uczy doświadczenie, faktycznie nie mieć – w końcu historia Platformy tego właśnie dowodzi; tego, że nawet jeśli miawała program, to realizowała zupełnie inny – to trudno uwierzyć, by za kulisami nie trwały nerwowe przymiarki do foteli w przyszłym rządzie. A skoro o tych przymiarkach wciąż cicho sza, skoro nikt nie robi konferencji prasowych i nie prezentuje przyszłych ministrów, którzy już dziś powinni punktować swoich rządzących odpowiedników, to wychodzi na to, że liderzy tych partii tak bardzo wstydzą się swoich personalnych wyborów, że wolą ich nie ogłaszać, żeby nie

zaszkodzić swym ugrupowaniom najpierw w kampanii wyborczej, a potem – podczas głosowania.

A wracając do nieznanych (nieistniejących?) programów partii, których politycy tak dziś przebiegają nogami, żeby zastąpić polityków PiS i Solidarnej Polski w ławach rządowych Sejmu, w kancelarii premiera, w gmachach ministerstw oraz we władzach spółek Skarbu Państwa. Otóż, jak deklarują, socjału od lat ponad miarę rozdawanego Polakom przez rząd PiS nie planują odebrać, a więc i podatków łupionych ponad miarę podatnikom nie zamierzają obniżyć. Państwowych monopolii, nabywanych ze szkodą dla Polaków, nie zlikwidują, a przynajmniej nic o tym nie słysząc. Upaństwowionych firm – w tym banków – również nie sprywatyzują, a w każdym razie milczą o tym jak zakłęci. Kasta sędziowska będzie się miała za ich rządów nie gorzej niż dziś – to akurat zapowiadają całkiem otwarcie. W kwestii relacji z Brukselą zaś, po ostatnim, „wielkim kompromisie” PiS z KE, trudno im będzie zawrzeć jeszcze większy. W końcu co jeszcze mogą dopisać do listy naszych „kamieni milowych” u szyi? Czyli zakazywać używania pieców na węgiel i gaz oraz aut nie na baterie i nakazywać budowę wiatraków i fotowoltaiki będą tak samo szybko.

„Tylko”, niestety, aborcji „na żądanie” i LGBT za ich rządów dużo więcej trafi pod polskie strzechy. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Naboje tańsze
od jajek

Czy wiedzą państwo, że jajka są droższe niż amunicja? Tak się składa, że kupuję i jedno, i drugie (jako strzelec sportowy). Trudno dzisiaj, przynajmniej w Warszawie, znaleźć jajka za mniej niż 1,1–1,3 zł za sztukę, w zależności od gatunku. Również dlatego, że za sprawą nacisków różnego rodzaju ekoświrów ze sklepów zniknęły praktycznie najtańsze jajka z chowu klatkowego.

Wiceminister Patkowski mówi, że inflacja spadnie poniżej 10 proc., ale przezornie nie ogłasza kiedy

Amunicja – najbardziej typowa pistoletowa, standardowa, Luger 9x19 mm, czyli najczęściej stosowany centralny zapłon – także w ciągu ostatnich trzech lat ogromnie zdrożała. A strzelcy kupują jej jednak zwykle więcej, niż kupuje się jajek, bo zwykle za jednym razem zużywa się 50–100 nabojów, więc kupuje się od razu kilkadziesiąt albo i ponad 1000 sztuk. Otóż mnie udało się znaleźć amunicję elaborowaną (czyli pochodzącą z czegoś w rodzaju manufaktury), a taka zwykle jest najtańsza,

po 99 gr za nabój. Zatem taniej jest dziś strzelać niż jeść jajka.

Ale oto pan wiceminister finansów Piotr Patkowski oznajmił niczym niegdyś Joanna Szczepkowska: „Proszę państwa, w marcu zaczęła się w Polsce dezinflacja”. Ten neologizm jest chyba autorskim tworem pana Patkowskiego, który optymistycznie przewiduje, że inflacja spadnie nawet poniżej 10 proc., ale też przezornie nie ogłasza kiedy. Cóż, tu pewnie ma rację: kiedyś taki moment faktycznie nastąpi.

Wciąż jednak można odnieść wrażenie, że w opowieściach o inflacji trzy rzeczy nie wybrzmiewają wystarczająco mocno. Pierwsza to fakt, że inflacja to w gruncie rzeczy spadek siły nabywczej pieniądza, spowodowany przez jego nadmiar na rynku. A za to odpowiada rząd, zwłaszcza jeśli – tak jak w Polsce – prowadzi suwerenną politykę monetarną. Druga to głęboko niemoralny charakter inflacji. Wysoka inflacja jest po prostu ograbianiem ludzi z ich pieniędzy – powtarzam: zawinionym przez rząd. Trzecia to nieświadomość obywateli, że spadek inflacji nie oznacza bynajmniej spadku cen, a jedynie spadek tempa ich wzrostu. Mówiąc obrazowo: jajka nie będą już nigdy kosztowały poniżej złotych za sztukę. Ale o tym od pana Patkowskiego już się państwo nie dowiedzą. ©©

Zakaz kotłów gazowych



Tomasz Cukiernik

Komisja Europejska planuje wprowadzić zakaz montowania kotłów zużywających paliwa kopalne



FOT. ANDRZEJ STOK

Europejskie Stowarzyszenie Pomp Ciepła opublikowało na swojej stronie internetowej ciekawą mapkę. Zaznaczono na niej kraje, które wprowadzają zakazy korzystania z kotłów na paliwa kopalne (węgiel kamienny, gaz ziemny, olej opałowy). I tak w Holandii zakaz podłączania nowych budynków do sieci gazowej istnieje już od 2018 r., a od 2026 r. hybrydowe pompy ciepła będą standardem obowiązkowym. W Austrii sprzedaż olejowych i węglowych systemów grzewczych została zakazana już od 2020 r., a nowych kotłów gazowych – od 2023 r. Prawo zakazuje też naprawy tych instalacji. Wszystkie funkcjonujące systemy grzewcze na węgiel i olej opałowy mają zostać wyeliminowane do 2035 r., a na gaz – do 2040 r. W belgijskiej Flandrii już w 2021 r. zakazano podłączania instalacji gazowych do dużych nowych budynków, a od 2025 r. zakazano tego we wszystkich nowych budynkach. We Francji od połowy 2022 r. zakazano montażu kotłów olejowych we wszystkich budynkach, a od 2023 r. – kotłów gazowych we wszystkich nowych budynkach. W Niemczech od 2024 r. zostanie zakazana instalacja kotłów na paliwa stałe jako jedynych w budynku. Z kolei w Irlandii od tego roku zakazuje

się montażu kotłów gazowych i olejowych w nowych budynkach, a w istniejących – prawdopodobnie od 2025 r.

CHODZI O BIZNES

Dla Brukseli to za mało, dlatego chce wdrożyć regulację na szczeblu unijnym. W ramach Europejskiego Zielonego Ładu, wymyślnego pod pretekstem przeciwdziałania zmianom klimatycznym i ratowania planety, oraz unijnej strategii REPowerEU, będącej odpowiedzią na rosyjską inwazję na Ukrainie, a realizującą m.in. odchodzenie od rosyjskiego gazu ziemnego, Komisja Europejska planuje wprowadzić ogólnounijny zakaz instalacji kotłów węglowych, olejowych i gazowych. Zakaz taki odnośnie do nowego budownictwa miałby zacząć funkcjonować od 2027 r., a w przypadku modernizowanych domów – trzy lata później. Pomysł nie wprowadza konieczności wymiany już zainstalowanych kotłów na paliwa kopalne. Na razie.

– Teraz oczywiście w związku z rosyjską agresją 24 lutego [2022 r.] stajemy w obliczu sytuacji, w której celem politycznym samym w sobie jest stopniowe wycofanie lub przynajmniej zmniejszenie zużycia gazu ziemnego znacznie szybciej, ponieważ wiemy, że nie jesteśmy w stanie w rozsądnym czasie po akceptowa-

nych cenach zastąpić całego rosyjskiego gazu innym – powiedział Stefan Moser z Departamentu Energii Komisji Europejskiej. – Z tego powodu istnieje bardzo silny argument przemawiający za tym, że rok 2027 to o wiele za późno. Nie powinno być już finansowania rozwiązań, których już nie potrzebujemy, i powinniśmy szybciej z tego wyjść.

Nie chodzi jednak oczywiście tylko o Rosję. Chodzi przede wszystkim o biznes. Już jakiś czas temu Komisja Europejska zwracała uwagę na zagrożenie utraty potencjału przemysłowego w kolejnym sektorze. Eurokratam nie podoba się to, że „unijny rynek paneli słonecznych i pomp ciepła odnotowuje w ostatnich latach rosnący import z Azji”. Tymczasem światowy rynek paneli fotowoltaicznych jest prawdopodobnie największą porażką Unii Europejskiej w kształtowaniu polityki przemysłowej. Do ok. roku 2010 firmy z krajów członkowskich miały przewagę nad pozaunijną konkurencją, co było związane m.in. z unijnymi dotacjami. – Obecnie liderem technologicznym w branży energii słonecznej są Chiny. Nie powinniśmy powtarzać tego błędu – powiedziała w kontekście pomp ciepła Jutta Paulus, niemiecka eurodeputowana z Zielonych. Widzimy więc, że celem montowania fotowoltaiki był nie-

miecki zarobek. Podobnie już teraz rynek pomp ciepła jest napędzany pieniędzmi podatników. Zakupy tych urządzeń dotowane są np. przez rząd Niemiec, Austrii czy Holandii. Do 2030 r. na dofinansowanie pomp ciepła dla właścicieli domów holenderski rząd będzie przeznaczał 150 mln euro rocznie.

Unia Europejska skrupulatnie zaplanowała, że do 2026 r. w krajach członkowskich zostanie zainstalowanych ok. 20 mln pomp ciepła, a do 2030 r. – prawie 60 mln. Zyskają na tym przede wszystkim wspierane przez rząd w Berlinie firmy z Niemiec, które są wiodącymi producentami tych urządzeń w Europie. Na przykład koncern Viessmann, drugi największy producent pomp ciepła w Europie, już wiele zainwestował, a w najbliższych latach planuje zainwestować w tę technologię i inne zielone rozwiązania co najmniej 1 mld euro. Inny niemiecki producent WOLF pod koniec 2021 r. podwoił moce produkcyjne pomp ciepła. Wśród czołowych dostawców pomp ciepła na polskim rynku połowa to firmy niemieckie (m.in. Blaupunkt, Vaillant, Viessmann, Heiztechnik, Buderus), choć na rynku działają też firmy polskie (np. Hewalex, Defro).

DOTACJA NA KOTŁY

Absurd polega na tym, że w Polsce dotychczas hojnie wspierano – zarówno dofinansowaniami unijnymi, jak i krajowymi – wymianę kotłów węglowych na gazowe jako te bardziej przyjazne środowisku. Te programy dotacyjne nadal funkcjonują. W ramach rządowego programu „Czyste powietrze” nadal można dostać dotację nie tylko na kupno kotła gazowego czy olejowego, lecz także węglowego (wyższej klasy). W ciągu ponad czterech lat istnienia programu prawie 40 proc. wnioskowanych źródeł ciepła to były kotły gazowe, a kotły węglowe stanowiły ponad 12 proc. Tymczasem eurokraci chcą, aby od 2030 r. wszystkie nowe domy były zeroemisyjne. To taki budynek, który nie emituje dwutlenku węgla i jest zasilany czystą energią z odnawialnych źródeł, czyli bez kotłów na paliwa kopalne. Na razie nic nie jest przesądzone i prace legislacyjne trwają, choć wszystko idzie w jednym kierunku.

Całkiem niedawno, bo jeszcze w grudniu 2021 r., Komisja Europejska w ra-

mach tzw. taksonomii Unii Europejskiej proponowała, by gaz ziemny uznać za zielone źródło energii. W ramach „klasyfikacji zrównoważonego finansowania” na co najmniej następne 10 lat miała zostać otwarta droga do inwestowania w ten surowiec (m.in. poprzez unijne dotacje). W ten sposób niszczący planetę – zdaniem eurokratów – gaz ziemny miał zastępować węgiel nie tylko w domowych instalacjach grzewczych, lecz także w energetyce. Plan Berlina był taki, by poprzez rurociągi Nord Stream Niemcy zaopatrywały w rosyjski gaz niemal całą Europę. W trakcie budowy rur na dnie Bałtyku polski sprzeciw w Brukseli nikogo nie interesował. Teraz gaz stał się wrogiem numer jeden, bo Niemcy nie mają jak na nim zarabiać. Gazoport w Świnoujściu i Baltic Pipe już nie są niepotrzebne, bo wszyscy mają montować niemieckie pompy ciepła.

Aby projekt zakazu instalowania kotłów na paliwa kopalne wszedł w życie, musi zostać jeszcze zaakceptowany przez Parlament Europejski i Radę Europejską. Negocjacje trwają. Potem na polski grunt regulacje przekopiuje polski rząd, tak jak na bieżąco robi to ze wszystkimi innymi unijnymi przepisami utrudniającymi życie Polakom.

Polityka Unii Europejskiej zmienia się jak w kalejdoskopie. Jedno pozostaje niezmiennie i sprowadza się do podstawowej zasady rządzącej Brukselą: tak czy inaczej ma prowadzić do tego, by zawsze zarabiali Niemcy. Gdyby chodziło o rosyjską agresję, to Brukseli nie przeszkadzałby gaz importowany przez gazoport i Baltic Pipe (na dodatek niedawno uznany przez Komisję Europejską za zielone paliwo). No bo skoro Polska ma gazoport i Baltic Pipe, a więc dostęp do gazu nierosyjskiego, to dlaczego miałyby zakazywać palenia tym surowcem? Otóż zakaz ma być, bo Brukseli chodzi o to, że na nierosyjskim gazie nie zarabialiby Niemcy, a na razie obu rurociągów Nord Stream nie da się ponownie uruchomić nie tylko z przyczyn politycznych, lecz także technicznych. W tej sytuacji gaz w całej Unii nagle przestał być zielony, a stał się ostro zwalczany przez Ber., tzn. Brukselę. No więc teraz, skoro cała Europa nie może kupować z Niemiec rosyjskiego gazu, to przynajmniej będzie montowała niemieckie pompy ciepła.

Pretekst w postaci ratowania planety

się nie zmienia. Wystarczyło tylko nieco inaczej postawić akcenty. No i już wiemy, dlaczego Niemcy do czasu wybuchu wojny na Ukrainie nie wybudowały żadnego gazoportu.

BAJKI DLA GRZECZNYCH DZIECI

I tak propozycja Komisji Europejskiej jest wspaniałomyślna. Nie tylko Moser uważa, że rok 2027 to zbyt późno. Międzynarodowa Agencja Energii obliczyła, że kotły gazowe powinny zostać zakażane nie później niż w 2025 r., aby Unia Europejska była na dobrej drodze do osiągnięcia swoich celów klimatycznych w 2030 r. Realizacja Europejskiego Zielonego Ładu ma ograniczyć emisję gazów cieplarnianych o 55 proc. do 2030 r., a osiągnięcie neutralności klimatycznej Unii Europejskiej eurokraci zaplanowali na rok 2050. Widać wyraźnie, że pretekst czy to w postaci ratowania planety, czy konieczności rezygnacji z gazu rosyjskiego to wyłącznie bajki dla grzecznych dzieci. Żongluje się nimi według mądrości etapu. Tu chodzi wyłącznie o wymuszanie na krajach członkowskich Unii Europejskiej, by realizowały długoterminową politykę energetyczną, która będzie się sprowadzała do tego, by zarabiała na niej Niemcy.

A co z ludźmi, którzy mają w domach kotły gazowe (choćby te, których montaż sfinansowano pieniędzmi podatników poprzez program „Czyste powietrze”)? Brukseli to nie interesuje. Jeśli za kilka lat taki kocioł się zepsuje, to nie będzie już można zainstalować nowego (być może Komisja Europejska w ogóle zakaze ich produkcji i sprzedaży). Trzeba będzie zamontować inne źródło ciepła (przede wszystkim pompy ciepła). Poza tym pojawi się problem z gazem. Dojdzie bowiem unijny zakaz spalania paliw kopalnych, które nie spełniają wymogów dyrektywy o promocji energii ze źródeł odnawialnych. Mamy do czynienia z tak głęboką ingerencją państwa (a konkretnie międzynarodowego tworu) w życie prywatne, że komunistom się to nawet nie śniło. Kto by jeszcze w 2004 r., kiedy wchodziliśmy do Unii Europejskiej, pomyślał, że na arenie międzynarodowej będzie roztrząsane i decydowane, jaki piec ma sobie zamontować Kowalski we własnym domu?



Na przednówku



Joanna Bojańczyk

Jedzenie z jesiennych zbiorów się kończy, na nowe trzeba czekać do lata. Przednówek przez wieki był widmem głodu nadchodzącego wczesną wiosną. Ratowano się dziko rosnącymi roślinami, nasionami. Czy dziś znowu wejdą do menu w glorii powrotu do natury?

Z kilkunastu zapytanych osób w grupie wiekowej 16–30 tylko jedna znała to słowo – osoba z wykształceniem historycznym, może dlatego. Pozostali nigdy nie słyszeli o „przednówku”. Zjawisko wyparowało z rzeczywistości, a słowo z języka. Przestało być potrzebne. Jest koniec

lutego, jedzenia pełno w supermarketach i lodówkach – kogo martwi, że kartofle zaczynają kwitnąć i robią się miękkie? Mamy przecież kartofle z Maroka.

W domu mego dzieciństwa – były to lata 60. – już od lutego zaczynały się narzekania, że z jedzeniem teraz będzie marnie. „Nie ma witamin” – mówiła mama. A nie mieszkaliśmy na biednej wsi, tylko w podwarszawskim Milanówku, rodzice należeli do – jak się wtedy mówiło – „inteligencji pracującej”. Biedy nie było, ale nie było też sushi, marakui i prosciutto... Menu mieliśmy takie, jakie wszyscy wtedy mieli.

W zimie z jarzyn: kapusta, marchew, ogórki kiszzone. Kopcowane warzywa nieźle się przechowywały, potrafiły przetrwać do kwietnia. Kupowanie worka kartofli jesienią, zamiast potem na kilogramy, było rozpowszechnione, bo jeśli nie mieszkało się w blokach, to każdy miał zimną piwnicę. Jednak gdy zbliżał się marzec, kartofle zaczynały kwitnąć i załatywały stęchlizną, marchew robiła się miękka, a cebula potrafiła spleśnieć.

Piwnica to nie była chłodnia spożywcza z temperaturą i wilgotnością regulowanymi komputerowo. Mrożonki pojawiły się w Polsce dopiero w latach 70., kiedy Gierek uruchomił zagraniczne kredyty i wybudowano chłodnie. Zresztą lodówki nie były aż do końca lat 60. urządzeniem ogólnodostępnym. Dzisiaj na obiad kasza i jajko sadzone – mówiono w domu – jedzenie przednówkowe. Dobrze znałam to słowo, wracało co roku.

CHLEB Z PERZU

Przednówek. Zima się skończyła, wiosna jeszcze nie nadeszła. Skończyło się jedzenie. Trzeba czekać do maja na pierwsze nowalijki. Pojawiają się rzodkiewki, szczypiorek i luksus – pomidory. Szklarniowe – folii nie było, a ogrzewanie szklarni w czasach kłopotów z węglem było kosztowne i kłopotliwe, bo nigdy nie było wiadomo, czy węgiel będzie czy nie.

Słowo „bieda” dziś wydaje się nas nie dotyczyć. Bieda jest w Afryce, w Polsce nikt nie cierpi na głód.

CO JEŚĆ, GDY ZIMA SIĘ SKOŃCZYŁA, A WIOSNA JESZCZE NIE NADESZŁA

Mamy stołówki dla bezdomnych oraz jadłodzielnie, do których można oddać nadmiar jedzenia. Potrzeba szanowania żywności i niemarnowania jej staje się coraz większa. Mamy paradoks: żyjemy w czasach nadprodukcji żywności, ale na skutek nierównej dystrybucji dóbr wciąż istnieją rejony świata, gdzie panuje głód.

Jednak jeszcze w czasach II RP przednówek co roku wystawiał na ciężką próbę ludność wiejską.

„Mieszkaliśmy w małym domku drewnianym krytym słomą z jedną izbą i małą sionką, przybudowana mała komórka służąca jako spiżarka. Ziemię, jaką posiadaliśmy, to 0,5 ha, tak że trudno było nam żyć. Latem matka ciągle pracowała u gospodarzy przy obróbce ziemniaków, przy żniwach, sianokosach oraz wykopkach. Najtrudniejszym okresem to był przednówek. Chleb i ziemniaki oraz kapusta stanowiły główny pokarm oraz mleko, którego też nie zawsze było” – pisze we „Wspomnieniach” Jan Serafin, dziecko małopolskich chłopów z Małopolski (tekst z zasobów cyfrowych Muzeum Historii Polski). To rzeczywistość lat 30. XX w.

Jednak od wieków, które opisuje Jan Stanisław Bystron w książce „Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wieki XVI–XVIII”, niewiele się zmieniło.

„Powszechnie jedzono perze, chwast polny, którego części podziemne suszono, siekano lub mielono i z mąki tej wypiekano chleb; stopniowo chleb ten stał się wyłącznie potrawą głodową. Używano szczawiu, młodej pokrzywy, lebiody i długiego szeregu innych jeszcze roślin [...]. Z roślin wodnych spożywano orzech wodny, niegdyś nierównie częstszy niż obecnie. Jadano powszechnie orzechy laskowe, w czasie głodu żywno się brukwią i żółędzią”.

POKRZYWA ZWYCZAJNA

Lubimy wspominać staropolską kuchnię razem z jej budzącymi podziw ekscesami. Jarzabki, bażanty, jelenie nadziewane dropiami. Obok tego wszystkiego istniał świat równoległy, mniej obfity. Zwłaszcza gdy nadchodził przednówek. O jadłospisie podlaskiej wsi pisze Ewa Pirożnikow w pracy naukowej „Lasy jako źródło pożywienia przednówkowego na Podlasiu”.

„Codzienne pożywienie ludności wiejskiej na Podlasiu i Mazowszu było

skromne i dość jednostajne. Podstawę pożywienia stanowiły ziemniaki, kiszona lub świeża kapusta, potrawy mączne oraz chleb; mięsa i nabiału jadano niewiele. Dawniej na Podlasiu wszystkie trzy główne posiłki niewiele różniły się od siebie; składały się z jednej lub dwóch zup, ziemniaków kraszonych słoniną w dni zwykłe lub olejem lnianym albo konopnym w dni postne. Do każdego posiłku jedzono chleb. Dziko rosnące rośliny wykorzystywano nie tylko w okresach głodu i przednówek, ale także jesienią i zimą w celu oszczędzania wartościowszych produktów, aby opóźnić przednówek. Mieszkańcy Podlasia zachowali w pamięci użytkowanie kulinarne 142 gatunków i sześciu rodzajów dziko rosnących roślin. We wsiach, których grunty sąsiadowały z lasem, 49 gatunków roślin zbieranych w lesie często stanowiło podstawę pożywienia na przednówku oraz w okresach głodu. Najczęściej zbierano pokrzywę zwyczajną oraz owoce maliny i borówki czarnej. Wiosną często pozyskiwano sok brzozy. Jako dodatek do mąki chlebowej były używane odgoryczone żółędzie, siekane i wysuszone liście pokrzywy, tataraku, kora brzozy, nasiona sosny oraz owoce lipy. Obecnie na Podlasiu nadal zbiera się dziko rosnące rośliny jadalne, lecz zmieniła się rola tych roślin w pożywieniu oraz sposób ich użytkowania. Dzieci zdobywały pożywienie poza domem nie tylko w czasie pasienia, lecz także »jak nie wystarczyło w domu obiadu, to dzieci w lesie musiały się najeść«. Dzieci poza domem spożywały w lesie owoce, pączki, młode pędy, żywicę oraz nektar kwiatów 34 gatunków. Największe znaczenie w pożywieniu dzieci miały soczyste owoce – »porzeczki to zbierali dzieci nawet jeszcze zielone« oraz liście szczawika zajęczego, orzechy laskowe i sok brzozy”.

Przednówek był nie tylko częścią naszej rodzimej rzeczywistości. „Głodowy sezon” lub chudy sezon – tak język angielski określa czas, gdy zapasy żywności z ostatniego zbioru się kończą, a nowe jeszcze się nie pojawiły. Píše o tym raport Światowej Organizacji Zdrowia: „Chudy sezon może trwać kilka miesięcy i jest szczególnie trudny dla rodzin, które żyją tylko z rolnictwa. Ojcowie rodzin próbują znaleźć pracę, matki starają się tak

gospodarować jedzeniem, żeby przetrwać do nowych zbiorów. Całe rodziny czasem muszą się udać na poszukiwanie jedzenia. Dieta dzieci jest mniej urozmaicona, przez co są słabsze i bardziej chorowite. W wielu krajach chudy sezon zaczyna się pod koniec maja lub na początku czerwca i może trwać do listopada. W regionach, w których toczą się wojny, zbiory bywają wcześniejsze i wtedy przednówek się wydłuża. Jemen, Sudan, Madagaskar wciąż mają problemy z zaspokojeniem potrzeb żywnościowych”.

Dzisiaj związek z kalendarzem przyrody został zerwany. Przyroda nie wyznacza ani trybu życia, ani sposobu żywienia. W supermarkecie kupuje się truskawki w grudniu z Maroka, śliwki w marcu z Chile, pomarańcze przez cały rok. Nad kartoflami, włoszczyzną, burakami nikt się nie zastanawia. Są zawsze, prawda? Kto je wyhodował i kiedy zebrał – nikt nie wie i tylko nieliczni foodies się tym interesują.

W czasach, kiedy nie było dietetyków i amerykańskich ekspertów od wymyślania nowych metod zdrowego żywienia, ludzie na wsi instynktownie – lub słuchając rad starszych – znajdowali w swoim otoczeniu rośliny z niezbędnymi dla organizmu składnikami. Nie mieli pojęcia, co one zawierają, ale wiedzieli, że dzięki nim mogą przeżyć. Inna sprawa, że otoczenie to było znacznie bardziej naturalne, nieskażone chemią, jak dzisiaj. Teraz obserwujemy powrót do niektórych z dawnych zasad, jest cała masa poradników, które pomagają znaleźć jadalne rośliny na łąkach i w ogrodach, których kwitnienie przypada właśnie na wczesną wiosnę. „Jadalne rośliny dziko rosnące”, „Smak dzikich roślin”, „Zioła z polskich łąk”, „Powrót do natury” jest na ustach wszystkich. Im mniej natury, tym więcej gadania o niej.

Trend przewidział parę lat temu poseł Stefan Niesiołowski, radząc jeść szczaw – zdrowy i dostępny. Obecnie lista smacznych roślin się wydłużyła. Mniszek lekarski, bluszczyk kurdybanek, podagrycznik, czosnaczek, jasnota biała, dzięki bez czarny, koniczyzna... Zupę z pokrzywy serwuje się w maju w modnych restauracjach, czosnek niedźwiedzi figuruje w wyszukanych menu. Może trzeba spróbować, zanim przerzucimy się na robaki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNY DZWONEK DO DRZWI NETATMO

Swietne wzornictwo, brak konieczności opłacania abonamentu oraz wsparcie dla HomeKit (Apple Home) – to największe zalety urządzenia łączącego w sobie inteligentny wideodomofon z tradycyjnym dzwonkiem do drzwi.

Niewielki, bardzo dobrze wykonany Netatmo Doorbell poinformuje, że u drzwi (lub przy furtce) stoją goście, jeszcze zanim zdążą użyć dzwonka. Jego przewagą nad tradycyjnym dzwonkiem jest również to, że urządzenie francuskiej firmy zaalarmuje użytkownika także wówczas, gdy u jego bram staną nieproszeni goście, którzy dzwonka wcale używać by nie chcieli. Dzięki technologii rozpoznawania ludzkich postaci urządzenie może wysłać alert do użytkownika, jeśli wykryje osobę w okolicach inteligentnego dzwonka. Urządzenie można więc wykorzystywać jako jedną z kamer do monitoringu terenu wokół domu. Aby zmniejszyć do minimum liczbę fałszywych powiadomień w aplikacji, można ustawić preferowaną „strefę wykrywania intruzów”.

Testowane urządzenie pozwala również na swobodną rozmowę z kurierem – nawet wówczas, gdy akurat nie ma nas w domu. Listonosza można więc poprosić np. o przełożenie paczki przez płot, nawet jeśli przebywamy akurat na drugim końcu Europy, a listonosz – i wraz z nim sąsiedzi i obserwujący posesję potencjalni zło-

dzieje – będzie przekonany, że ktoś w domu jednak jest.

Kamera rejestruje wykryte zdarzenia w maksymalnej rozdzielczości 1080p i oferuje dobrej jakości obraz w formacie portretowym (9:16) zarówno w dzień, jak i w nocy (jakość obrazu zależy w tym przypadku również od jakości połączenia internetowego). Powiadomienia dotyczące wykrycia osoby przed domem przychodzą błyskawicznie, zaledwie kilka sekund od wykrycia ruchu. Jakość dźwięku podczas rozmowy z gośćmi jest bardzo dobra.

Netatmo Doorbell można podłączyć, wykorzystując tradycyjną instalację dzwonnkową. Przed zakupem urządzenia warto się upewnić, czy w miejscu, gdzie ma być ono zainstalowane, na pewno jest dobry zasięg wi-fi 2,4 GHz, bo bezprzewodowy Internet będzie niezbędny do korzystania z kamery wbudowanej do wideodomofonu Netatmo. Producent deklaruje, że urządzenie spełnia kryteria IP44, co oznacza,



że inteligentny dzwonek powinien przetrwać w polskich warunkach atmosferycznych, nawet jeśli jest zamontowany na zewnętrznej elewacji.

A wady? Minusem jest brak możliwości ciągłego nagrywania tego, co dzieje się przed domem, 24/7 (nawet wówczas, gdy nie dzieje się nic). Podobne produkty konkurencji – na baterie – są o wiele łatwiejsze w montażu niż dzwonek Netatmo (trzeba jednak pamiętać o tym, że u konkurencji baterie lubią się rozładować akurat wtedy, gdy np. wyjeżdża się na długie wakacje), z kolei w przypadku Netatmo Doorbell, gdy gadżet zostanie już zamontowany, o niczym pamiętać nie trzeba.

Największą wadą testowanego domofonu

jest więc jego cena, która wynosi aż 1299 zł. Za te raz wydane pieniądze otrzymuje się jednak dobry inteligentny dzwonek z kamerką i zdalnym dostępem z dowolnego miejsca na świecie bez konieczności opłacania dodatkowego abonamentu. @@

Jacek Przybylski

SUPERSZYBKIE ROUTERY!

Niemiecka firma AVM zaprezentowała na targach MWC w Barcelonie kilka nowych, superszybkich routerów. FRITZ!Box 5690 XGS to router światłowodowy, który może osiągać prędkość transmisji danych do 10 Gb/s (!). Urządzenie jest zgodne z wydajnym standardem Wi-Fi 7 (czyli IEEE 802.11be), obsługuje również urządzenia Smart Home, a także wspiera technologię Zigbee i jest kompatybilne z Matter. Z kolei internautom, którzy mieszkają z dala od łączy światłowodowych, niemiecki producent proponuje router FRITZ!Box

6860 5G, który obsługuje 5G oraz LTE i jest w stanie osiągnąć prędkość transmisji na poziomie 1,3 Gbit/s. Urządzenie jest zgodne ze standardem Wi-Fi 6. Polskie ceny urządzeń nie są jeszcze znane.



JAK PROSTO ZMIEŃĆ SMARTFON W TELEFON SATELITARNY

Motorola Defy Satellite Link to niewielkie urządzenie, które sprawia, że niemal każdy smartfon może korzystać z połączenia z sieciami satelitarnymi. Aby zmienić zwykły telefon w telefon satelitarny, wystarczy połączyć się poprzez Bluetooth z ważącym zaledwie 70 g gadżetem, który ma certyfikat IP68 (czyli jest pyło- i wodoszczelny), a także jest w stanie bez problemu pracować w temperaturach od -30 do 55 st. C. Cena samego urządzenia ma wynosić 119 euro (równowartość 556 zł), ale aby móc za jego pośrednictwem przysyłać wiadomości, wymagane jest wykupienie oddzielnych abonamentów. @@

Jacek Przybylski

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wilcze gniazda braci Stadnickich



JACEK KOMUDA

Po Stanisławie Stadnickim z Łańcuta, zwanym „Diabłem”, pozostała rodzina, żona diablica i synowie, którzy słusznie zasłużyli na miano „Diabłat”. Do dziś istnieją miejsca, w których pozakładali zbójckie siedziby. Zaczniemy od Łańcuta, który odziedziczył, a raczej wydał pozostałym braciom Władysław Stadnicki, najstarszy syn „Diabła”. Choć wydaje się to dziwne, to prawdopodobnie położył on podwaliny pod dzisiejszy zamek Lubomirskich i Potockich. Otóż nie mając już fortecy na Łysej Górze zwanej Piekłem i spalonej w 1608 r. przez ludzi starosty Łukasza Opalińskiego, zbudował w miejscu dzisiejszej południowej części zachodniego skrzydła obronny dwór z wieżą. Po 1626 r. Stanisław Lubomirski rozbudował go zaś do postaci zamku obronnego otoczonego fortyfikacjami.

To właśnie z tego fortalitium Władysław prowadził wojnę z Konstantym Korniakiem, Mikołajem Spytkiem Ligęzą z Rzeszowa i okoliczną szlachtą. Tutaj też do czekał się krwawego końca. W 1624 r. wyruszył przeciwko niemu starosta Marcin Krasicki. Zebrałszy 600 żołnierzy, 21 grudnia zdobył Łańcut, z którego swawolna kompania Stadnickiego uciekła bez walki. Władysław uszedł do Leżajski, chcąc znaleźć schronienie w klasztorze o. Bernardynów. Jednak pojmany i odstawiony z powrotem do Łańcuta został wyprowadzony w nocy na brzeg Wiśłoka i rozstrzelany.

Najmłodszy ze Stadnickich – Stanisław – sprzedał w 1626 r. połowę dóbr łańcutkich Stanisławowi



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Lubomirskiemu, drugą połowę dwa lata później, i przeniósł się do Dąbrówki (dziś Dąbrówka Starzeńska) pod Dynowem, gdzie siedział w zamku, którego ruiny można podziwiać i dziś. Prowadził z niego liczne sprawy sądowe z siostrą Felicjaną i wadził się z sąsiadami, wreszcie sprzedał posiadłość i wyjechał do Małopolski.

Średni brat – Zygmunt Stadnicki – po osiągnięciu pełnoletności przejął ze spuścizny starego „Diabła” klucz w Żurawicy pod Przemysłem, który tak naprawę należał się jego siostrze Felicjanie. Tutaj prowadził przez wiele lat hultajską działalność, poczynając od awantury ze starszym Władysławem. Najpierw napadł na skutki brata pod Kazimierzem. Później, kiedy próbował pojednać się z bratem, napadł w Żurawicy, koło kościoła, na jego sługę Walentego Głuchowskiego, wpadł za nim do świątyni i zabił z muszkietu, odbierając pieniądze, które wiozł dla brata, rozpoczynając tym samym długoletnią wojnę. W 1621 r., otrzymawszy list przypowiedni na chorągiew husarską, stawiał się wprawdzie na popis wojska pod Glinianami, ale już spod Chocimia zawrócił, aby porwać swą ukochaną Izabelę Horostajównę, zamężną z Jakubem Cieszanowskim. Zygmunt urządził na małżeństwo zasadzkę w tejże samej Żurawicy, w której mieszkał, zaprosił siłą Cieszanowskiego na ucztę, a kiedy ten, nie będąc pewien

swego życia, się wymknął, Stadnicki dogonił go w Radymnie i zmusił do picia, kazał służbie zastrzelić z półhaków.

Zygmunt nie usiedział zbyt długo w Żurawicy, ponieważ musiał oddać ją Konstantemu Korniaktowi, z którym bracia przegrali długoletni proces przetykany zajazdami. Przeniósł się zatem do Rudawki na Pogórzu Przemyskim, położonej w okolicach Birczy, gdzie chronił się przed sprawiedliwością i wyprawił na sąsiadów. Prawdopodobnie istniał tam obronny zameczek, po którym nie ma dziś śladu. Stadnicki złupił zamek w Stryju, zajeżdżał szlachtę, porywał ludzi i trzymał w więzieniu, aby wymusić okup. Można by powiedzieć zatem, że mała Rudawka stała się na pewien czas Łańcutem. Powiadano, że pewnego dnia własną ręką zabił we wsi 25 ludzi! Napadł na czele bandy Wołochów i Węgrów na wieś Borynia, gdzie obrabował dzierżawcę Marka Wysoczańskiego, zajeżdżał Mateusza Mrocza w Skorodnem, złupił miejscową cerkiew, w której gospodarz ukrył kosztowności.

Sprytny Stadnicki obstawiał wszystkie drogi do urzędu grodzkiego w Przemysłu, aby nikt nie zdołał wnieść przeciwko niemu protestacji. Zaatakował braci Dębickich, ujmując się za rzekomą krzywdę niejakiego Czarnockiego. Grasował na Śląsku, gdzie posiadał dobra odziedziczone po matce. Jednak kiedy w 1622 r. zamordował dwóch kupców Stanisława Lubomirskiego, dojechał się sprawiedliwości. Hetman pozwał go bowiem na sąd wojskowy, a kiedy Stadnicki się nie stawiał, wyruszył na Rudawkę starosta Marcin Krasicki, zdobył zameczek i wykopał liczne skarby, które się tu znajdowały. Stadnicki uciekł na Śląsk, gdzie zginął w jakimś zwadzie. Na szczęście. ©©

RYS. MART

I RZECZYPOSPOLITA

● Łańcut



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kuchnia litewska

Od ambasadora Litwy w Polsce Eduardasa Borisoasa, który zna nasze zamiłowanie do kuchni i dawnych przepisów, otrzymaliśmy ciekawą książkę – „Dania stołu Radziwiłłów”. Przykładowe jadłospisy dla członków rodów książęcych i dworu zachowały się niemal cudem, ponieważ zazwyczaj po wydaniu posiłków takowe wyrzucano.

Podczas uczyć nie każdy jadł to samo. Posiłki różnicowano nie tylko ze względu na wiek biesiadnika, lecz także na pozycję na dworze. I tak np. pan domu jadł barana z różną, księżna pani sztukę mięsa z chrzanem, a książęta młodszy pulardę pieczoną. Kapela jadła krupnik, sztukę mięsa i buraczki, a praczki tylko krupnik i buraczki.

Ciekawie brzmi jadłospis na styczeń 1873 r.: barszcz ze śledziem i uszkami, szczupak z rzepą podwędzany, sztokfisz z pieca, karp matelot z węgorem, minogi z Kurbulonu, baran po angielsku, kuropatw para i pularda pieczona.

Kuchnia litewska wykorzystuje zasoby pól i lasów, a więc mąkę i ziemniaki, sery, leśne grzyby i miód, zioła, przyprawy i czosnek. Często są to dania dość kaloryczne, ale za to bardzo smaczne. Na ogólną charakterystykę kuchni litewskiej mają też wpływy kuchni państw sąsiedzkich – polskiej, ukraińskiej, tatarskiej i żydowskiej, a nawet niemieckiej oraz tureckiej, bo z Turcji przywożono orientalne przyprawy. W XVII w. na Litwę dotarły ziemniaki, które pomogły mieszkańcom tego kraju przetrwać trudne chwile głodu. Uprawa ziemniaka doskonale udawała się na tych terenach – stał się on zatem ogólnie dostępny i powszechnie wykorzystywany np. do popularnych zapiekanych ziemniaczanych. Litwini uwielbiają

chleb, szczególnie ten żytni na zakwasie, ciężki, z dodatkiem słoju – ciemny o charakterystycznym smaku doskonały do serów i wędlin. Często popijają zakwas chlebowy. To specjalny gazowany napój w kolorze ciemnego karmelu, wytwarzany przy produkcji chleba. Jest bardzo orzeźwiający i doskonale smakuje schłodzony.

Cepeliny litewskie z serem

- 1 kg ugotowanych ziemniaków
- ½ kg surowych ziemniaków
- 2–3 jajka, w zależności od rozmiaru
- 5–6 łyżek mąki ziemniaczanej
- 40 dag sera białego
- sól, pieprz, 4 łyżki oleju do smażenia
- świeży rozmaryn (kilka gałązek)
- 1 cebula pokrojona w kostkę i podsmażona na oleju

Ziemniaki surowe trzemy na tarce, odciskamy z nadmiaru wody. Ziemniaki ugotowane przeciskamy przez praskę. Potem łączymy, mieszamy, doprawiamy solą i pieprzem, dodajemy jajka i mąkę, wyrabiamy dość krótko.

Nadzie: ser biały doprawiamy solą, pieprzem i rozmarynem.

Ciasto po kawałku odrywamy i rozplaszczamy na dłoni, nadziewamy doprawionym twarogiem, zaklejamy tak, aby farsz się nie wydostał. Gotujemy we wrzącej wodzie ok. 10 min. Podajemy z cebulką podsmażoną i ze świeżym rozmarynem. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Szafa, czyli enigma

Niektórzy wiosną wpadają w szal sprzątaniami. Bo na Wielkanoc nie wypada, żeby było brudno. Chociaż za brudem też nie przepadam, to nie angażuję się w ten ruch, jednak rozumiem jego doniosłość uzasadnioną historycznie i religijnie. Nie bez powodu na obrazach mistrzów holenderskich widzimy te wszystkie panie z miotłami, szczotkami, czyszczące, zamiatające, szorujące. W XVII-wiecznej Holandii sprzątanie miało wymiar religijny.

Nie posuwam się aż tak daleko, ale gdyby państwo także mieli zamiar trochę sobie całkiem świecko podporządkować, to mam sugestie. Weźmy na początek porządek w szafie. Ważna rzecz, kiedy rano wpadamy w furję, nie mogąc znaleźć dwóch pasujących do siebie skarpetek. Każdemu się wydaje, że potrafi sam sobie poukładać swetry, T-shirty, powiesić koszulę. Błąd.

Nie można zdać się na amatorszczyznę. Dzisiaj żyjemy w czasach ekspertów. Od wszystkiego są eksperci. Kiedyś spacerowało się po lesie, dzisiaj z ekspertem chodzi się na terapię lasem; kiedyś się oddychało – dziś trzeba przejść specjalny kurs oddychania, z ekspertem rzecz jasna. Od porządków także są eksperci. Na nich Japonka Kondo zdobyła międzynarodową sławę i pieniądze, zwiżając majtki w ruloniki i wsadzając je do osobnych przegródek.



FOT. ADRIAN STOK

Tamto się działo w Ameryce – przejdźmy na teren lokalny. Portal Fashion Biznes (nasz krajowy) donosi: „Przeгляд szafy – bo tak się to oficjalnie nazywa, nadal jest dla wielu jedną wielką enigmą, choć w większych miastach usługa ta cieszy się coraz większym zainteresowaniem, a eksperci mogą się chwalić wieloma zleceniami. Jak to zwykle bywa – gdzie potrzeba, tam usługa. Szybkie tempo życia, brak czasu i przybywające ilości nowych rzeczy wpływają na wzrost zainteresowania profesjonalną pomocą w tym zakresie”.

Jak się do tego zabrać? „Ubrania powinno się selekcjonować pod kątem sezonu; kompletować konkretne sety zgodnie z zasadą szafy kapsułowej lub wieszać ubrania według rodzaju i koloru. Jeszcze inne mówią o tym, że ubrania, które zakładamy najczęściej, powinny znaleźć się w zasięgu wzroku” (pisownia oryginalna). Nowa usługa nie byłaby pełna, gdyby nie miała angielskiej nazwy: decluttering – odgracanie. „Celem declutteringu jest osiągnięcie porządku i harmonii w mieszkaniu”.

Tak, harmonia jest ważna. Ja na razie radzę sobie w tych rzeczach bez eksperta, ale nie wiem, jak to się skończy. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Globalny rząd w pandemii

Kiedyś tu wspominałem, że trwają międzynarodowe prace nad Traktatem Pandemicznym mającym zmienić Międzynarodowe Przepisy Zdrowotne (IHR). Żadna wojna nie zatrzymała tych młynów. Gdy przyjrzeć się opracowywanym dokumentom, wynika z nich, że społeczność międzynarodowa się godzi, by w momencie pandemii konstytucja WHO (Międzynarodowej Organizacji Zdrowia) zastępowała konstytucję każdego z krajów członkowskich. Szczególnie ważne jest, że ten mechanizm zaczyna funkcjonować od momentu ogłoszenia epidemii, o czym decyduje WHO. I jeżeli ona uzna, że jest pandemia (a widać po COVID-19, że przychodzi jej to wyjątkowo łatwo), to zaczyna działać cały pakiet ustaleń, wedle których praktyczna władza, nie tylko w zakresie zdrowotnym, przechodzi w ręce WHO. (WHO w czasach covidowych przestała być ciałem doradczym, a stała się ciałem zarządzającym – i wyraźnie chce to utrwalić).

Co więc będzie mogła WHO w każdym kraju, gdy jej samej zechce się ogłosić pandemię? Ma prawo wymagać określonych badań lekarskich, dowodów na stosowanie określonej profilaktyki, posiadanie szczepionki, śledzenia kontaktów, wprowadza kwarantanny, wprowadza globalne certyfikaty zdrowotne, formularze

lokalizacyjne pasażerów. Komisja Nadzwyczajna WHO może uchylić każdą decyzję państwa dotyczącą zdrowia, a uchylenie takie jest ostateczne. Traktat ten umożliwia WHO skrócenie lokalnych procedur dopuszczania leków do obrotu. To, że może nakazać cenzurowanie wiadomości, które uznaje za fałszywe, to już wisienka na sanitarystycznym torcie.

Wyciągnięto więc wnioski z ostatniej pandemii. Nie może być tak, że różne kraje robią po swojemu. Bo wtedy widać, która strategia działa – i np. taka Szwecja to wygląda jak tarantula na torcie. Nie zrobili nic z zaleceń WHO (oprócz szczepionek) i mają najmniej ponadnormatywnych zgonów. Tak nie może być.

Właśnie przekazujemy władzę (również Polska) nad światem organizacji przeżartej lobbieniem. Do naszych drzwi zapukają kosmici już zarządzani przez marksistę z Etiopii, bo takie są ideowe ciągoty szefa WHO. Dla naszych oficjeli to dobra oferta. W końcu będzie tak jak ze szczepionkami – oni niewinni, bo kupowała Unia. A niedługo wszystkie decyzje przejdą do WHO, w zbliżającej się naszej kampanii wyborczej nikt zaś o nie nie zapyta decydentów ani przyszłych posłów z partii pretendujących, czy się na to godzą. A czasu pozostało niewiele, bo traktat ma wejść w życie w 2024 r. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Karzełki i olbrzym

Napaść „Gazety Wyborczej” na władze Szpitala Położniczego im. Czerwiakowskiego w Krakowie za to, że nowy oddział tej placówki będzie nosić imię dr Wandy Półtawskiej, jest przykładem obsesji redaktorów na punkcie wybitnej lekarki. Obrona życia, afirmacja macierzyństwa, troska o godność kobiety i matki, propagowanie naturalnych metod poczęcia – wszystkie te zasługi dr Półtawskiej, które dyrekcja szpitala pragnie uhonorować, budzą wściekły sprzeciw redakcji „Gazety”.

Gdy rok temu radni Krakowa postanowili przyznać Wandzie Półtawskiej tytuł honorowego obywatela miasta, w lokalnym dodatku „Wyborczej” co kilka dni ukazywały się obrzydliwe teksty szydzące z jej wypowiedzi, apelujące do władz miasta o wycofanie kandydatury i zapowiadające protest pod krakowskim magistratem. Choć „GW” wytrwale mobilizowała sekcjarskie zastępy aborcjonistek, to na apel redakcji odpowiedziało jedynie pięć osób.

Obce uderzenie ma te same motywy. Ideolodzy z redakcji wiedzą, że mają do czynienia z osobą o potężnym autorytecie – zbudowanym na wiedzy, zawodowych kompetencjach, opartym na osobistych przeżyciach (jako więźniarka Ravensbrück była obiektem bestialskich eksperymentów medycznych). Zatem argumenty

dr Półtawskiej w walce o ochronę życia, o godność kobiety i poszanowanie jej ciała mają ogromną siłę przekonywania. Autorzy paszkwili liczą, że ośmieszenie powszechnie szanowanej pani doktor osłabi jej społeczne oddziaływanie. Zarzucają więc, że jej poglądy są radykalne, wsteczne i – uwaga – nie-naukowe. Dowodem mają być jej wypowiedzi o rozwodach antykoncepcji i aborcji jako patologii lub o tym, że w małżeństwach, stosujących antykoncepcję kłótnie i nerwice bywają częste. A przecież to nie są jakieś poglądy, tylko fakty.

O to, czy rozwydry są czymś normalnym, najlepiej zapytać dzieci. Porzucone pólseroty, zdradzone i zostawione żony, porzuceni mężowie, ojcowie pozbawieni kontaktu z dziećmi dobrze wiedzą, z czym to się wiąże. A antykoncepcja? Czasowe ubezplodnienie, okaleczanie ciała kobiety jest naturalne? Faszzerowanie hormonami to przecież gwałt na naturalnych funkcjach organizmu. Czy kobieta musi być dostępna dla mężczyzny przez siedem dni w tygodniu, jak piwo w lodówce? Czy nie odziera to jej z godności? Czy utrwalana latami taka relacja nie rodzi napięć, kłótni i nerwic?

Atak redaktorów „Gazety” na dr Półtawską jest jak napaść liliputów na olbrzyma. Karzełki ze swojej perspektywy widzą co najwyżej stopy, więc nie są zdolne dostrzec kłótni i nerwic.

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Obyś pisał nekrologi!

Coś nie mamy szczęścia do ambasadorów. Stop. Za czasów Trumpa mieliśmy podejrzenie gładką na twarzy panią ambasador amerykańską, która z pewną skutecznością kierowała polską gospodarką, pokazując nam, że era namiestników przeszła metamorfozę, a nie przeszła do lamusa. Stop. Teraz za czasów Niemca Scholza mamy na stanowisku germańskiego ambasadora Tomcia Bezczela. Stop. Thomas Bagger pozwala sobie w Warszawie na oficjalne pouczanie polskiego ministra obrony Mariusza Błaszczaka, sugerując, że to Polska dozbierała zbrodniarza Putina, kupując od Moskwy energię. Stop. Ta próba wprowadzenia dyplomacji na nową tory powinna się zakończyć zabagazowaniem Baggera i przesłaniem DHL do Berlina. Stop. Aufwiderbajbaj. Stop.

Kameleonową elastycznością zaskoczył świat Tusk Donald. Stop. Polityk ów, który do niedawna zdawał się dość trzeźwo uważać, że dobrze jest coś zarobić, żeby coś mieć, gładko przeszedł na stronę Ery Cudownej. Stop. Era Cudowna, w którą świat wkroczył, a jedną nogą wkroczył, charakteryzuje się z grubsza tym, że wszystko jest prawem i każdemu należy się wszystko, a nie żeby na coś musiał robić. Stop. Praca jest passé, bo się można zmęczyć i zestresować. Stop. Więc tenże Tusk oznajmił teraz publicznie, że jak on dojdzie do władzy, to wycudowia się z grubsza co

najmniej dwa cuda. Po pierwsze, ludzie będą młodziakami do 45. roku życia, co się mnie bardzo podoba, a po drugie, ci młodzi dostaną mieszkania od banków z kredytem zero, powtarzam – zero procent, bo banki im dadzą. Stop. W weekend byłem w zoo i rozmawiałem z kameleonami. Są dla Tuska pełne podziwu. Stop.

Katowicki sąd złośliwie zaingerował w politykę personalną Rafała Trzaskowskiego. Stop. Aresztowali mu sekretarza miasta, byłego ministra Włodzimierza Karpińskiego, pod zarzutem przyjęcia łapówki w wysokości 5 mln zł. Stop. Nie przesądzać o niczyjej winie czy niewinności, czujemy się w obowiązku przypomnieć wypowiedź innego ministra rządu Tuska Elżbiety Bieńkowskiej: „Za 6 tys. zł to pracuje albo złodziej, albo idiota”. Stop.

Wirtualne Media podały informację z pogranicza czarnego humoru. Stop. Były dziennikarz sportowy „Wyborczej”, Jarosław Bińczyk, zażądał od „Wyborczej” pieniędzy za nadgodziny, a dziennik etosowy, a właściwie spółka, do której ów należy, powiedziała mu: „A weź się”. Stop. Bińczyk poszedł do sądu, a wtedy „Wyborcza” przesunęła go do działu pisanie nekrologów. Stop. Pisał po trzy dziennie, ale mu nie publikowali. Stop. Teraz prawomocnie wygrał zaległe mu pieniądze, a w „Wyborczej” już nie pracuje. Stop. Nekrologii pisał na stronę Odeszli.pl. Stop. ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Prewencyjna prawica

Małgośka, mówią mi, a ty czemu o robakach nie piszesz, skoro cała twoja prawica wieszczy robaczywy jadłospis dla Warszawy? Bo ja lubię się przyczaić, zanim wyłożę karty na stół. Zresztą za projekt C40 Cities osobiście musiałam zapłacić 200 euro już trzy lata temu, kiedy jeszcze nikomu się nie śniło, z czym wiąże się akces do tego szaleństwa. W wielkim skrócie: mój dobry znajomy odebrał mnie z lotniska w Madrycie i zawiózł do hotelu. Za miesiąc pochwalił się ku memu zdumieniu, że ten kurs skończył się mandatem 200 euro, bo jego auto nie miało odpowiedniej ekokategorii (i nalepki na szybie), aby móc wjechać do centrum. Miasto zarządzane przez burmistrza Almeidę – kolegę Trzaskowskiego – już wcześniej z powodu obostrzeń polityki klimatycznej słono karało tych, którzy uważają się wjechać ze swymi spaliniakami i zagrozić Pachamamie. Tak więc kolega uchwycony przez radary wspomnieli mi o mandacie, ja zaś honorowo zaproponowałam spłatę. No i chłam się zgodziłam!

Od 2020 r. zmagam się więc z ekotraumą w Madrycie i nieufnością wobec amigos. Ale to zaledwie detal, bo wczoraj rozmawiałam z hiszpańską przyjaciółką, rozeźloną do czerwoności, że cała ta polityka zmierza do tego, aby nawet starych i schorowanych Hiszpanów z dzielnic centralnych

mandatami zniechęcić do aut i wsadzić siłą na rowery, choć w ich kulturze i klimacie to jest po prostu dwukołowe ciało obce. Ona sama prędej pogoni byka na korridzie, niż siądzie na siodółko. Wąskie uliczki miast Hiszpanii, często pamiętające czasy średniowiecza, stają się jeszcze więcej przez amok tworzenia ścieżek, po których nikt rowerem nie jeździ i na które nawet pies z kulawą nogą nie chce nasikać. „Ja nie wiem, do czego zobowiązał się wasz Trzaskowski w ramach C40 Cities, ale nasi zobowiązali się tylko do zmniejszenia emisji CO₂, więc prześladowaj kierowców czterech kółek” – mówi.

Doskonale pamiętam, gdy ponad rok temu minister konsumpcji Alberto Garzón namawiał rodaków, aby dla zdrowia swego i planety jedli mniej mięsa. Dopiero wtedy Hiszpanie zrozumieli, co oznaczają w praktyce ideały Partii Komunistycznej, z której ramienia rządzi ów minister. W kraju zawrzało, social media zaroily się od zdjęć jedzonych steków, jamonów i chorizo, a dziennikarze śledczy wysłedzili, ile kilogramów mięsa zaserwował niedawno na swym weselu minister od diety beźmięsnej. Ale w Polsce – no skąd! Od OKO.press przez Jakuba Wiecha do Katarzyny – zdziwienie, że prawica znów się czepia, bo dla zdrowotności mięcho należy odstawić! Prawico – sumieniu Polski – nie daj się uścić... ©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Śladami Clausewitza

Wybitny pruski teoretyk sztuki wojσκowej, autor traktatu „O wojnie”, gen. Carl von Clausewitz, porównywał historię Polski do zbioru „połączonych ze sobą szmat”. Nic tam nie było ciekawego. Nic organicznego. Brud i sztuczność. Nie wiadomo, czy autorzy, którzy wojują obecnie z historią Polski, zaczytują się w Clausewitzu, ale z pewnością podejmują systematyczną pracę nad sprowadzeniem dziejów ojczystych (co za słowo!) do poziomu szmat – brudnych i krwawych. Zanim białonosy poseł przystąpi do opiółowywania katolików z ich „przywilejów”, opiółowywana jest historia Polski.

Systematycznie „opiółowywany” jest św. Jan Paweł II. Abecadło „montażu” mówi: aby unieważnić niewygodne nauczanie, należy odrzec z autorytetu tego, który je głosił

Mieliśmy więc własne „imperium kolonialne” w postaci Rzeczypospolitej Obojga Narodów i jej litewsko-ruskich obszarów. To na polityce kresowych „królewiat” wzorowali się Belgowie w Kongu, przekonują nas opiółowacze polskiej historii. I nic to, że z Moskwy aż do XVIII w. regularnie uciekali do Rzpłitej chłopci, widząc w niej oazę wolności. I nic to, że aż do końca XVII w. niemieccy mieszczanie Królewca i niemiecka szlachta Księstwa Pruskiego tęsknie wzdychali za zależnością lenną Prus Książęcych od Korony Polskiej. Woleli zwierzchność „polskiego imperium kolonialnego” aniżeli europejskie wzorce (czytaj: brandenburskie, wprost z Berlina)

nowoczesnego ustroju politycznego (czytaj: absolutyzmu).

Mistrz Bareja już dawno temu pokazywał butelkę, „z której dziedzic rozpijał pańszczyźnianych chłopów”. Jednak nie na autorze „Bruneta wieczorową porą”, ale na stalinowskich podręcznikach szkolnych wzorują się aktualni propagatorzy „historii ludowej”, pisząc o wszechobecnym ucisku chłopów pańszczyźnianych w dawnej Rzeczypospolitej. Oczywiście nikt z opiółowaczy nie zajął się porządną kwerendą archiwalną. Na przykład przebogata dokumentacja akcji uwłaszczeniowej w zaborze pruskim przechowywana w bydgoskim archiwum.

Kolejna „brudna szmata” polskich dziejów to II Rzeczpospolita, która nie tylko przemocą zatrzymała niosącą postęp i tolerancję Robotniczo-Chłopską Armię Czerwoną (przecież w 1920 r. Rosja bolszewicka jako pierwsze państwo na świecie zalegalizowała aborcję na życzenie), lecz także uciskała na swoim obszarze wszystkie możliwe mniejszości. Kraj strasznego antysemityzmu, jak przypominała rok temu nowa i jeszcze nowsza lewica przy okazji stulecia zamordowania przez zwolennika endecji prezydenta Gabriela Narutowicza.

Już nie brudna, ale „krwawa szmata” to polska historia w czasie drugiej wojny światowej. „Opiółowacze” już dawno stwierdzili, że autorami Holokaustu na okupowanych ziemiach byli naziści i Polacy. Przy czym współudział w zbrodni jest bardzo szeroki. Obejmuje m.in. kategorię „postronnych” (bystanders), czyli np. polską ludność pod lufami „nazistowskich” karabinów zaganianą, by oglądać masowe egzekucje ludności żydowskiej

przeprowadzane przez „nazistów” ubranych w „nazistowskie” mundury z „nazistowskim” symbolem państwowym w postaci tzw. wrony. „Opiółowacze” nie przyjmują argumentu, że chodziło o akcję „Patrzcie, wy jesteście następni w kolejce, jeśli będziecie nieposłuszni”. Oni wiedzą, że trzeba było ratować, nie zważając na „nazistowskie” karabiny.

Systematycznie „opiółowywany” jest św. Jan Paweł II. Abecadło „montażu” mówi: aby unieważnić niewygodne nauczanie, należy odrzec z autorytetu tego, który je głosił. W ten sposób można, a nawet trzeba pomijać nauczanie zawarte w „Veritatis splendor” czy „Fides et ratio”. Jaki blask prawdy, skoro pisał o nim ten, który – jak twierdzą opiółowacze – tuszował sprawę pedofilię?

Ostatnio „opiółowują” również Księcia Niezłomnego, kard. Adama Stefana Sapiehy, z którego rąk Karol Wojtyła przyjął święcenia kapłańskie. Stara lewica znalazła w jego bliskim otoczeniu „faszystów” i „sługusów imperializmu” (por. proces kurii krakowskiej). Nowa lewica oskarżyła samego kardynała o molestowanie kleryków. A trzeba by dodać jego sprzeciw wobec reformy rolnej. Ale to przed nami.

Zanim opiółują Prymasa Tysiąclecia, posłuchajmy, co mówił on na pogrzebie kard. Sapiehy 27 lipca 1951 r.: „Kardynał w przedziwnej alchemii polskiej duszy przepracowywał wszystkie rzymskie moce na polski chleb, którym karmił własną polską duszę, którym karmił powierzone swojej trosce pasterskiej rzesze kapłańskie, którym karmił tak obficie wierny lud swej archidiecezji, którym karmił cały naród”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Umysł krytyczny to kiedyś była zaleta. Chwalili nas za to w ogólniaku i na studiach. Szczególnie ci profesowie, którzy byli w kontrze do systemu. Podejście krytyczne, czyli naukowy ferment, było cenione; było (i jest) metodą dochodzenia do prawdy. Proste pytania w rodzaju: A co, jeżeli jest inaczej? Co, jeżeli jest dokładnie odwrotnie? – takie pytania były nagradzane. Dziś są karane, ale niech nas to nie powstrzymuje przed myśleniem krytycznym.

Pod koniec zeszłego roku prezydent podpisał ustawę o zmianie progu wykroczeń – z 500 zł na 800 zł. Czy zanim podpisał, przemyślał tę koncepcję krytycznie? Jest prawnikiem, na doktora, powinien przynajmniej dokonać próby analizy.

Analiza: Mały złodziej sklepowy nie będzie karany za wyniesienie ze sklepu zgrzewki piwa lub 43 kurczaków po 18 zł za sztukę, lub telewizora. Prezydent zagwarantował nam wzrost przestępczości, bo kradzież to nadal przestępstwo, ale w świetle polskiego prawa, gdy kradniesz 800 zł, nie będziesz karany. Prezydent zagwarantował złodziejom darmowego grilla dla całej rodziny, bo możesz z Biedry bezkarnie wynieść grilla + węgiel i podpałkę + karkówkę i sporo piwa, a wszystko bezkarnie, w ramach prezydenckiego limitu. A gdybyście poszli w dziesięciu, da się zrobić niezłe przyjęcie i takiej grupy „wynoszących towar” nie zatrzyma żadna ochrona.

Policja zawiadamia, że do Polski wróciły kradzieże pali-



FOT. W. CEJROWSKI / LUDY JAROSŁAW SIOŚNICKI

wa z samochodów i tirów oraz kradzieże węgla z pociągów. Za Jaruzela było to samo, czyli wróciły zjawiska i zachowania z czasów komuny. Trzeba tylko pamiętać, by nie ukraść za więcej niż osiem stów. Kto za to odpowiada? Putin i wojna? No NIE. Za wzrost przestępczości odpowiada zawsze urzędująca władza.

Władza PiS zarządziła koniec sprzedaży plastikowych talerzyków, sztućców i kubków, bo zanieczyszczają wody i oceany. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział obywatela RP wrzucającego do morza talerzyk po zjedzeniu flądry. Ludzie zostawiają te talerzyki i sztućce na stoliku lub rzucają do śmietnika. Czy zakaz stosowania plastiku służy obywatelom RP? Przecież to REGRES cywilizacyjny. Plastik jest wynalazkiem dobrym. Podobnie jak silnik spalinowy, diesel i elektrownia na węgiel. Czy celem rządu jest, byśmy jedli kaszankę palcami na gazecie jak za komuny i popijali prosto z flaszki zamiast z kubeczka?

Moim zdaniem oni nie mają celu i to jest problem. Nie analizują krytycznie niczego, co robią. Rząd działa reaktywnie – coś się stało, trzeba zareagować jakoś. Obojętne jak, byle się pochwalić reakcją dowolną; samym faktem reagowania. W Unii likwidują plastik, to my też. Yeee!

Gdyby w rządzie przeanalizowali zagadnienie, to by doszli do wniosku, że ci w Unii

są kretynami i nie warto podążać w kierunku wyznaczonym przez tę bandę.

W ubiegłym roku w UE przyjęto ustawę o rejestracji zwierząt, w tym drobiu. Polska zrobiła to samo bez żadnej analizy, bo „trzeba dostosować prawo polskie do unijnego” i tyle – dostosujemy zawsze bez analizy.

Rejestracja zwierząt mi się nie podoba. Kolczyki są dla ludzi. Teraz zabrali się za kury domowe i to jest GRANDA. Nie chodzi o żadne „bezpieczeństwo żywności” ani nawet o podatek od kur czy od jaj – chodzi o pozbawianie ludzi kontroli nad własnym majątkiem oraz o pozbawianie możliwości produkcji żywności na własne potrzeby. Chów przydomowy zostanie najpierw zarejestrowany, a potem zlikwidowany. Docełowo paszę masz przyjmować od władzy i tylko taką, którą władza dopuści, a hodowanie kur przy domu zostanie zakazane.

Kura żyje dwa lata – potem trafia do rosołu. Ile papieru, czasu i energii ludzkiej zmarnujemy na rejestrowanie wszystkich kur w państwie? Samych niosek jest w Polsce ponad 50 mln sztuk. Ile nowych etatów dla darmozjadów z biurokracji powstanie?

Już sama idea rejestrowania przydomowej hodowli przywodzi na myśl skojarzenia okropne: Hitler robił to za okupacji, a potem komuna za PRL. Tego typu działanie

to znak tyranii – rejestracja, kontyngenty, zakaz chowu, zakaz uboju.

Hodowlę normalnych zwierząt będą utrudniali, ale mięso robaków promują – polski rząd dopłaca do badań nad jadalnymi owadami, a projekt polega na tym, że wybrane rodziny dostają specjalne kabiny o nazwie „SmartFood Robaczkarium”, które będą ustawione w blokach mieszkalnych na klatkach schodowych. Minister się wykręca, że to nie rząd wydał na ten cel 6 500 000 zł, lecz Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, no ale te wykręty są mało skuteczne, bo Narodowe Centrum to agencja wykonawcza rządu. Czyli rząd daje forszę Agencji, a Agencja wykonuje zadanie dla rządu, za forszę od rządu.

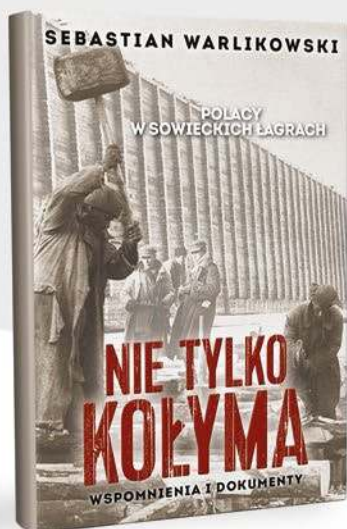
Władza szasta naszą forszą. Jak to zmienić? Sejm nie powinien zajmować się zatwierdzaniem budżetu, lecz powinien to robić bezpośrednio naród. Rząd zgłasza zapotrzebowanie na konkretne wydatki, a potem obywatel na swoim zeznaniu podatkowym wybiera, na co godzi się, by posłał jego forsa. Z niektórymi rządowymi wydatkami pewnie nie będzie problemu – wielu zgodzi się dać na policję i wojsko, ale na badania nad robakami już niekoniecznie. Rząd będzie musiał się porządnie wysilić, aby obronić pomysły bardziej kontrowersyjne. I gdyby ostatecznie nikt nie zgodził się finansować głupich badań, to... Forsy nie ma i badań też nie ma.

W czasach elektronicznych wprowadzenie tego rozwiązania na rozliczeniu podatkowym to żaden kłopot. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE KSIĄŻKA

SEBASTIAN WARLIKOWSKI:
„POLACY W SOWIECKICH ŁAGRACH.
NIE TYLKO KOŁYMA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~929~~zł

346,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 583zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**



WYKLĘCI PRZEZ KOMUNISTÓW ŻOŁNIERZE NIEZŁOMNI

JÓZEF KURAŚ „OGIEŃ”

SERIA SREBRNYCH MONET
KOLEKCJONERSKICH NBP

15 marca 2023 roku Narodowy Bank Polski wprowadzi do obiegu kolejną monetę kolekcjonerską z serii „Wyklęci przez komunistów żołnierze niezłomni” – „Józef Kuraś »Ogień«”.

Serię tworzą srebrne monety o nominale 10 zł z wizerunkami bohaterów, którzy – jak głosi inskrypcja umieszczona na monetach – „Zachowali się jak trzeba”.

Narodowy Bank Polski upamiętnia tą serią żołnierzy, którzy polegli, walcząc w polskim powojennym podziemiu niepodległościowym, antysowieckim i antykomunistycznym.



Monety kolekcjonerskie do nabycia
w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym:
kolekcjoner.nbp.pl